

PALESTRA WARSZAWSKA.





SENAT I TRYBUNAL.

ALEXANDER KRAUSHAR

PALESTRA WARSZAWSKA

WSPOMNIENIA STAREGO MECENASA
Z CZASÓW DZIESIĘCIOLECIA
PRZED ZNIESIENIEM SĄDOWNICTWA POLSKIEGO.
(1866—1876)

WYDANIE ILLUSTROWANE
WIZERUNKAMI PATRONÓW, ADWOKATÓW, MECENASÓW,
SĘDZIÓW TRYBUNAŁU, SĄDU APPELLACYJNEGO KRÓLESTWA,
SENATORÓW I CZŁONKÓW SENATU.



Wydz. Bibl. Prawnicza



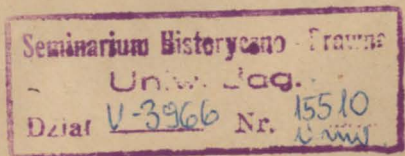
1806132348

WARSZAWA

NAKLAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW

1919

Za pozwoleniem C.-N. biura prasowego w Warszawie,
d. 9. 10. 1918. T. № 11679. Dr. № 903.



Niedobitkom dawnej palestry

niniejszą pożegnalną pamiątkę

poświęcam.



12 lipca 1876 — w przeddzień ostatecznego zamknięcia przez władze rosyjskie sądów polskich w Królestwie i przeobrażenia ich na wzór Sądów, w roku 1864 w Cesarstwie ustanowionych—przez wązki i ciemny korytarz dawnego Sądu Apelacyjnego przy ulicy Miodowej, w gmachu b. Szkoły aplikacyjnej ongi urzędującego, przeciągała gromadka mecenasów i adwokatów, pragnąc pożegnać się z dawnymi sędziami, którzy już nazajutrz przejść mieli w stan spoczynku.

W wydziale VI Sądu apelacyjnego przydywał podówczas sędziwy Antoni Szabrański, postać typowa dawnego żołnierza 1 pułku strzelców pieszych armji roku 1831, uczestnika krwawej walki pod Ostrołęką, następnie pierwszego redaktora i jednego z założycieli „*Biblioteki Warszawskiej*“, tłumacza utworów Schillera i Goethego, oraz *Niebelungów*, na język polski.

Kiedy się gromadka Obrońców zbliżyła do podwojów wydziału VI i zameldowała Prezydującemu przez woźnego sądowego o celu swego przybycia; Szabrański, nie przerywając posiedzenia, uprosił przybyłych o kilka chwil zwłoki, poczem, wyszedłszy na korytarz, przystąpił w milczeniu do wyczekujących, pożegnał się

z nimi ze łzami w oczach i, bez względu na krótki już, półgodzinny zaledwie, termin do zamknięcia ostatniego posiedzenia Sądu Appelacyjnego, zabrał się w skupieniu, z żołnierską punktualnością, do słuchania wyroku w następnej z kolei sprawie.

Nie była to jedyna wyjątkowej powagi uroczystego nastroju scena pożegnania dawnego sądownictwa przez członków palestry obrończej. Scen takich w dniu 12 lipca 1876 odbyło się w Warszawie i na prowincji więcej. Pozostały one w rzewnej pamięci tych, którzy ich świadkami byli. Utrwały się one jako dalekie echo historycznego przełomu, który zamknął na długo chlubny okres w dziejach sądownictwa krajowego, ciągnący się od czasów księstwa Warszawskiego przez lat bez mała siedmdziesiąt i zaznaczony zasługą i talentem członków ciała sądzącego, jakoteż i członków adwokatury, współpracowników zarówno w sprawie wymiaru sprawiedliwości, jakoteż i w sprawie podniesienia i utrwalenia języka rodzimego sądowego do możliwej doskonałości.

Jeżeli wspominam w tem miejscu scenę pożegnania dawnego sądownictwa rozegraną w Sądzie Apelacyjnym, to tylko ze względu, iż w niej mieli jednocześnie udział mecenasi i adwokaci, jedynie przed rokiem 1876 uprawnieni przez dawną organizację sądowną do stawania w owej instancji. Wspominam o niej dla tego, iż z pomiędzy licznej ongi korporacji mecenasów i adwokatów, po upływie lat kilkudziesięciu od zniesienia przywróconego dopiero w roku 1915 sądownictwa polskiego, zaledwie już drobna pozostała garstka...

Z liczby czterdziestu sześciu Obrońców senackich,

tytułowanych urzędownie *Mecenasami*, dla utrzymania tradycji Sądu Najwyższej instancji, przemianowanego w roku 1842 na Departamenty IX, cywilny i X karny Rządzącego Senatu, z władzą kasacyjno-sądzącą, dwaj jedynie magistrowie prawa i administracji dawnego uniwersytetu królewskiego urzędowali za czasów funkcjonowania owej najwyższej magistratury sądowej w Królestwie. Byli nimi: Tomasz Nowakowski i Wincenty Majewski. Z młodszego pokolenia należało do korporacji Mecenasów czterech młodych magistrów prawa i administracji Szkoły Głównej Warszawskiej, zaszczyconych takim tytułem po pozyskaniu dyplomu z odbytego egzaminu państwowego przed komisją sprawiedliwości „*ze szczególnym dla kraju pożytkiem*“. Byli nimi: Juljusz Walewski, Szymon Rodzyn, Brzeziński Józef i autor wspomnień niniejszych. Pozostali Mecenasie w liczbie czterdziestu otrzymali nominację bądź jako doktorzy uniwersytetów zagranicznych, bądź jako kandydaci praw uniwersytetów cesarstwa, bądź jako wychowawcy kursów prawnych, bądź wreszcie po wysłużeniu długiego lat szeregu w służbie obrończej Sądu Apelacyjnego i po zjednaniu sobie wiedzą prawniczą, wymową kratkową, a przede wszystkim prawością nieposzlakowaną chlubne zalecenie ich do tej najwyższej palestranckiej godności.

Tempi possati!

W chwili, w której przystępuję do odtworzenia i uzupełnienia wspomnień trybunalskich naszkicowanych w roku 1889, kiedy jeszcze wśród żyjących podówczas mecenasów znajdowało się wielu z pomiędzy świadków ostatniego dnia funkcjonowania sądownictwa polskiego w Królestwie, w tej chwili, po upływie lat

bez mała czterdziestu od 12 lipca 1876, przy życiu pozostało, *dwóch tylko*. Jednym z nich jest potomek zasłużonego w palestrze polskiej rodu — wychowaniec Szkoły głównej, Józef Brzeziński, powołany do godności Członka Sądu Najwyższego w odrodzonej niedawno temu organizacji sądownictwa polskiego w Królestwie, drugim zaś i ostatnim z korporacji mecenasów — jest piszący.

Taki, łaskawem zrządzeniem losów w mojej skromnej osobie zachowany, strzępek tradycji po ostatnich epigonach dawnej mecenasury, która w dziejach sądownictwa krajowego chlubne po sobie pozostawiła wspomnienie, nakłada na mnie obowiązek przekazania owej tradycji pokoleniu żyjącemu, w formie bezpretensjonalnego pamiętnika, wskrzeszającego: już to sympatyczne, już też charakterystyczne typy dawnych palestrantów, nietylko z grona sędziwych ich przedstawicieli, lecz i z grona obrończego b. Sądu Apelacyjnego i Trybunału, które miałem szczęście znać osobiście i dzielić z niemi przez czas długi dołą i niedołą trudnego, lecz zaszczytnego zawodu.

Nie chodzi mi tu bynajmniej o zestawienie porównawcze różnic między typami dawniejszymi, a dzisiejszymi członkami obrończego ciała.

Z czynnego, półwiekowego bez mała, udziału w palestrze, nieprzerwanego po wprowadzeniu nowych, obcych form do sądownictwa krajowego, miałem sposobność przekonać się o wartości moralnej i fachowej młodszego pokolenia prawników, o gorliwości z jaką piastując w trudnych warunkach swe powołanie, przykładło się do utrzymania adwokatury krajowej na szczeblu należnego jej dostojęństwa, o wzbogaceniu

przez nią literatury prawniczej dorobkiem prac — jakościowo i ilościowo nierównie donioslejszych, aniżeli był słabo w tej mierze przez dawną palestrę uprawiany zagon...

Wiem i to również, że i wśród młodego pokolenia obrońców są i działają charaktery czyste i prawe, talenty pierwszorzędne, uposażone wiedzą fachową i zawodowym doświadczeniem. Lecz, jako palestrant już wiekowy, z natury rzeczy, a może z powodu właściwości swego usposobienia i kierunku zajęć umysłowych bardziej wrażliwy na cechy oryginalności typów i charakterów ludzkich, aniżeli na ich zawodową jakość, nie mogę pominąć uwagi, że palestra dzisiejsza nie przedstawia w swej całości tak bogatej galerji typów obyczajowych, jaką się cechowała dawniejsza, że nie nastręcza obserwatorowi czasów, które mu danem było przeżyć, tak podatnych dla charakterystyki i malowniczości wzorków, jak owe, które się tu postaram odtworzyć przez pryzmat wspomnień zawsze żywych i sympatycznych, gdyż przypominających wrażenia smutków i przeżyć lat młodocianych.

Wielki nasz twórca Sienkiewicz, słowami Płoszowskiego, wypowiedział zdanie, iż „człowiek, który zostawia po sobie pamiętnik, źle, lub dobrze pisany, byle szczery, przekazuje i daje przyszłym psychologom i powieściopisarzom nie tylko obraz swoich czasów, ale jedynie prawdziwe, ludzkie dokumenty, którym można zaufać“.

Szkoda, że ludzie czasów naszych, żyjąc w epoce tak brzemiennej w wydarzenia doniosłości historycznej, zbyt mało myślą badawczą zwracają się ku teraźniejszości, by z niej wydobyć to, co dla przyszłych poko-

leń stanowiłoby mogło obraz naszego społeczeństwa i obraz tych zmian, które zaszły w jego fizjognomji duchowej, w jego obyczajach i w zaniku typów charakterystycznych, w które ongi obfitowało. Charakterystyczne, typowe okazy pozostałości z czasów dawnych, utrzymały się jeszcze wśród niedobitków dygnitarzy i urzędników dawnych dekasteryj administracyjnych, najsilniej zaś, między członkami palestry, zarówno sądzącej, jako i obrończej, gdzie dla artysty rysownika nastęczało się pole do ponętnych studjów porównawczych między typami przypominającymi Gerwazy i Protazy z *Pana Tadeusza*, Rębajłów z *Pamiętek starego szlachcica*, i palestrantów z epoki pamiętnikarza Kitowicza,—a młodszem jurystów pokoleniem.

Lecz nietylko pod względem rysów zewnętrznych bardzo wielu z dawnych sędowników utrzymało tradycję przeszłości. Widnokrąg ich widzenia, tryb postępowania z otoczeniem, język, rodzaj wymowy, gesty, facecje, któremi się popisywali, nadewszystko zaś brak *pozy* w rozmowie potocznej i w wygłaszaniu obron przed kratkami sądowemi — wszystkie te cechy charakterystyczne składały się na specyficzną odrębność palestranta warszawskiego, wśród warunków nowoczesnego bytu społeczeństwa rodzimego, a ta właśnie cecha, silniej nad inne przemawia za koniecznością ocalenia tradycji po ostatnich szczątkach malowniczej przeszłości.

Niejestto zasługą, żem zbyt wczesnie umiłował stanowisko ciekawego obserwatora wydarzeń, które od lat kilkadziesiąt przesuwały się przed wzrokiem mojej wyobraźni. Starałem się niejednokrotnie już

odtworzać w luźnych fragmentach czasy, których byłem nie tylko świadkiem, lecz i uczestnikiem, dzięki okoliczności, że młodość moja zbiegła się z początkami przełomu dziejowego, który po długotrwałym letargu wstrząsnął wszystkimi warstwami społeczeństwa naszego i wzbudził w nich nadzieje, rozwiane, niestety, zbyt wcześnie. Czasy moje szkolne początkowe pod rządami Mikołaja I spłynęły wśród warunków, dla młodzieży trzymanej w rygorze żołnierskim nad wyraz surowym, bardzo przykrych. Czasy gimnazjalne, za jego następcy, dzięki przychylności i talentom profesorów zacnych, młodzieży przychylnych, kierowników najlepszego w kraju zakładu naukowego — b. Gimnazjum Realnego — pozostawiły w duszy mojej wdzięczne wspomnienie, jako echo rozbudzonych uczuć i aspiracji narodowych, które za drugiego Cesarstwa we Francji intensywnie w całej prawie Europie kielkować zaczęły.

Pod wrażeniem takich uczuć i wydarzeń 1861 roku w kraju, wstąpiłem w roku 1862, jeszcze jako młodzieniec niepełnoletni, do wskrzeszonej w Warszawie wszechnicy, a po jej ukończeniu w roku 1866, jako młody magister prawa i administracji odbywałem od roku 1866, który był początkiem walenia się w gruzy szczątków dawnej autonomji administracyjno-sądowej Królestwa, aplikację sądową we wszystkich ówczesnych wydziałach i instancjach. Otworzyło mi to drogę do zawodu obrończego i pozwoliło w krótkim stosunkowo przeciągu czasu rozwinąć działalność, najprzód w roku 1868 w stopniu Patrona przy b. Trybunale Cywilnym, następnie w roku 1871 w stopniu Adwokata przy Sądzie Apelacyjnym i wreszcie w godności Mecenasa przy Departamentach Rządzącego Senatu.



Te wyjątkowo pomyślne dla mnie osobiście warunki życiowej kariery, pozwoliły mi wejść w bliższy, nader życzliwy, stosunek z całą palestrą warszawską.

Umiłowałem zawód obrończy, nie jako cel główny, któremu wszystkie siły duszy i ducha poświęcać należy, lecz, może z racji wrodzonego umiłowania do zajęć badawczych i literackich, starałem się zawsze o kojarzenie obowiązków fachowych—z zamiłowaniem do literatury i historii i—im wolniejsze poświęcałem chwile, idąc w tej mierze za przykładem i wzorem adwokatury francuskiej, która, udział czynny w publicystyce i literaturze uważa za nieodzowny atrybut zawodu obrończego, wymagającego wszechstronnego wykształcenia umysłu i znajomości charakterów ludzkich, pozostawiając praktyczną stronę powołania niższym w szczeblu zawodowym specjalistom.

Stąd też wymowę obron francuskich cechuje, obok jasności expozycji, i poprawna, wykwintna szata językowa, różniąca się pod tym względem od języka wyroków sądowych francuskich, zaprawionego barbaryzmami i formułkami, ze stylem potocznym, życiowym, w jawnej zostającami rozterce.

Adwokatura polska, stwierdzić to należy, wytworzyła język obron wysoce poprawny, a nawet wykwintny. Nie stało się to z tej racji, iżby większość jej członków pielegnowała była szczególnie kult piśmienniczo-literacki, lecz wyjątkowo piękny rozwój krasomówstwa obrończego polskiego. był przeważnie wynikiem faktu, iż język obron przed sądami dawnymi był *organem myśli* mówców, i że ci mówcy nie posługiwali się utartymi terminami technicznymi, lecz opierali swe wywody na argumentach potocznego życia; że między sądem

a obrońcą był łącznik sympatyczny, oparty na znajomości ducha i warunków bytu społeczeństwa rodzimego, na gruntownej znajomości ludzi i stosunków miejscowych, bez czego, powołanie sędziego nie może żadną miarą odpowiadać celowi, któremu służyć winno.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć w tem miejscu pogląd piszącego na ważną rolę mówców obrończych w dawnem sądownictwie naszym, wypowiedziany na krótko po wprowadzeniu nowej organizacji w jednym z czasopism literackich warszawskich.

„Nie byłby zupełny obraz umysłowości naszej ostatniego pięćdziesięciolecia, gdyby zeń wyłączono bujny rozkwit palestry, ujawniony w zastępie znakomitych prawników i mówców kratkowych, którzy, w perjodzie czasu od zaprowadzenia w kraju naszym francuskiej, nieco zmienionej, organizacji sądownictwa, aż do roku 1876, wymowę sądową do wyżyn doskonałości doprowadzili.

„Nowa organizacja sądowa i usunięcie języka polskiego z obrad i obron sądowych przerzedziły początkowo, a następnie i opustoszyły szeregi zasłużonych na tem polu pracowników. Piękna tradycja wszakże, jaką po sobie członkowie ostatniej polskiej palestry pozostawili, nie tak prędko zaginie i prawdopodobnie długie lata jeszcze służyć będzie następcom, jako wzór i przykład traktowania obrończego zawodu, z jego najszlachetniejszej strony.

„Zgrupowanie się w niedługim stosunkowo zakresie czasu, w samem tylko mieście Warszawie, mówców i prawników tej wartości moralnej i umysłowej, jaką zasłynęli nieżyjący już: Wincenty Majewski, Edward Grabowski, Andrzej Brzeziński, Antoni Radgowski,

Zygm. Krysiński, Ant. Wrotnowski, Kazimierz Brzeziński, Hipolit Tańkowski, Edward Leo, Stanisław Rotwand, Filip Flamm, Andrzej Wolff, Stanisław Zalewski, Roman Wierzchlejski i bardzo wielu innych, ze starszego pokolenia prawników, stanowi łańcuch nieprzerwany w szeregach tych znakomitych mówców sądowych, jakich historia sądownictwa krajowego ubiegłych wieków zarejestrowała na swoich kartach.

„Po roku 1830, trybuna sądowa była u nas jedynym miejscem publicznych dyskusyj.

„Wyniki ich obracały się wprawdzie wyłącznie w sferze interesów prywatnych, ale metoda ich traktowania, prawodawcze desiderata ujawniane w toku obron, wygłaszanych przez wytrawnych specjalistów, nie pozostawały częstokroć bez wpływu i na widnokręgi szersze, urabianiem pojęć prawnych w społeczeństwie i kształceniem językowej formy prawnictwa polskiego, które istotnie na tem polu do świetnych doszło rezultatów.

„Wydatne i wpływowe stanowisko, zajęte przez palestrę krajową, już z tego względu zasługuje na uwagę, że było ono nie wynikiem organizacji, opartej na literze ustawy, lecz przeważnie, zasług osobistych jej członków.

„Palestra krajowa nie stanowiła korporacji prawnej, nie korzystała z przywileju *izby obrończej*, mimo to tworzyła zawsze ciało zwarte, szanujące tradycje przeszłości, stanowiła istotny organ pomocniczy w wymiarze sprawiedliwości, idący ręką w rękę z sądowniczą władzą, w wyjaśnieniu wątpliwości i luk prawodawczych, na zasadach teorii naukowych.

„Nic dziwnego, że głos renomowanego mówcy

w sprawie ważnej odbijał się szerokiem echem w kołach inteligencji krajowej. Był on istotnym festynem umysłowym i dla publiczności szerszej, która tłumnie zalegała sale sądowe, ilekroć rzecznikiem, w sprawie nawet mniejszego waloru, miał być jeden z obrońców głośniejszego imienia“.

Niezależnie od tego, zawód dawny obrończy przed sądami krajowemi, z racji nierozwikłanych jeszcze zaległości sporów granicznych, z czasów Rzpltej i późniejszych, był areną, na której odbywały się i wyjaśniały kwestje z dziedziny dawnych praw polskich. Spory tego rodzaju, oraz pokrewne, z dziedzictwem ziemi skojarzone, posiadały niepoślednich znawców w gronie sądującego areopagu, oraz Prokuratorji Królestwa, która operując historycznemi dokumentami i argumentacją opartą na terminach specjalnych nie łatwą była do zwalczenia. Agitowały się też niejednokrotnie przed sądami sprawy odwieczne, osnute na splocie rozmaitych *duktów* i *reduktów*, na tłómaczeniu zawitych okresów, właściwych terminologii dokumentów archiwalnych dawnych epok. Pamiętam, między owemi, wyjątkowo ciekawą sprawę dóbr Bolesław z miastem Olkuszem, która zaprzatając *przez lat trzysta przeszło* dawny Trybunał koronny, dopiero w sądach nowszych znalazła, wskutek źródłowo opracowanej obrony mojej, rozwiązanie, a to dzięki znajomości praw polskich, wyniesionych z wykładów czcigodnego dziekana Szkoły Głównej Warszawskiej, ś. p. Walentego Dutkiewicza. Toż było i ze sprawą graniczną Małogoszcza, jakoteż i z wysoce ciekawą sprawą górnictwą, o eksploatację galmanu w dobrach Bolesław pod Olkuszem. W ogóle, rodzaj spraw w sądach dawnych Królestwa, ich cha-

rakter, przebieg i stosowanie praw dawnych do wyrokowania, różniły się znamienne od rodzaju i charakteru spraw epoki nowszej, gdy w następstwie rozgąłżenia się i spotęgowania dróg komunikacyjnych i przemysłu fabrycznego, wytworzył się za dni naszych, między innemi, rodzaj nowy, dawniej niepraktykowany—pretensyj o niedobory w wadze towarów kolejami żelaznemi przesyłanych, lub też spraw tak zwanych *kaleczeniowych*, które wyprowadziły na widownię sądów, niezbyt etycznie wyszkolonych specjalistów...

Ujawniły się niemniej różnice proceduralne w trybie dowodowym, wskutek zniesienia tak zwanej przysięgi *deferowanej*, lub *referowanej*, w systemacie dowodzenia prawdy faktu przez „storożylów“. Miało to, być może, dobre skutki dla procesujących się, pomyślniejsze aniżeli za procedury dawnej, gdyż niepodobna zaprzeczyć, iż niejednokrotnie zręczny palestrant deferując przysięgę przeciwnikowi, stawiał go w położeniu krytycznem, ile że nie każdy osobnik, z racji swoich przekonań, do wykonania przysięgi przed Sądem się kwapił, a nie dogadzało mu częstokroć zdawać się na sumienie przeciwnika drogą jej referowania.

Zmniejszyła się liczba procesów w czasach nowszych wskutek ograniczeń wprowadzonych do tak zwanych umów ustnych, które dawniej praktykowały się nawet w stosunkach kupna i sprzedaży nieruchomości, lub innych praw rzeczowych. Lecz co najbardziej cechowało odmiennie tryb obrony w sądach dawnych, od trybu nowego, to niepoślednio dominujące stanowisko Obrońcy w obec wyrokującego sądu.

Sąd, przywołując do sądzenia sprawę nie miał pojęcia o jej treści, o dowodach na jakich była oparta,

o osnowie zarzutów i dowodów przeciwnika. Dopiero obrońca tak zwanego *powoda*, na zasadzie doręczonego przeciwnikowi pozwu, oraz dowodów, które składał w biurze pisarza na czas określony do przejrzenia stronie przeciwnej, wyluszczał Sądowi istotę sprawy, tak zwany *czyn* i usprawiedliwiał jego zasadność dowodami, które składał na stole sądowym. Łatwo pojąć, jaką wagę przywiązywać musiał Sąd do wyjaśnienia Obrońców, jeżeli od zrozumienia ich wywodów zależało właściwe i prawne wymotygowanie wyroku.

Po wprowadzeniu nowej procedury, osnutych na wzorach pruskich, rola Obrońcy, cywilnego zwłaszcza, znacznie utraciła na swym walorze, gdyż zanim Obrońcy przedstawili swoje wyjaśnienia, Sąd, na podstawie złożonych uprzednio dowodów i na podstawie relacji swego Członka, już miał możność wytworzenia sobie o naturze sprawy opinii, którą w rzadkich jedynie wypadkach argumentacje obrońców zmieniały.

Rola Obrońcy cywilnego w dawnych sądach była z tego względu nierównie wdzięczniejszą, aniżeli nią była w Sądach kryminalnych, gdzie, według procedur pruskiej i austriackiej praktykowany był system relacyjny, i gdzie obrona przedstawiała się na piśmie i według owego skryptu bywała przedstawiana. Nie kwapiła się też palestra do obron karnych, gdyż mało tu znajdowała pola do wykazania talentu krasomówczego i argumentacyjnego, a skrepowana przytem teorią dowodów formalnych, koniecznością nieodzowną budowania obrony na zeznaniu *dwóch* świadków, będących *omni exceptione majores*, nie wiele korzyści mogła nieszczęśliwemu, nieraz niewinnemu, podsądnemu przynosić.

Rzadkie też bywały procesy karne interesujące szerszą publiczność. Zaczęto się niemi interesować z chwilą, gdy rozwój dziennikarstwa po roku 1863 pociągnął za sobą — niezbyt gwoli uszlachetnieniu obyczajów potrzebną — konieczność wprowadzenia do łamów gazet, tak zwanych kronik kryminalnych. Zaczęły się więc wytwarzać koloryzowane literacko sprawozdania sądowe, które wyprowadziły na szerszą widownię rozgłosu nazwiska młodych obrońców i zdystansowały rychło starych rutynistów - praktyków, przyzwyczajonych do odczytywania piśmiennych obron, układanych wedle ustalonych formułek.

Jedynie w instancji Senackiej, której zewnętrzna powaga zasiadających w historycznych salach dawnego pałacu Rzpltej Senatorów przejmowała słuchaczy uroczystym nastrojem, odzywały się kiedy niekiedy głosy krasomówców takich, jakim między innymi był wymowny ś. p. Antoni Radgowski. Słuchali go też z uwagą Senatorowie dygnitarze, a zdarzyło się raz, że w jakiejś sprawie gardłowej, bronionej przez mecenasa Radgowskiego, zasiadający w zwiększonym komplecie generał jazdy senator rosyjski Witt, mając słuch nieco przytępiony, zbliżył się do mównicy obrończej i w obec przepięknych, frazesów rzecznika zmierzających do wykazania, że podsądny, przeciw któremu walczyły dowody nieprzeparte, jest niewinną ofiarą omyłki sądowej, głośno się zapytał: „*a może mu przyznać nagrodę Monthiona za cnotę?*“.

Chętniej uczęszczała publiczność na posiedzenia Departamentów cywilnych Senatu odbywanych w ostatnich latach istnienia sądownictwa polskiego pod prezydencją: Tajnego Radcy Stanu Karnickiego w Wy-

dziale I i Tajnego Radcy Gudowskiego w Wydz. II, gdzie, oprócz obron przedstawionych ustnie przez mecenasów przy objaśnianiu sumariusza dowodów, miano sposobność słyszenia wniosków prokuratorskich wygłaszanych przez takich potentatów wiedzy i wymowy jakimi ongi byli: Jan Kanty Wołowski i Aleksander This, a w czasach nam bliższych—przez niemniej znakomitego prawnika i mówcę ś. p. Stefana Hermanowicza.

Stwierdzić należy, że w ciągu trzydziestokilkuletniego swego funkcjonowania Senat Warszawski stał nieprzerwanie na wysokości swego dostojęństwa, wymierzając sprawiedliwość bezwzględna i wnosząc do skarbnicy wiedzy prawniczej polskiej dorobek nauki nieprzedawnialny w jurysprudencji wyroków świetnie motywowanych i we wnioskach prokuratorskich, które, jako traktaty gruntowne prawnicze, osnute na poglądach najznakomitszych juristów francuskich, stanowiły łącznik między nauką rodzimą, a europejskim Zachodem.

*

*

*

Pragnąc w niniejszych luźnych wspomnieniach z ostatniego lat dziesiątka bytowania sądownictwa polskiego w Warszawie, dać wyraz uczuciom życzliwości dla towarzyszków zawodu, z których przeważna większość już do żyjących nie należy, jakoteż i dla członków sądu dawnych instancyj, których względami stale się cieszyłem, pragnąłbym nie opuścić w niniejszym zarysie ani jednego z nich i pozostawić przyszłym pokoleniom przynajmniej ślad, tyle dla mnie sympatycz-

nych ich rysów. Staralem się, o ile to tylko było możliwem, zgromadzić w niniejszej książce wizerunki dawnych patronów, adwokatów i mecenasów. Niektóre z nich naszkicował piórkiem utalentowany, zbyt niestety wcześniej dla sztuki zgasły, twórca „*Szalu*”—Władysław Podkowiński. Również i część anegdotyczną, odnośnie do charakterystyczniejszych typów dawnej adwokatury, staralem się dla pełności obrazu uwzględnić, dzięki życzliwej w tej mierze pomocy dowcipnego ich obserwatora, dla swej nauki, talentu i charakteru przez wszystkich kolegów szanowanego, ś. p. Dominika Anca. Pozostanie też, niniejsza książka pamiątką i wspomnieniem czasów jutrznianej mojej młodości, gdy po roku 1866 do pracy publicznej w zawodzie obrończym stanął zastęp sił nowych, by zaczerpnąć w Szkole Głównej wiedzę prawniczą stosować do życia praktycznego i wprowadzić do atmosfery rutynistów z dawnych epok, prąd świeży zasad i poglądów, tak niezbędnych przy wymiarze sprawiedliwości doczesnej.

*

*

*

Rok 1876 zamknął okres funkcjonowania Sądów polskich w Królestwie. Nastąpiła po nim, lat prawie czterdzieści trwająca, zmiana stosunków politycznych w kraju, nastąpiło burzenie kolejne wszelkich pozornie autonomicznych władz polskich i przekształcanie ich na modłę rosyjską. Wśród owych zmian i sądownictwo polskie przekształciło się doszczętnie, usunięciem nie tylko języka rodzimego z rozpraw i wyroków sądowych, lecz i wszelkich organów, które przedtem przy wymiarze sprawiedliwości w kraju naszym działały.

Jako świadek owych zmian, trwałem niezmiennie na stanowisku i, z rezygnacją, na równi z swymi towarzyszami niedoli, pełniłem funkcje „adwokata przysięgłego“ przed kratkami, za którymi zasiadali sędziowie obcy, coraz liczniej sprowadzani z rozmaitych dzielnic Imperjum rosyjskiego, aby tu pełnić misję rusefikacyjną i zacieśniać coraz silniej pęta, któremi Królestwo z Rossją sprzęgnąć postanowiono.

Obraz owych nowo wytworzonych, przemocą nam narzuconych warunków bytu w sądownictwie miejscowym, odtworzyłem w ostatnich latach w książce pod tytułem: „*Czasy sądownictwa rossyjskiego w Warszawie*“. Dałem w nim folgę uczuciom, które w rozżalonych sercach naszych budził widok gwałcenia na każdym kroku praw, nie tylko narodowych, lecz wprost człowieczych, w dziedzinie stosunków rodzinnych, majątkowych i społecznych, przedewszystkiem zaś — w dziedzinie języka ojczystego, zamienionego na język nam obcy formą i duchem, rozbrzmiewający w historycznych salach sądowych przy nikłym udziale żywiołu swojskiego, który jakoby „zaśmieciał“, zdaniem ministra Szczegółowitowa, kadry sądownictwa rossyjskiego. W tak anormalnych żyjąc przez lat czterdzieści warunkach, doczekaliśmy się nareszcie w roku 1914 pamiętnej chwili wypędzenia z Królestwa i jego stolicy rozzu-chwalonych półtorawiekowym przeszło panowaniem nad nami najeźdźców, by następnie być świadkiem rozpadnięcia się na strzępy nie tylko Caratu, lecz i całego jego organizmu państwowego, którego ów Carat był przez długie wieki, ku znieprawieniu większości społeczeństwa rosyjskiego, kierowniczym motorem,

Wraz z ustaniem władztwa rossyjskiego w Kró-

lestwie Polskiem, losy owej dzielnicy b. Rzplitej nadspodziewanie odmienną potoczyły się koleją.

Zmiana warunków politycznego bytu odbiła się przedewszystkiem w dziedzinie oświatowej, którą ukoronowało z utęsknieniem od dawna wyczekiwanie wskrzeszenie uniwersytetu polskiego w Stolicy, a jednocześnie i częściowe wskrzeszenie sądownictwa polskiego, drogą dopuszczenia młodych prawników polskich do sędziowskich funkcyj, zanim, po uroczystem proklamowaniu niepodległego i dziedzicznego Królestwa Polskiego, rozpoczęła się odbudowa władz administracyjnych i sądowych polskich w rozleglejszym zakresie, z powołaniem do udziału w wymiarze sprawiedliwości sił swojskich, przeważnie z grona członków dawnej palestry i magistratury.

Jakkolwiek żywione w głębi duszy pragnienie—przyjęcia udziału czynnego w odrodzonej instancji Najwyższej kasacyjnej,—nie urzeczywistniły się; z tem wszystkiem szczęśliwy jestem, żem u schyłku kariery życiowej doczekał się chwili, iż w salach b. pałacu Paca i b. pałacu Rzplitej rozbrzmiewa na nowo mowa polska i, że na krzesłach kurualnych zasiadają znowu powołani przez władze polskie sędziowie polacy.

Niewątpliwie po latach wielu znajdzie się znowu obserwator i historjograf pamiętnej epoki, którą przeżywamy obecnie i odtworzy przyszłym pokoleniom obraz wskrzeszonego,—po czterdziestu latach niedoli,—sądownictwa rodzimego, pod przewodem rozumnych, sprawiedliwych i utalentowanych jego przedstawicieli. Niechaj mu w tej pracy przewodniczy takie umiłowanie tradycji przeszłości i tak żywe pragnienie pozostawienia po sobie trwalszej pamiątki życzliwych uczuć dla

towarzyszów pięknego zawodu obrończego, jakich słabem odbiciem,—w ramach ostatniego przed rusyfikacją sądownictwa polskiego dziesięciolecia, — są niniejsze kartki.



I.

Pałac a rudera. — Przedsiónek i jego publiczność. — Pokątni doradcy. — Sławetny pan Protazy. — Kilka typów.

Na placu Krasińskich w Warszawie, równoległe do ulicy Śto-jerskiej, stał zapuszczony i odrapany gmach, bez dziedzińca i wjazdowej bramy, okolony na blaszanym dachu skromną galeryjką, opatrzony tylko trojgiem drzwi wejściowych, w pośrodku i po obu jego krańcach.

Przed laty, owa osamotniona rudera była najgwarniejszym po giełdzie miejscowej przybytkiem, gdzie się rozstrzygały losy kieszeni i czei ludzkiej w sprawach pod pierwszy wyrok sądu poddanych; skąd się nierzadko rozlegał dźwięczny i wymowny głos najznakomitszych w kraju obrońców, gdzie, jakby na uroczystość jaką, zbiegały się zewsząd ciekawe tłumy, aby, już to w roli biernych widzów, lub też aktorów dramatów życiowych, przysłuchiwać się gorączkowym rozprawom wytrawnych jurystów, walczących z sobą, często o prawdę, częściej jednak o — zwycięstwo...



W tym bowiem stosunkowo nieobszernym gmachu mieściły się były przed rokiem 1876: trybunał cywilny „gubernji“ warszawskiej, sąd kryminalny tejże gubernji, z odnośnemi biurami swoich prezesów i prokuratorów, sąd pokoju wydziału I-go, sąd policji prostej, oraz archiwa spraw cywilnych i karnych.

I w czasach najgwarliwszego życia, jakie szerokim strumieniem ongi przez wszystkie owego gmachu arterje płynęło, zewnętrzny wygląd przybytku sądowego i składowe części jego wnętrza nie odznaczały się należną im okazałością.

Przez wąskie, ciemne, brudne i wydeptane schody, wchodziło się oszklonemi i skrzypiącemi drzwiami do przedsionka, okolonego ze wszech stron podłużnemi, niesymetrycznie ustawionemi szafkami. Były to prywatne archiwa, gdzie obrońcy trzymali akta w bieżących sprawach i oznakę swej godności — frak, zazwyczaj mocno sfatygowany...

W tej to wstępnej sali wrzało w godzinach sądowych gorączkowe życie. Depedenci przyjmowali tu informacje od od swoich patronów, patronowie od swoich klientów, a ci ostatni nierzadko od swoich doradców, których, prawdopodobnie z uwagi na stanowisko, jakie obierali w przysionku sądowym, pokątnymi zwano...

Tam, w kącie sali, niepodal od okna stoi wyrazista postać takiego doradcy. Wysoki, barczysty, z potężnym garbem, nadającym całej figurze kształty karjatydy, uzbrojonej potężną pałą, w rodzaju tych, jakie zdobią pięście olbrzymów na herbie państwa sąsiedniego, stoi sławetny Niedziałkowski w milczeniu, wyczekując swej ofiary i wodzi nienawistnym wzrokiem po

otoczeniu, aby w stosownej chwili, podniesionym głosem wyrazić swoje niezadowolenie, lub jaką sarkastyczną uwagę nad uzdolnieniem, lub charakterem patentowanych obrońców. Postać to znana całemu miastu,



IMĆ PAN NIEDZIAŁKOWSKI.

podpatrzona i scharakteryzowana swego czasu przez niezapomnianego Panczykowskiego w komedji Anczyca „Łobzowanie“, ostatni typ zaściankowej palestry z zamierzchłej epoki.

Była to uosobiona skandaliczna kronika Warszawy, przedmiot postrachu gawiedzi ulicznej i cel jej pocisków w chwilach, gdy przesuwając się milczkiem przez ulice miasta, rzucał sławetny Niedziałkowski z pod swego brązowego, bandyckiego kapelusza, nienawistne dokoła spojrzenia... W godzinach audjencjonalnych trybunału zawsze spotykano tę postać w temże samem miejscu, pod oknem przysionka, z sardonicznym uśmiechem miotającego półgębkiem jakieś obelżywe słowa przeciw nieznanym wrogom. I długie lata powtarzał się ten sam tryb życia i postępowania pokątnego doradcy, aż pewnego razu z zadziwieniem ujrzano opróżnione pod oknem jego stałe stanowisko... Niebawem rozeszła się po mieście pogłoska, że nieznanym i niewykrytym sprawcą ułatwił sławetnemu Niedziałkowskiemu bezpaszportową podróż do państwa Plutona... Zmiażdżona czaszka była jedynym śladem zaciekleści, z jaką tajemnicza ręka krwawe swe dzieło spełniła...

W tłumie różnojęzycznym gawiedzi zapelniającej przysionek trybunalski, wyróżniała się inna postać zakulisowego świata sądowego.

Pomimo przydługiego surduta i okazałej brody—nieszpetne oblicze, oczy mądre, zdradzające niezwykle rozum i szanującą się powagę, bynajmniej nie licowały z zawodem chyłkowego jurysty, przez właściciela owych akcesorjów piastowanym. Towarzyszył mu zwykle mniej charakterystyczny, lecz wydatny tuszą swoją, syn, przedstawiający symbolicznie praktyczne stosowanie teoryj ojca. Był on wykonawcą jego zleceń, pośrednikiem między klientelą niższego autoramentu, a samoukiem teoretykiem, uosobionym w postaci ojca.

Złośliwe języki szeptały po kątach, iż ów, dawno

już nieżyjący; domorosły jurisprudent w chalcie, „starym Weissem“ nazywany, był dopuszczany do konsultacyj w najzawilszych sprawach przez patentowanych nawet mecenasów i, że zdanie jego, nierzadko gruntowne, oparte na doświadczeniu i znajomości przepisów prawa spadkowego i hipotecznego, stanowiło podstawę, na której wytaczano skargę, formułowano zasady obrony przed kratką. W podwójnej swej roli: dostarczyciela spraw obrońcom i ich rzecznika zakulisowego kierował się „stary Weiss“ niezaprzeczenie pewną dozą etycznych pobudek, w przeciwieństwie do syna, „młodego Weissa“, któremu nie wiele zależało na etyce sprawy, a więcej na „jej wygraniu“, bądź co bądź. Był też przeciwnikiem polubownych tranzakcyj i zdecydowanym zwolennikiem procesów—aż do skutku... Opowiadano w izbie obrończej, iż w pewnej zawilej sprawie, gdy już Obrońcy stanąwszy przed kratkami zabierali się do rozprawy, wpadł do sali Trybunału „młody Weiss“ czerwony jak burak i pełnym tajemnej wściekłości, szeptem odezwał się do przeciwników:—„Nie ze sprawy! Stało się wielkie *świnstwo!* Strony *pogodziły się!!...*“

W tłumie, jaki się gromadził w Trybunale, oczekując otwarcia sal audencjonalnych, kręciła się często inna figurka *ejusdem farinae*. Był to niejaki Rosenblatt. Talmudyczny, nieco na bakier przekreślony umysł. Niski, krępy, czarny, puciołowaty, o małych, bystrych, czarnych oczkach, przechadzał się ów osobnik po sali, zagadując znajomych językiem czystym, bez nieprzyjemnych dźwięków gardłowych, właściwych temu gatunkowemu typowi. Odczytanie się wszelkiego rodzaju kodeksami (handlowym zwłaszcza) umieściło Rosen-

blatta w rzędzie powag pokątnego świata sądowego. Szukała jego rady i pomocy klasa bogatszych starowierców żydowskich. On jej swem okrągłem, nieco tureckie figlasy przypominającym, piśmem redagował wszelkie akta, kontrakty, komplanacje, a nawet, jako znawca hebrajszczyzny, tłómaczył oryginały dokumentów żydowskich na język polski. Gdyby nie zbytne posiłkowanie się komentarzami, możeby swego czasu uzyskał był Rosenblatt prawo stawania w sądzie handlowym w charakterze pełnomocnika. Ale gdy pewnego razu w jakiejś sprawie wekslowej przywiózł do sądu furę książek i zapragnął dowieść uczciwości niewypłacalnego dłużnika poglądami Pawła Pont'a, Rogron'a i Delvincourt'a, tak przestraszył swoją erudycją prezesa sądu, że stracił raz na zawsze debit dla swej kwiecistej wymowy w obrębie gmachu sprawiedliwości handlowej i przeniósł działalność do jego przysionka.

Szcześliwszym oden był towarzysz pokątnego zawodu, niejaki Silberlast, niski, bez zarostu, starannie przyczesany, w krótkim surducie jegomość. Niepoczesana ta figura była istnym postrachem dla niewypłacalnych dłużników, których mściwość zagranicznego wierzyciela w jej ręce oddała. Jak nieubłagany cerber, węszył Silberlast osobiście po najtajniejszych zaułkach ukrywającego się dłużnika, a śledząc wszystkie kroki ofiary, otaczał ją coraz ściślejszym łańcuchem i w danej chwili, w asystencji komornika, rzucił się na nią i zmuszał do kapitulacji. O ile działalność Silberlasta na tem polu była energiczna, o tyle na polu wymowy przed kratką sądu handlowego szwankowała nieco brakiem prostoty i błędnem stosowaniem uświęconych formuł kratkowych. Słyszac obrońców, przemawiających do

sądu z należnem uszanowaniem, mniej więcej w słowach: „miałem zaszczyt przedstawić sądowi etc.“, zapomniał się p. S. w zapale do tego stopnia, że krzyknął pewnego razu: „Szanowny Sąd Handlowy miał zaszczyt usłyszeć odemnie etc.“. Innym razem, wyłuszczając przed sądem ważność wekslowego zobowiązania, wyciągnął uroczystym gestem prawicę i zawołał: „Szanowny Sąd wie zapewne, co to jest weksel? Weksel — to święta rzecz!...“



II.

Depedenci i torbiferowie. — Kącik adwokacki. — Przed bitwą. —
Dzwonki. — Trybuna obrończa. — Woźny Krasnodębski.

Z takich i podobnego rodzaju osobistości rekrutował się przeważnie tłum, zalegający przedsiónek sądowy w godzinach rannych, nim dzwonek prezydujących sędziów w wydziałach dawał znak do rozpoczęcia rozpraw. Krzyk, hałas, kłótnie, głośnie narady, zlecenia i swary, stanowiły tło, na którym uwijali się pomocnicy patronów z aktami i tekami papierów pod pachą, oczekując przybycia pryncypałów do sądu.

Typowemi były postacie owych dependentów. Dzieliły się one na dwie kategorie. Znajdowałeś tu ludzi z jakim takim wykształceniem, obytych w szkole doświadczenia, rutynistów na polu procedury. Byli także pomocnicy i pośledniejszego gatunku—zwykli torbiferowie, których zadaniem było dźwiganie pliki papierów patrona, pilnowanie wokand wydziałowych, by, na wypadek zbliżenia się kolei sprawy, zawiadamiać o tem

obroncę i naglić go do pośpiechu. Znajdowali się tam ludzie dobrze już posiwiali, znani sądowi i uważani za zastępców adwokackich *de nomine*. Tytułowano ich nazwiskami rodowemi pryncypałów. Byli między nimi i młodzieniaszkowie, zaprawiający się przy kratce do przyszłych samodzielnych występów na polu pokątnego doradztwa.

Wytworzyła się nawet między pomocnikami pewna hierarchja. Stary mecenas Szaniawski nadał dependentom starszym i rutynowanym nazwę *kapitanów*. Termin ten przyjął się z czasem i spopularyzował w sądach. Kapitanami byli: Imé pan Rykowski, pomocnik Andrzeja Brzezińskiego, Polichowski — mecenasa Majewskiego, Czerniejewski — mecenasa Łackiego, Józef Majewski — patrona Kowalskiego etc. Traktowali owi dygnitarze brać dependencką, z pewną wyższością i odcieniem pogardy, a nawet przybierali nieraz w obec swych pryncypałów pozę protekcyjną... Taki np. imé pan Majewski, dependent patrona Kowalskiego, z racji swej tuszy i małego wzrostu *antalkiem* zwany, nie mogąc sobie dać rady ze swym pryncypałem, który około godziny 12-tej z południa, odczuwał zazwyczaj nieprzeparty pociąg do złożenia wizyty handelkom winnym Tchoepego, lub Wolffina, chował zrećźnie czapkę swego chlebowawcy, by zapobiedz jego dezercji i nie dopuścić spuszczenia sprawy z wokandy. Bywalcy Trybunału nieraz bywali świadkami następującego djalogu: „Majewski! gdzież moja czapka?“ Na Imé Majewski z zimną krwią odpowiadał: „Jak się wprowadzi sprawę, która niedługo przypadnie, to i czapka się znajdzie...“

Zbliża się godzina rozpoczęcia audjencji sądowej.

Coraz gęściej wśród publiczności zalegającej przysionek pojawiają się gromady obrońców, śpieszących do kratki. Fraki ich czarne (wprowadzone dopiero obowiązkowo za przedostatniego Prezesa Trybunału, późniejszego Prezesa Departamentu Izby Sądowej, Michała Rogozińskiego) odbijają od różnobarwnego tła otoczenia. Wszystko to śpieszy do małej przybocznej salki, a raczej korytarzyka, zamienionego na izbę obrończą, gdzie, obok ścian, stoi zgruba ociosana ława i stół długi, na którym w nieładzie porozrzucane są teczki z papierami, zwiłki akt procesowych, kałamarze i pióra. Przeciwnicy, którzy za chwilę walczyć z sobą będą na ostre i wzajemnie wytykać sobie bezzasadność rozumowania, teraz, w jaknajlepszej zgodzie witają się i rozprawiają z sobą o rzeczach najobojętniejszych, o nowinach i wypadkach dnia, o rezultacie procesów z terminu poprzedniego, krytykując i chwając zapadłe wyroki, stosownie do tego, jaki kto z nich osiągnął rezultat.

Ciasna i niepozorna salka zapełnia się kapitanami, pomocnikami i torbiferami. Patronowie odbierają od nich papiery i raporta o kolei spraw naglejszych i o wydziałach, do jakich z mocy rozporządzenia prezydjalnego się dostały. Ścisk i zgłęb zwiększają się do tego stopnia, że trudno rozróżnić głosy rozprawiających z sobą. Dopiero dzwonki, odzywające się kolejno w rozmaitych salach przybocznych, kładą tamę zamętowi. Następuje względna cisza, wśród której słychać tylko trzask otwierających się na oścież drzwi sal audjencjonalnych i głosy woźnych: „Uciszcie się panowie strony!”

Znalazłszy dostateczny odpływ, zgromadzony tłum

przerzedza się i śpieszy do właściwych wydziałów, gdzie, za kratką, za stołami, zielonem, nieco w szary kolor wpadającym, suknem okrytemi, zasiada sąd, pod przewodem właściwych prezydujących, w asystencji sędziów, aesessorów i pisarzy.

Obok stolików, na uboczu rozmieszczonych, zasiadają podprokuratorowie, dający wnioski w sprawach władz rządowych, nieletnich i bezwłasnowolnych.

Obrońcą trybunę przedstawia ława drewniana, z oparciem, przytwierdzona do kratki, na której umocowany jest pulpit pochyły, służący obrońcom za podkładkę do akt sprawy. Komunikację między salą dla publiczności przeznaczoną, a sędziowskim stołem, stanowią drzwiczki, utworzone z części kratki, przy której odbywa służbę wożny audjencjonalny.

Senjorem owych wożnych, jakby jakiś wzorek z „*Pana Tadeusza*“ wykrojony, był imię Krasnodebski, wysoki i chudy staruszek, o wyrazistym obliczu, siwy jak gołąb, z powagą trzymający w ręce wokandę spraw i wygłaszający nazwiska stron i obrońców do sprawy powołanych.

Jest to żywa kronika wysokiego trybunału. Zna on wszystkich obrońców, jakby rodzinę własną, i z góry już przygotowuje obecnych do świetnej rozprawy, ilekroć przed kratkami staje znany z wymowy i talentu rzecznik.

Przyzywając publiczność do porządku stenterym głosem, ilekroć ujawni się między nią jakiś ruch żywszy, lub głośniejsze wymówione słowo, albo gdy prezydujący machinalnie sięga ręką po dzwonek, by nim parę razy w stół uderzyć, wpatruje się pan Krasnodebski w oblicza przeciwników, i rozważa w swoim

doświadczonym umyśle wszystkie szanse walki. Czasem uśmiech zadowolenia przebiegnie po jego obliczu, lub też grymas niechęci, gdy widzi, iż słowom ulubionego mówcy towarzyszy wzgardliwy ruch ramion przeciwnika.

Niemniej charakterystycznym typem woźnego audjencjonalnego był sławetny p. Dworakowski, urzędujący w Trybunale Handlowym. Z powodu podeszłego wieku i cierpienia nóg, pozwolono mu podczas wprowadzania spraw siedzieć na krzeselku, a że obowiązkiem woźnego było przestrzeganie spokoju i ogarnianie wzrokiem wszystkich zakątków sali, przeto specjalnie dla imię Dworakowskiego było zbudowane krzesło, opatrzone wysokimi nogami i schodkami. Tym sposobem, głowa Dworakowskiego, pomimo jego pozycji siedzącej, górowała nad tłumem, a znikwała dopiero w tedy, gdy w czasie narad Sądu nad wyrokiem. P. Dworakowski stawał na nogach i wraz z publicznością wychodził do sali pobocznej. Na głos dzwonka z sali audjencjonalnej p. Dworakowski stereotypowym ruchem otwierał drzwi i wzywał publiczność w wyrazach: „Panowie strony! Do wysłuchania wyroku“, poczem znowu głowa jego ukazywać się i górować zaczynała nad zgromadzoną w sali publicznością.



III.

Illacje. — Sprawy skrócone, sumaryczne i ordynaryjne. —
Wydziały. — Imć pan Świecki.

Audyencya rozpoczynała się zwykle od jednostronnych żądań stron, gdy przedmiotem sprawy było na przykład: ostrzeżenie hypoteczne, lub inne, wymagające rychłego zdecydowania, żądanie. Po większej części sprawy te odbywały się zaocznie, lecz zdarzało się, że przeciwnik, zaczaiwszy się, stawał niespodziewanie przy kratce i przynosił za swoim klientem obronę. Rozprawa wówczas stawała się ożywioną i częstokroć przybierała rozmiary poważnej walki...

Przypomina mi się tu incydent z powodu pewnej illacji przedstawionej Trybunałowi ze strony osławionego przed laty inkwirenta w sprawach polityczno-więziennych, generała Tuchółki. Był on w swoim czasie przedmiotem niezwyklej wśród palestry sensacji.

Przed rozpoczęciem posiedzenia pod prezydencją zacnego sędziego Wiktoryna Dobrskiego, zameldował się doń generał, z prośbą, by illację jego w sprawie

zapisania ostrzeżenia na majątku niewypłacalnego dzierżawcy, przyjąć zechciał pod natychmiastowe osądzenie. Prezydujący grzecznie oświadczył, że porządku wokandy zmienić nie może, lecz o ile Sąd przychylił się do żądania illacyjnego, wówczas Sekretarz Trybunału, Aleksander Pludrzyński, (późniejszy Patron) przyspieszy wydanie generałowi wyciągu wyroku, w celu wniesienia takowego do księgi hipotecznej. Po wprowadzeniu sprawy w kolei zwykłej i po ogłoszeniu przychylniej decyzji, Pludrzyński wydał obrońcy generała wypis. Taksa wynosiła 90 kopiejek, lecz Tuchołko chciał koniecznie skłonić Pludrzyńskiego do przyjęcia „za przyspieszenie“ kwoty rubli pięćdziesiąt. Gdy Pludrzyński żadną miarą na przyjęcie owego naddatku zgodzić się nie chciał, Tuchołko jastrzębim wzrokiem spojrzał na pisarza i sięgnąwszy do swych bogatych wspomnień rzekł: „Pan obrażony na mnie, bo ile sobie przypominam, byłeś w moim — referacie...“ — „Tak, panie jenerale — odparł Pludrzyński — takąż cyfrę pięćdziesiątki otrzymałem swego czasu z hojności pana jenerała. Wystarczy mi ona na życie całe...“

Po załatwieniu tak zwanych illacji, ogłaszał imię pan Krasnodebski kolej spraw skróconych, przedewszystkiem zaś — z terminem stałego. Były to sprawy pośpieszne, w których rola obrońcy redukowała się do czytania żądań, czyli tak zwanych konkluzji, i przedstawienia faktu. Odbywały się one po większej części zaocznie, choć i tu czasami zgłaszał się przeciwnik i zameldowaniem swej obecności udaremniał powodowi możliwość zyskania wyroku zaocznego. Pod tym względem procedura francuska była

bardzo uproszczoną. Zbytecznem było okazanie pełnomocnictwa, a samo oświadczenie przed sądem, że w powołanej sprawie ustanawia się ktoś z adwokatów obrońcą pozwanego, wystarczało dla odroczenia terminu do dni następnych, poczem dopiero przeciwnik wręczał obrońcy powoda swoje ustanowienie.

Wyczerpawszy wokandę spraw skróconych, imć Krasnodebski otwierał stronicę wokandy, na nagłówku której widniał napis: sprawy summaryczne“, i przywoływał je kolejną ich wpis.

O ile strony były do rozprawy przygotowane, rozpoczynało się wprowadzanie, gdy zaś jeden, lub drugi obrońca byli, jak mówiono, przeszkodzeni, torbifer obecny na sali upraszał jednego z kolegów nieobecnego, aby meldował sądowi o zaszłej przeszkodzie i sprawa odraczała się do czasu późniejszego, lub też do innego terminu.

Sprawy zwyczajne, czyli, jak je nazywano, ordynaryjne, odbywały się raz w tygodniu. Były to sprawy rachunkowe, graniczne, wymagające wyczerpującej instrukcji na piśmie.

W ubocznej sali, oddzielonej od wydziału pierwszego wąskim nieforemnym kurytarzykiem, mieścił się wydział drugi, w którym rolę przestrzegacza porządku i ciszy między publicznością pełnił woźny audjencyjnalny Świecki.

Charakterystyczną cechą owego dostojnika było, że nigdy nazwisk stron z wokandy wygłaszanych prawidłowo nie odczytywał. Pośpiech, z jakim czynności swego urzędu spełniał, i wzrok osłabiony, stawały się powodem dziwnych transfiguracji, tak, że

nikt już nie dziwił się, jeżeli zamiast np. „Prokuratorji przeciwko Wolskiemu,” lub: „Dziembusa przeciwko Trepce,” słyszano na głos wywoływane nieistniejące strony: „Przepiórkowski przeciw Gojskiemu,” lub też: „Derus przeciwko Klapce...” Przyzwyczajono się powoli do objawów roztargnienia i pośpiechu poczeiwego służbisty i z pobłażaniem przyjmowano tak niespodziewane metamorfozy, że względu na niekorzystne warunki, w jakich służba Świeckiego się odbywała. Wązka i ciemna salka wydziału drugiego, zaledwie mogła pełnić funkcję niepozornego przedśionka, a tu, kazano jej być jednocześnie salą sądową, miejscem dla publiczności i trybuną obrończą!...

Zwykle też ścisk i zgiełk w wydziale drugim były większe, niż w pozostałych wydziałach. Pilnować ciszy i porządku, wywoływać strony do sprawy, spełniać rozkazy prezydującego i zlecenia obrońców — wszystko to przechodziło siły jednego człowieka, a cóż dopiero siły pana Świeckiego, który nawet wygodnego oparcia przy kratce nie posiadał, aby mózż na niem lokować się jako tako z oznaką swego urzędowania — podartą w strzępy wokandą spraw bieżących!..

Pozostałe dwa wydziały Trybunału wprost dwóch pierwszych, na przeciwnym krańcu przedśionka rozlokowane, również nie grzeszyły odpowiednią gmachowi sądowemu okazałością. Były to ciasne, niepozorne pokoiki, w których natłoczona po brzegi publiczność, pozbawiona światła i powietrza, kupiła się ciekawie około obrończych trybun, i ciąglem przechodzeniem z jednego wydziału do drugiego zdwajała ogólny zamęt...

Jako obrazek pamiątkowy jednego z posiedzeń Trybunału, na którym pewien patron niezmiernie długą i nudną prawił orację, aż do stopnia wprowadzenia umysłów sędziowskich w stan drzemiaczki,



POSIEDZENIE TRYBUNALU.

(Żarcik naszkicowany w roku 1867 w izbie obrończej Trybunału, przez patrona Ludwika Marczewskiego).

przedstawiam rysunek naszkicowany odręcznie przez kolegę Ludwika Marczewskiego, zachowany szczęśliwie w mojej teczce pamiątkowej.

Bawiono się też wcale dobrze w pokoiku trybu-

nalskim obrończym, wypełniając chwile przerw między rozprawami przed kratką rozmaitemi konceptami ze świata adwokackiego. Niejedna anegdota, powtarzająca się w owej sferze, kto wie, czy nie urodziła się w wąskiej salce obrończej Trybunału warszawskiego, zawsze gwarnej, rojnej i chętnie przez starszych obrońców, znanych ongi z wyjątkowego dowcipu, odwiedzanej. Jako specymen lepszych żarcików godzi się przytoczyć niektóre.

Znaną była powszechnie dwójka zażartych przeciwników, uosobiona w głośnych, nieskończenie ciągnących się procesach, między niejakim Portugalskim a Gombińskim. Wszystkie instancje sądowe rozbrzmiewały ich nazwiskami. Niewiadomo, który z nich przedstawiał stronę pokrzywdzoną, a który krzywdziiciela? To tylke pewna, że byli *ambo meliores*. Agitowała się właśnie między nimi sprawa w Trybunale, lecz z powodu zawilości rachunkowych ogłoszenie wyroku odłożono do terminu następnego, w trakcie czego, Portugalski zmuszony opuścić na krótko Warszawę, zlecił swemu patronowi, by o rezultacie wyroku doniósł mu telegraficznie. Spełnił to życzenie patron i zatelegrafował do Portugalskiego w wyrazach: „Słuszna sprawa zwyciężyła.“ Bezzwłocznie nadeszła również telegraficzna odpowiedź kljenta w wyrazach: „Zaappelować natychmiast!“

Opowiadano sobie o pewnym pokątnym doradcy, który się chlubił, iż ma dostęp do sędziów i może jakoby skutecznie wpływać na ich sumienie. W pewnej trudnej sprawie zwierzył się on swemu obrońcy, iż mógłby wpłynąć na znanego z zacności sędziego i przechylić opinię jego na korzyść jednej ze stron.

Obrońca oburzył się i nadmienił, że tego rodzaju interwencja wprost przeciwny odniosłaby skutek... Sprawę wprowadzono i, ku wielkiemu zdziwieniu obrońcy, który w dobroć swej sprawy wierzyć nie mógł, okazało się, że ją wygrał... Pokątny doradzca z uśmiechem wyjaśnił, że do takiego rezultatu interwencja jego pomogła. — „Jakto! — zawołał obrońca. — Śmiałeś przemówić do sędziego za moim klientem? — Nie, panie adwokacie, u sędziego nie byłem, lecz posłałem mu kartę wizytową... przeciwnika!!“

Gdy za pewnym pokątnym doradcą zbiegłym z Warszawy, wysłano listy gończe, w sali obrończej mówiono, iż nie dziwnego, gdyż winkelkonsulent ów był bardzo poszukiwanym...

Żalił się pewien klient, iż w dwóch instancjach sprawę wygrał a w trzeciej ją — przewalił. Starał się pocieszyć go jeden z adwokatów uwagą, iż jeżeli wygrał dwa razy, toć może i przeciwnikowi pozwolić — wygrać raz jeden...

Stałym przedmiotem żartów adwokackich był niejaki Glikson, upoważniony do odbierania przysięg od żydów, przyczem zagajał ceremoniał przemówieniem w rodzaju: „Ćeba panu upśedzić, ze strzęsła sze żemia cała, kiedy Pan Bóg na górze Synaj zawołał: I nie będzie brał imienia Pana Boga twego nadaremno...“

Z owych to czasów pochodzi wesoła anegdotka pod tytułem: „*Pies, kataryniarz i żyd*“, opowiadana z właściwym jej recytatorowi, dowcipnemu ś. p. Ancowi, humorem. Rzecz się tak miała. Na ulicy Senatorskiej, wprost magazynu z wielką lustrzaną szybą, ongi przez firmę Chociszewskiego prowadzonego, usa-

dowił się kataryniarz i wygrywał popularne „ojra!“ Pies przybłąda, któremu melodia ta na nerwy nieprzyjemnie działała, usiadłszy na trotuarze zaczął wyć przeraźliwie, Rozgniewany kataryniarz, chcąc się pozbyć natręta, porwał kawałek brukowca i rzucił go na psa, lecz tak niefortunnie, że zamiast w psa — ugodził w lustrzaną szybę, i podzielił ją, nieproszony o to, na kilka części... Wybiegli subiekci ze sklepu i przyaresztowali kataryniarza. Dowiedziawszy się o jego nazwisku, uformowali mu sprawę o wynagrodzenie szkody w takiej cyfrze, że sprawa ta zakwalifikowaną została — nie do sądu spornego, lecz do Trybunału. W Trybunale przez obrońcę swego tłómaczył się kataryniarz, że jest tylko dzierżawcą katarynki, gdyż najmuje ją od jakiegoś żyda na Pradze zamieszkałego, że więc za szkodę odpowiedzialnym być może właściciel katarynki, lecz nie on... Trybunał obrony takiej nie uwzględnił i kataryniarza skazał. Skazany przypozwawszy do sprawy właściciela katarynki odwołał się do Sądu apelacyjnego. Sprawa przeszła do wydziału, w którym prezydował sędzia Józef Majewski, znany z systematycznej nieprzychylności ku chałaciarzom.

Pomimo rozdzielenia się głosów między sędziami, niemogącymi dopatrzyć się związku między wypadkiem rozbicia szyby, — czynem z winy kataryniarza spełnionym, a właścicielem katarynki, głos prezydującego przeważył i na wynagrodzenie Chociszewskiemu szkody, skazanym został — chałaciarz...

Jeden z grona sędziów (Walerjan Jezierski), który żywo, i jako człowiek i jako prawnik, odczuł bezzasadność takiego wyroku, spotkawszy po pewnym

czasie prezydującego Majewskiego, dla żartu ostrzegł go, aby się miał na baczności, gdyż rozżalony chałaciarz, uzbrojony potężnym kijem, wygrażał się, że nim obije prezydującego na ulicy...

— Pójdzie do kryminału, jeśli się poważy podnieść na mnie kij... — odrzekł ostrzeżony.

— Nic mu się nie stanie... — oświadczył na to Jezierski.

— Jakto?

— Rzecz prosta! Chałaciarz ów ma zamiar pożyczyć sobie owego kija od tokarza. Według twojej, kolego, jurisprudenccji, do kryminału pójdzie tokarz, a nie chałaciarz, który cię obije pożyczonym od tokarza kijem...



IV.

Aplikanci. — Teorja i praktyka. — Rutyniści.

W epoce, do której niniejsze wspomnienia się odnoszą, powołana do życia Szkoła Główna warszawska dopiero zaczynała wprowadzać w świat pierwsze zastępy wykwalifikowanych zawodowo prawników.

Stosownie do obowiązującej w owym czasie praktyki, zaszczycony dyplomem „magistra prawa i administracji“, wychowaniec wszechnicy warszawskiej, nim mógł uzyskać prawo do samodzielnego działania na polu advokatury, lub do objęcia posady w hierarchji sądowej, obowiązany był przechodzić wszelkie stopnie praktycznego wykwalifikowania się w charakterze aplikanta, w odpowiednich urzędach sądowych.

Aplikacja ta rozpoczynała się zwykle od niższych sądów policji prostej, następnie odbywała się w sądach poprawczych, kryminalnych, w wydziałach hipotecznych, w Trybunałach, a wreszcie w sekretarjacie biura prezesa trybunału. Tę ostatnią aplikacją wprowadził był około r. 1867 zamianowany w miejsce

posuniętego do wyższej instancji prezesa Polczyckiego, nowy prezes—Michał Rogoziński. Przygotowująca się do adwokatury młodzież znajdowała w praktycznych zajęciach, jakie jej wskazywano, materiał do gruntownego obznajmiania się z pozasądową machiną, nadającą bieg szybkiemu wymiarowi sprawiedliwości. Nie jeden z takich aplikantów, który, ucząc się w Szkole Głównej, miał tylko przybliżone pojęcie o formalnościach proceduralnych, tu, stykając się bezpośrednio z całym aparatem sądowym, nabierał wprawy i doświadczenia, w zawodzie prawniczym niezbędnego.

Takie skojarzenie teoretycznego wykształcenia z praktyką, stanowiło ważny element postępu w ciele obrońcem, i wносиło do zakamieniałej nieco rutyny obrońców dawnego autoramentu świeże siły, których właśnie, epoka, o jakiej mowa, koniecznie wymagała.

Nie posiadając przez szereg lat dziesiątków wyższej instancji naukowej prawnej, zawód obrończy, od r. 1830, do schyłku szóstego dziesiątka bieżącego stulecia, rekrutował się przeważnie, z nielicznymi tylko wyjątkami, z rutynistów i praktykantów w zawodzie sądowym.

Nierzadko spotkać można było w szeregach obrońców kratkowych—ludzi, bardzo mało naukowo wykwalifikowanych, którym, do objęcia zawodu obrończego wystarczała długoletnia praktyka, w charakterze woźnych, komorników i pomocników adwokackich. Ztąd też, pomimo rutynicznej biegłości, jaką tradycyjnie niejako patronowie trybunalscy słynęli, nie dostawało rozprawom kratkowym w tej instancji—elementu naukowego, sprowadzającego proces sądowy ze sfery zwyk-

lej „kłótni“, na pole dysputy szlachetnej i podniosłej o względną prawdę i prawo...

Podejrzliwem też okiem mierzyli początkowo starzy rutyniści pierwsze borykania się młodych magistrów z trudnościami na polu praktyki obrończej i niejedna ironiczna uwaga spadała na głowę niedoświadczonego patrona, ilekroć w toku obrony uważał za właściwe powołać się na jakiego komentatora francuskiego, w stwierdzeniu bronionej przez siebie tezy.

— Może być—słyszano wtedy w replice starego rutynisty — że tam jakiś pan Marcadé utrzymuje, że taki a taki przepis prawa, w ten a ten sposób tłumaczyć należy... „Chłopski rozum“ wszelako i „logika“ stoją wyżej nietylko od pana „Merkadego“, ale nawet i od litery prawa...

Nierzadko towarzyszyły owemu pogardliwemu traktowaniu komentatorów francuskich, ze strony rabulistów praktykantów Trybunalskich zjadliwe docinki i koncepta.

— „Zdaniem Carrégo — (wybitnego komentatora francuskiego)—głosił pewnego razu młody magister patron przed kratką,—niema zasady do niedopuszczenia dalszego badania świadków.

— Wysoki Trybunał — odciął się rutynista, ani *karęgo*, ani *bułanego*, słuchać nie potrzebuje, bo jakże koń może uczyć Sędziego?...”



V.

Organizacja palestry. — Patronowie. — Adwokaci. — Mecenasi.

Organizacja stanu obrończego w dawnych sądach Królestwa polegała na podziale obrońców na trzy,— a właściwie, na cztery—kategorje. Do pierwszej, najniższej, zaliczano obrońców przy sądach pokoju, rekrutowanych wyłącznie z praktykantów sądowych, odznaczających się jaką taką znajomością przepisów proceduralnych, a promowanych następnie za przykładowe pełnienie obowiązków — na urząd patronów przy trybunałach.

Do kategorii drugiej należeli patronowie i pełniący ich obowiązki—specjaliści z wyższem wykształceniem uniwersyteckiem, lub też praktykanci, opatrzeni świadectwem ze złożonego egzaminu sądowego. Długoletnia ich, sumienna i uczciwa służba, poświadczona przez urząd prezesa Trybunału, torowała patronom wstęp do wyższej instancji t. j. do sądu apelacyjnego Królestwa. Wybitniejsze zdolności obrończe, prawosć nieposzlakowana i wziętość u publiczności, skracaly

patronom długoletnią trybunalską służbę, tak, że komisja sprawiedliwości, częstokroć po upływie kilkoletniej praktyki patrona, z urzędu posuwała go w hierarchji obrończej o stopień wyżej. Toż samo miało miejsce i z adwokatami przy sądzie apelacyjnym. Dostawali się oni do senatu, na urząd „Mecenasa“, bądź z racji zaszczytnego odznaczania się na polu obrony cywilnej, lub karnej, bądź też w następstwie egzaminu, złożonego przed „najwyższą komisją“, w gronie której zasiadali dostojnicy sądowi, senatorowie i wyżsi urzędnicy komisji sprawiedliwości.

Zwykle, każdy obrońca niższy, obierał sobie jednego z kolegów starszych w urzędowaniu, któremu, sprawę wygraną, lub przegraną, powierzał do obrony w instancji wyższej. Mecenasi i adwokaci apelacyjni, pilnując się po licznych wydziałach i departamentach senatu, znajdowali zastępców w kolegach młodszych i ich opiece sprawy łatwiejsze powierzali w trybunale.

Zdarzało się jednak, i to dość często, że najgłośniejsi mecenasi, którym się zazwyczaj dostawały sprawy najważniejsze, chętnie stawali w trybunale u kratki, aby swoją powagą i wymową wpłynąć na wydanie zasadnego wyroku, już w instancji pierwszej. Nic więc dziwnego, że każdodziennie prawie przed kratkami trybunału stawali sędziwi i zasłużeni mecenasi i adwokaci, i podnosili w opinii ogółu znaczenie tej instancji, wpływając swoim przykładem, nauką i powagą, na kolegów młodszych.

Dzięki tej właśnie okoliczności jestem w stanie włączyć do zarysu niniejszego galerję głośniejszych z owej epoki obrońców, i przesunąć przed oczyma czy-

telnika, jakby w różnobarwnym kalejdoskopie, najciekawsze jej typy.

W epoce, o jakiej tu mowa, galerja obrońców poważnych starego autoramentu już się przerzedzać poczyniała. Znikały powoli z widowni kratkowej głośnie ongi nazwiska sędziwych obrońców senackich: Józefa Brzezińskiego, Józefa Chróścickiego, Jana Nepomucena Chęcińskiego, Łastowieckiego, Jana Dutkowskiego, Marcina Grabowskiego, Koisiewicza, Piotra Kobylańskiego, Juliusza Lübkiego, Wiktolda Moszyńskiego, Kaźmierza Podowskiego, Jakóba Rudnickiego, Józefa Skibińskiego, Augusta Trzetrzewińskiego, Stanisława Wilkoszewskiego, Ludwika Zalewskiego, Ottona Starzyńskiego, Pawła Piątkowskiego, Przeszkodzińskiego, Bryndzy. Z licznej tej falangi nestorów dawnej palestry zaledwie już kilkunastu starszych mecenasów dotrwało na swych stanowiskach, aby młodszemu, coraz liczniej napływającemu pokoleniu, przekazać tradycję poważnego traktowania zawodu obrończego. Lecz i ta pozostała stara gwardja, nie utraciwszy dawnej swej żywotności, nadawała ton prze-



MECENAS ŁASTOWIECKI.

wodni w chórze palestry nowszej, wnosząc do swych obron szlachetny element dyskusji naukowej.

Typowym okazem przeżytków dawnej mecenasury, sięgającej czasów Sądu Najwyższej Instancji, są tutaj reprodukowane sylwetki dwóch starych mecenasów,

utrwalone ołówkiem karykaturzysty Jakóba Sokołowskiego.

Przekazał nam Sokołowski między innymi, mecenasów: Łastowieckiego i Rudnickiego. Ani jeden, ani drugi nie nadawali się do tonu satyrycznego. Byli to, jak głosi tradycja, prawnicy zdolni, prawi, nieugięci w zdaniach, szanowani przez sądy i publiczność. Pamięci ich nie ubliża żart utalentowanego rysownika. Mecenase Łastowiecki był to jurysta dowcipny, cięty, replikował znakomicie od śliny i nigdy go



MECENAS RUDNICKI
w karykaturze.

przeciwnik nie mógł przyprzeć bezkarnie, jak się to mówi, do ściany, lub też zapędzić w myślą jamę, nieoczekiwanym zarzutem. Klasyczną była między innymi, jego odpowiedź dana pewnemu Prezydującemu w Sądzie apelacyjnym, gdy ten, nie zorientowawszy

się na razie w położeniu sprawy, odezwał się do mecenasa Łastowieckiego:

— Panie mecenasie, a dla czegoż to pan nie założył opozycji przeciw wyrokowi Trybunału, lecz wprost wystąpił z apelacją?

— Najjaśniejszy Sądzie!— odparł z partesa Łastowiecki. Byłem i ja tegoż dania, lecz kiedym klienta objaśnił, że możeby należało w drodze opozycji, a nie apelacji, wystąpić przeciw wyrokowi, tenże klient drwiąco odezwał się do mnie: dziwi mnie ze strony doświadczonego prawnika taka rada, wiadomo bowiem, że przeciw ocnemu wyrokowi pierwszej instancji, jedynie apelacja się zakłada!!...“



JAKÓB JÓZEF RUDNICKI,
Mecenas.



VI.

Mecenas-jubilat.—Charakterystyka pana Edwarda.—Czyn i zasady.

Rozstępują się z uszanowaniem zastępy słuchaczy w sali audjencjonalnej trybunału, a imię pan Krasnodębski uroczystą przybiera minę, przywołując obecnych do porządku i ciszy, gdyż właśnie, przygarbiony nieco, z lekkim uśmiechem na ustach, ze zwitkiem papierów pod pachą, w asystencji jednego z najstarszych torbiferów, zbliża się do kratki głośny mówca i prawnik — mecenas Edward Grabowski.



EDWARD GRABOWSKI,
Mecenas.

Oto pan Edward, po ułożeniu potrzebnych dokumentów na trybunie, skłoniwszy się z uszanowaniem przed kompletem sądu, a z gracją przed swoim przeciwnikiem, i przemówiwszy do niego kilka serdecznych, a dowcipnych słówek, z cicha, na wzór owych

rycerzy francuskich, co to przed walką na śmierć i życie salutują się wzajemnie, składa jakby do modlitwy ręce i oparłszy się z lekka o balustradę trybuny, rozpoczyna swą przemowę do sądu.

Mianem mówcy cechuje ogół zazwyczaj człowieka, wyrzucającego z piersi olbrzymi zasób głosu, gestykulującego przesadnie przed zastępem słuchaczy, lub posiłkującego się doborem słów wyszukanych, lub górnolotnych, pięknie brzmiących frazesów.

Takie o mówcy mający wyobrażenie zdziwiłby się niezmiernie, gdyby ujrzał przed kratką sądową przemawiającego Grabowskiego.

Niskiego wzrostu, szczupły, wątlej, o chorobliwym wyglądzie twarzy, nie usprawiedliwiał na pozór głośny ów rzecznik ustalonej swej oratorskiej renomy. Tem mniej odpowiadał Grabowski warunkom krasomówczego oddziaływania na nerwy słuchaczy... Mowa jego była spokojną, „codzienną“, pozbawioną wszelkich oratorskich kwiatków.

Sila jej wszelako tkwiła w umiejętnej ekspozycji faktu, w stawianiu oderwanych teoryj prawa na gruncie życiowej praktyki.

Znakomity mówca francuski, Lachaud, zwierzył się raz przed zaufanymi, z metody, jakiej się trzymał w obronach. Umiejętnemu stosowaniu tej właśnie metody, zawdzięczał on liczne swe tryumfy.

Otóż, w każdej sprawie, jaką przyjmował do obrony, starał się Lachaud uchwycić gwoździć jakiś (*un clou*), na którym, w wywodzie sprawy, wieszał najważniejsze argumenta obrony.

Skupiona około takiego „gwoźdźcia“ uwaga sędziów poddawała się zwolna wpływom argumentacji obron-

czej, a obezsilona ich atakiem, zdawała się w końcu na łaskę i niełaskę rzecznika.

Tej metody wyrobionej własną obserwacją i talentem trzymał się zawsze p. Edward. Nienawidząc tego, co u Francuzów nosi miano *d'une harangue*, starał się Grabowski przedewszystkiem o prostotę i jasność dykcji, o zrozumiały i naturalny wykład „czynu sprawy“, a gdy już był przekonany, że wytyczne jego punkta utrwały się i osiadły stale w umyśle sędziego, przystępował dopiero do naukowej strony przedmiotu.

I tutaj wykład jego celował niezmierną jasnością i przejrzystością treści i formy. Najzawilsze kwestje prawne wychodziły przy tak umiejętnem obrobieniu w postaci zrozumiałej i dostępnej dla umysłu słuchaczy.

Lecz nie w takich jedynie zaletach profesyjnych szukać należy wyjaśnienia wielkiej popularności pana Edwarda, jako obrońcy.

Po za znakomitym obrońcą, przekonującym mówcą i szermierzem kratkowym, stał jeszcze człowiek prawy, sumienny, koleżeński, uprzejmy, nieskazitelnego charakteru, otaczający każdą przez się bronią sprawę przejrzystą atmosferą słuszności. Tak, jak mamy pewne sympatje i uprzedzenia do danych firm, uważając, że wszystko, cokolwiek godłem tej firmy jest opatrzone, musi być dobrem—tak też i w obliczu sądu, firma mecenas Grabowskiego była rękojmią, że sprawa, której obrony się podjął, musi być dobrą i uczciwą.

Wokanda spraw bronionych przez Grabowskiego była pokaźną. Spotykano na niej historyczne nazwiska Wielopolskich, Lubomirskich, Czartoryskich etc.,

stojące rzędem ze skromnemi, demokratycznemi firmami.

Zamknęła się ta okazała lista z dniem 1 lipca r. 1876. Lecz po latach 50 pracy otworzono na nowo księgę zasług jubilata, i oto na zebraniu uroczystem odbytem w dniu 4 listopada r. 1884 w sali Resursy kupieckiej, wśród wielu mów okolicznościowych, przypomniano jubilatowi i publiczności pożyteczne zasługi sędziwego obrońcy, jako żywy przykład i wzór do naśladowania dla pokolenia młodszego.

Jako pamiątkę owej uroczystej chwili przytaczam tu ustęp z przemowy do jubilata, wygłoszonej przez ś. p. Henryka Krajewskiego:

„Co szanowny jubilate, osobistość twą nade wszystko czyniło drogą współobywatelom, to—szlachetne i wzniosłe twoje pojmowanie stanowiska obrońcy i jego zadania, jednego z najważniejszych, a zarazem najtrudniejszych w społeczeństwie.

„Gdzie brakuje rozumnego poczucia godności osobistej i obowiązków społecznych, tam adwokatura jest tylko źródłem szynkany, wyzyskiwaniem ciemnoty i występku, rzemiosłem nienawistnem i pogardzanem, sączącym zgorszenie w łono społeczeństwa.

„*Perversa juris scentia civitati nocet.*

„Inaczej wszakże powołanie obrońcy było i jest rozumiane u nas, przez wiernych swym obowiązkom stanu naszego przedstawicieli, karmionych zdrowemi i zacnemi tradycjami naszej społeczności, wychowanych na odwiecznej rzymskiej *ratio scripta*, na drogich nam, ile zgodnych z potrzebami wieku, zasadach dawnego naszego prawa, na rozumnem prawodawstwie kodeksowem. Pod panowaniem kodeksu — który jest

prawie twoim rówieśnikiem, nowsza nasza adwokatura i notarjat — także twoi rówieśnicy — przyzwyczaili się do logicznego myślenia; wyrobiły się wśród nich dojrzałe i konsekwentne pojęcia prawne, wolne od fantazji i samowoli, uczyliśmy się godzić prawo z słusnością, jednoczyć i urzeczywistniać, w miarę sił, te dwa najwyższe ideały prawnika.

„W naszym pojmowaniu, adwokatura nie jest funkcją, ani aferą prywatną, ale jest ona urzędem publicznym, *munus publicum*, przy którego sprawowaniu nie wolno zaciemniać prawdy szychem fałszywych argumentów, nie wolno oddawać swej wiedzy i sumienia na służbę bezprawia i niecnoty.

„U nas światły i prawy obrońca i rejent przede wszystkim zapobiega sporom, usuwa zawikłania, pod egidą prawa i sumienia urządza stosunki społeczno-prawne, wyrównywa konieczną z kądiną sprzeczność interesów prywatnych. doprowadza je do rozumnej równowagi, kierując się zawsze najwyższem prawem dobra publicznego.

„Takiemi, jak rozumiemy, zasadami, kierowałeś się zawsze, czcigodny jubilacie, w ciągu twego trudnego i długiego zawodu. Te właśnie zasady, stale przez ciebie praktykowane, zjednały ci cześć i miłość powszechną.

„Jak tego gorąco pragniemy, tak też i nie wątpimy, że dalsze nasze pokolenia obrońców i rejentów, tak samo jak poprzednie, pojmować będą swe obowiązki profesjonalne i społeczne.

„Za przykładem zacnych poprzedników, w szeregu których, szanowny jubilacie, zaszczytne zajmujesz miejsce, nowe pokolenia, czyniąc zawsze i skrupulatnie

zadosyć wszystkim wymaganiom porządku publicznego, bez którego niebuduje się nic trwałego, stojąc zawsze na niepożyтым gruncie prawnym, sterując się najgłębszym poszanowaniem dla prawa i słuszności razem, jako będących dla nas jedynym, godziwym a skutecznym orężem i niezłomną tarczą naszą, żyć będą z swem społeczeństwem, służyć mu jako wierni jego synowie dzielić jego radości, a więcej, boleści,—załatwiać trudności, łagodzić i usuwać jego niedole w granicach rozumnej możności, uczciwą pracą i zamięłowaniem dobra publicznego podnosić własną godność, a zarazem godność współobywateli i tem samem przyczyniać się dzielnie do spokojnego i prawidłowego, a trwałego rozwoju społeczeństwa i jego pomyślności.

„W imię tych zasad przybyliśmy tutaj, ażeby je uczcić w twojej osobie, jako godnego ich przedstawiciela“.

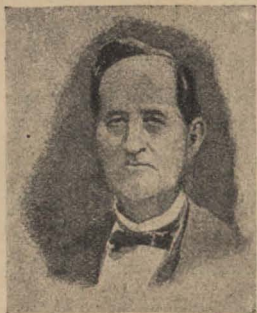
Jubilat odpowiedział i przypomniał swą mową dawną świetną epokę krasomówstwa.

Była to autobiografia, pełna skromnego uroku, w której przeszłość sądownictwa przeglądała się jak w zwierciadle. Mówiąc o sobie, odsłonił Grabowski jasne oblicze nauki prawa. Fragment o uniwersytecie i jego studentach, pomiędzy którymi był taki Tiss, Krasiński i Szopen, przejął wszystkich rzewnem uczuciem.

Skromne przemówienie swoje zakończył jubilat serdecznem podziękowaniem dla kolegów, za te kilka chwil szczęścia, jakie uroczystość jubileuszowa mu przyniosła.

Gdy głos starca ucichł, sala zagrzemiała głośnami okrzykami.

Z kolei przemówił Wincenty Majewski. Niby humorystycznie nadmienił, iż będąc uczczony obchodem podobnym, razem z Nowakowskim, czekał, w myśl zasady: *tres faciunt collegium*, na jubileusz trzeciego, a czekać było warto, mając otrzymać takiego towarzysza! Wszedłszy na tor taki, mówca przerzucił się znów do studenckich czasów i wykazał, w jakiej szkole prawnicy kształcili się i ile kultura nasza im zawdzięcza.



WOJCIECH HELCEL,
Mecenas.

Współjubilatem dnia tego był Wojciech Helcel. Na wyraźne jednak jego żądanie wstrzymano się od obchodu na cześć jego, pozostawiając Grabowskiemu całą uroczystość, na którą tak bezpodzielnie zasłużył. Zygmunt Krysiński wydobyl Helcela ukrytego w cieniu i w obszernej przemowie uczciwą jego pracę przedstawił.

Przytaczam tu wiersz, który wypowiedziałem na zakończenie uroczystości. Niech mi po latach tylu, gdy już z rymem i rytmem mowy wiązanej żadnych nie mam stosunków, powołać się na zdanie o owym wierszu jubileuszowym wypowiedziane przez *Gazetę Polską* (№ 256 z r. 1884). „Wiersz ów — pisano — trafnie określający dzisiejsze stanowisko obrońców, w porównaniu z minionym trybem, pełen był dowcipu i humoru, lubo humor ten, z natury rzeczy, niestety, musiał nosić na sobie cechę tego, co Niemcy dosadnie nazywają: *Galgenhumor!*”

Oto jego osnowa:

Gdy Temida, bogini prawniczego świata,
Nową maskę przywdziała — usta Jubilata
Zamknęły się na długo dla rodaków uszu...
Dziś jednak, w uroczysty dzień Jubileuszu,
Do serc naszych dolata echo czasów owych,
Gby do sal przybrudzonych, wejść niemarmurowych,
Cisnęły się poważne, palestranckie rzesze,
Ku sędziów zbudowaniu i tłumów uciesze,
By, w rączym pojedynku słów i argumentów,
Adwersarzy pokonać i bronić klientów...

Mecenas dawnych czasów, była to — persona
Otoczona respektem sędziowskiego grona;
Gdy rzecznik tak poważny przed kratkami gadał
I złość ludzką potępiał, a nad nędzą biadał,
To prześwieatny Trybunał, z łzą wzruszenia w oku,
Już z góry redagował sentencję wyroku
I *lucra* a „przezyski“ komputował skrycie.
By pracę mecenasu uczcić należyście...

W miodopłynnym wywodzie treści aktoratu,
Mecenas, broniąc prawdy, nie folgował bratu...
Krzyżową walczył sztuką; nie szczędził języka
I rąbał na kapustę fortel przeciwnika!

Nienapróżno palestrant za prawdę się wiesza...
Uczyła się mów jego dependentów rzesza,
Bo Trybunał był szkołą, skąd umysł jurysty
Wynosił zdrowie ziarna Temidy ojczystej.
Nie znano wówczas jeszcze tej cudacznej sztuki,
By rwać się do palestry bez głębszej nauki
I, z ławy *almae matris*, czepiając się kratki,
Nauce, a powadze, pstre przypinać łatki...

Dzisiaj, lada „chodataj“, o tępym rozumie,
Gdy ze skryptu prostego „isk“ ułożyć umie,
Lub, gdy pomny zasady: że czujny wygrywa,
Nie głową, lecz — nogami wyrok wydeptywa,

Już ma się za jnrystę i w palestry chórze,
Jak Jankiel na cymbałach, gra na procedurze!

Zacny panie Edwardzie! Nie takie to czasy,
Na Twoje palestranckie patrzyły zapasy!
Gdyś, jako szermierz słowa, stał w sądowej sali,
A woźni kontuszowi kratek pilnowali,
Inny splendor otaczał Temidy rzecznika,
Inna broń na zagładę wiodła przeciwnika...
Gdyś przed sądem, człowiecze obnażał fortele,
Nie pytał sąd: Ktoś Waszmość? Czy masz mandat
[w „diele“?
Lecz patrzył w Twe oblicze, słuchał Twojej mowy,
To był mandat najlepszy w obronie sądowej!

Poetycznem przysłowiem pośród nas zostało:
Że choć Wojski grać przestał, to zań echo grało...
Zaiste. Dotąd jeszcze wymowy Twojej echo,
Gra na sercach słuchaczy tą słodką pociechą:
Że chwile ciężkiej doli, przelotne w tem życiu,
Ziarno lepszej przyszłości kryją w swem powiciu,
Że jutrznia odrodzenia błysnie nam na nowo,
I znów będziem się bronić obron Twoich mową!

*

*

*

Dnia 25 lutego roku 1899 zmarł ś. p. Edward Grabowski. Oto kilka dat biograficznych z żywota mecenasa Grabowskiego. Urodził się za czasów księstwa warszawskiego w d. 15 czerwca 1809 r. Po ukończeniu szkoły Pijarów wstąpił w r. 1825 do b. Uniwersytetu Królewskiego, który ukończył w r. 1826. Od roku 1835 urzędował w zawodzie obrończym, najprzód jako patron przy trybunale cywilnym, później od r. 1846 jako adwokat przy sądzie apelacyjnym, od

r. 1853 jako Mecenaz przy Departamentach senatu,
w r. 1861 jako Obrońca przy b. Radzie Stanu. Zwłoki
zmarłego pochowano 28 lutego 1899 na cmentarzu po-
wązkowskim.



VII.

Drugi jubilat. — Jurysprudencja pana Wincentego. — Ważność konkluzji.

Lecz oto staje przed kratką nowy szermierz sędziwy, a krzepki, i z powagą doświadczonego rzecznika zapowiada sądowi wykład kwestji prawnej, wymagającej bacznej uwagi i skupienia ducha...



WINCENTY MAJEWSKI,
Mecenas,

„*Jurisprudentia* — wysoki trybunale — woła *tn exordio* obrony swojej Imé pan mecenas Wincenty Majewski — *est divinaarum et humanaarum rerum notitia et scientia!!!*”

Tak przygotowawszy komplet sądowy do uroczystego nastroju, inwokacją formuły starożytnych jurisprudentów, rozpoczyna pan mecenas opowieść czynu sprawy, owej wiązanki faktów, która w uściech jego przybiera

zarys romansu życiowego. Nim jednak od faktu przechodzi do zasady, wyjaśnia pan Wincenty sądowi wyrokującemu całą ważność i doniosłość konkluzji, bez której trafnego ujęcia i postawienia w pozwie, zasadnego wyroku nie ma i być nie może.

„Konkluzja, wysoki trybunale — głosi obrońca — to treść i dusza każdego wyводу prawnego. Czego żądasz? — pyta w duchu sąd? Jeśli żądanie twoje jest słusznem, musisz zwyciężyć! Od odpowiedniego sformułowania *żądań* — zależy należyte ustosunkowanie *praw* procesujących się stron! Jest to podstawa wszystkiego, granitowa opoka, na której się opiera gmach sprawiedliwości, wyrokowanie słuszne a rozumne! W takiej to właśnie niewzruszonej podstawie ducha ludzkiego, leży cała głębokość orzeczenia starożytnych rzymian: *Jurisprudentia est divina-arum etc.*“

Wymowa p. Wincentego — to odgłos wewnętrznego oburzenia na widok nieprawości działań przeciwnika. Nie było w niej słodyczy, uprzejmości i wyrozumiałości, które cechowały orację mecenasa Grabowskiego. Natomiast ton gniewny obejmował szeroką skalą wywody p. Wincentego, który, miotając potokami zarzutów, stawiał kwestję prawną na gruncie obywatelskich stosunków, uderzał taranem logiki w umysł sędziego i bił pięściami po jego smieniu, otaczał go siecią przytoczeń z praktyki sądowej i własnego doświadczenia, tak, że słuchający komplet nie znajdując w labiryncie zręcznych wywodów ujścia, chwycił się jak zbawienia nici rozumowań rzecznika i pozwalał sobą kierować bez oporu..

Znać było w Majewskim obytego z życiem i jego

wymogami obywatela. Dla jego bystrych spostrzeżeń i przenikliwego wzroku nie było sekretów w najzawilszej matni dokumentów. Podrzucał on cyframi i wyrachowaniami swego antagonisty, jakby piłką. Chwytał je w lot i wykazywał ich nicość. A gdy dysputa przeszła na tory stosunków ziemiańskich, wartości wysiewów i plodozmianu, nie się nie ostawało przed zasadnością wywodów rzecznika. Tu stał on na ulubionym i twardym gruncie, szermował znajomością rzeczy, przyciskał do muru przeciwnika, zamykał mu wszelkie drogi łatwego salwowania się ucieczką na pole frazesów i kwiatków i, w końcu, jak ów szermierz na arenie walki, dobitnem a jasnem sformułowaniem konkluzji wymierzał bagnet argumentów w pierś skruszonego antagonisty...

Pół wieku takiej pracy i wielostronnych zajęć na polu wszystkich towarzystw miejskich nie wyczerpało umysłu dzielnego starca. Pomimo licznej klienteli i rozgałęzionych stosunków, znajdował p. Wincenty czas na wszystkie zabawy, koncerty i zgromadzenia publiczne. Wszędzie go było pełno. Począwszy od redakcji pism poważnych, miesięcznych, aż do występów głośnego skrzypka, wszędzie Majewski świecił swoją obecnością. A gdy tak pracowicie spędzony dzień miał się ku schyłkowi, widywano dzielnego staruszka, jak śpiesznym krokiem dążył do swego biurka, by, pismem trochę w poprzek arkusza kaligrafowanem, zapelniać libry papieru obronami cywilnemi i karnemi w sprawach, lub też naprzemian—lekturą „Figara“, albo też głośnego jakiego romansu.

Wincenty Majewski urodził się na początku zeszłego wieku, w r. 1806, a ukończywszy uniwer-

sytet warszawski, zawód służby sądowej rozpoczął w r. 1825, zaś w r. 1829 uzyskał stopień mecenasa, a więc najwyższy w hierarchji obrończej ówczesnego krajowego sądownictwa.

W długoletnim tym zawodzie, Majewski od razu stanął w szeregu naczelnych szermierzy i utrzymywał stale to wybitne stanowisko, pozyskane niezwykłemi zdolnościami, wysokiem prawnem wykształceniem, swobodną, a świetną, porywającą wymową, i olbrzymią pracą, o której zaledwie jasne wyobrażenie powziąć mogą ci, którzy się sami przez długi czas tej wyczerpującej pracy oddawali.

Wszystko to złożyło na wielką popularność Majewskiego nazwiska, które było znane nie tylko wszystkim wykształconym mieszkańcom Warszawy, ale i na prowincji wyjątkowy miało rozgłos.

W każdej niemal ważniejszej sprawie Majewski musiał głos zabierać. Kiedy szło o tworzenie zakładów przemysłowych, instytucji wysokiej społecznej doniosłości, urzędzeń, które szeroką działalność obejmowały, Majewski znajdował się zawsze na swoim stanowisku.

On sam, albo też wspólnie z innymi, układał projekta umów, kreślił ustawy, wskazywał jasno program, według którego nowo-powstające towarzystwo ma i powinno działać, ażeby najpraktyczniej dojść do założonego z góry celu.

A miał on szczęśliwą rękę pod tym względem, może dlatego, że uwzględniając gdzie należało interesa prywatne, nie spuszczał jednak nigdy z oka pożytku ogólnego.

Ustaliło się też wieloma przykładami stwier-

dzzone przekonanie, że tam, gdzie Majewski wziął się do dzieła, rzecz była dobrze i praktycznie ułożona, i miała przed sobą warunki długiego trwania.

Nie na tem kończyła się jednak różnostronna działalność zasłużonego prawnika. Gorąco obchodziła go także sprawa piśmiennictwa krajowego. Wspomnieć należy, iż Majewski był również jednym z najdawniejszych, bodaj czy nie najdawniejszym, redaktorem pism perjodycznych u nas, między innemi współpracownikiem słynnego, wolnomysłnego przed rokiem 1831 *Kurjera Polskiego*, na którego nagłówku widniał pocztylion z trąbką, a do którego należeli: Mochnacy, Bronikowski i inni matadorowie ówczesnego dziennikarstwa warszawskiego.

Wcześniej rozpoczęła się jego publicystyczna praca, przerywana z konieczności ciągiem trudów sądowych, które główny jego zawód stanowiły; trzeba nadto pamiętać, że Majewski był jednym z najczynniejszych założycieli *Biblioteki Warszawskiej*, że czynnem współpracownictwem i materjalnemi zasobami popierał stale to pismo najstarsze i najzasłużeńsze ongi u nas, pomiędzy publikacjami ściśle naukowo-literackiej treści.

Wiele także rozpraw wysokiej prawnej wartości umieszczał on w wychodzącej przed rokiem 1831 *Temidzie*.

Jako jedna z popularniejszych osobistości w kraju, przeważnie zaś miasta Warszawy, doczekał się sędziwy mecenas 5 marca 1879 roku jubileuszu swych zasług, na której to uroczystości, kolega jego zawodu i przyjaciel p. Wincentego, mecenas Grabowski, uczcił go piękną przemową, autor zaś wspomnień niniejszych

humorystycznym wierszem, który, wydrukowany następnie w kilku pismach codziennych, brmiał jak następuje:

Kiedy się ludzie biorą za czuby —
Sądy szukają najwyższej chluby,
By zadowolnić tłum prawdy głodny
I wydać wyrok z kodeksem zgodny...

Lecz sądzić ludzi — trudna to sprawa!
Tu — w grze majątek, tam znowu — sława,
Tu — ludzka zręczność sieci rozkłada,
Tam sterczy podstęp, tu znowu zdrada...
Trzeba w tych ludzkich błędów chaosie
Poznać w ciemnościach prawdę — po głosie,
A tu — jak na złość, rzadkie przypadki,
By prawda w sądach „bila“ od kratki!

Mając tak wielką trudność na względzie,
Mądra Opatrzność rządząca wszędzie,
Stworzyła światu — obrończe ciało,
By *ono* — berłem słowa władało
I — gdy się rozum sędziego biedzi —
Mogło mu wskazać: — gdzie prawda siedzi!

Słowo! Potężna to dźwignia świata!
Ono to — serca, myśl — z myślą splata...
Kiedy drzemiaczka napada ludzi —
Słowo ich znowu do czynów budzi...
A gdy naprawia złe obyczaje
Słowo naówczas — czynem się staje...

Lecz są i inne działania pola
Gdzie również wzniosłą jest słowa rola,
Kiedy działając w uczciwej wierze
Kieszenie nasze w opiekę bierze,
I siłą zręcznych myśli polotów
Od różnych w życiu strzeże kłopotów...

Cny Jubilacie! Piastunie słowa!
Dziś dla cię błysła chwila godowa,
Że za półwiecznych prac poczet długi
Odbierasz hołdy czci i zasługi...

Klijentów Twoich liczna rodzina
Nazwisko Twoje dziś z czią wspomina,
Bo Twa wokanda, z inkaustu czarna,
Łśni, jako szata biała, ofiarna...
Jaśnieją na niej pracy znamiona:
Walka z podstępem, a cnót obrona!

Dźwigałeś ludzi z ostatniej nędzy,
Innymś napędzał w kieszeń pieniędzy,
Dzieciom dawałeś huk alimentów,
Starcom redakcję do testamentów,
Pannom — intercyz pisałeś stosy,
Spółkom — bez liku akcyjne losy...
Mowa Twa nieraz była walutą,
Bo gdy niedawno spisek uknuto,
By jedną z resurs puścić z subhastą,
Tyś — jako trybun zbuntował miasto,
A słowa Twoje — jak istne czary —
Zduśliły zgubne spisku zamiary,
Bo, gdy dłużnicy z strachu zdrętwieli,
Tyś — mówką spłacił złych wierzycieli!

To był Twój występ w rzeczy publicznej...
A gdzież Twych zwycięstw poczet ów liczny,
Gdyś jako prawnik, zręczny, a ścisły,
Kruszył na miazgę wraże pomysły?

Strasznyś wśród boju! — lecz po wygranej
Ojca miał w Tobie wróg pokonany,
Boś, jako rycerz szlachetnej broni,
Piorun miał w ustach, lecz serce — w dłoni!

Tak! Wieść procesy umiałeś świetnie!
Lecz Tyś je często tłumił szlachetnie...

Bo tam, gdzie proces mógł wzrość gardłowy,
Tyś radził zgodę i — mir domowy!...

Często — gdy w sprawach o prawość rodów
Brakło zupełnie jasnych dowodów,
By ten, co ojcem go nazywano
Mógł zasłużenie nosić to miano,
Ty, choć węszyłeś autorstwo dziecka:
Że ojcem jego — spółka zdradziecka,
Wołałeś: — tłumiąc obmów korupcję:
— „Precz mi z procesem! *Quem monstrant nuptiae* —
Ten sprawcą dziecka! Idź Waś do domu,
I nie czyn własnej godności sromu,
Nie spędzaj nocy przy białem winie,
A własnoręczny syn cię nie minie!

Często, gdy w stadłach nie było zgody,
Tyś im przynosił w tece — rozwody...
I — gdzie ust dwoje swary dzieliły,
Cztery się serca w szczęściu łączyły...

Gdy się co komu ukraść zdarzyło,
Tyś go od kozy bronił słów siłą,
I za tak szczytną pracy nagrodę,
Złodziej — Twą własną grabił komodę!

Gdys u obrończej przystawał deski,
Sąd szeptał z cicha: broni Majewski!
Więc pocóż męczyć tkanki mózgowe?
Już on motywa da nam gotowe...
Czyn i zasady tak nam ustali,
Że ich i Senat nawet nie zwali!

Walka — to życia Twojego normal!
Gdy nastąpiła sądów reforma,
Była to męstwa Twego oznaka,
Żeś wsadził „zakon“ w dziurkę od fraka,
I nowych ustaw przejrzawszy księgi
Spełniłeś „russką“ rotę przysięgi!

Więc sto lat żyj nam, mówco przysięgły!
Losy się nasze z tobą tak sprzegły,
Że nam weselej dla serc i ducha,
Gdy widzim w Tobie siwego zucha...

Tym więc toastem kończę swą mowę:
Niech do grobowej służy nam deski,
I niechaj święci dni brylantowe
Dzielny mecenas, wiarus — Majewski!*

Wymownemi słowy odpowiedział jubilat na wszystkie dowody czci i przyjaźni mu okazane. Wspomniiał zarazem o rzadkim fakcie, iż on, pięćdziesięcioletniej pracy palestrant, doczekał się szczęścia ujrzenia na swoim obchodzie jubileuszowym profesora, który pierwsze jego kroki stawiał na polu nauki. Tym zasłużonym mentorem sędziwego jubilata był ś. p. ksiądz Ś. Krzyża, ongi profesor szkoły OO. Pijarów na Żoliborzu, który wraz z innymi uczestniczył w obchodzie rzadkiej, a dlań podwójnie drogiej uroczystości.

Przypomniano sobie wówczas dowcipne odparowanie przez Majewskiego uszczypliwego wierszyka, ogłoszonego w odpowiedzi na toast ówczesnego senatora Badeniego, który z zasady nie lubił młodzieniaszków między palestrą obrończą. Było to jeszcze za czasów istnienia Sądu Najwyższej instancji, przed rokiem 1842, Gdy przyszło z kolei toastem uczcić zdrowie Majewskiego, stary Badeni, znany ze swej złośliwości, odezwał się:

„Gdzie są wielkie brytany, są i małe pieski,
Niech żyje mecenas Wincenty Majewski!“

Na to młody p. Wincenty odciął się z partesa dwuwierszem:

„Mały psiak -- większego zawsze bardzo ceni,
Vivat, niech żyje wielki pies Badeni!“

Tę świeżość umysłu zachował Majewski do lat sędziwych.

Pytany przez młodszych kolegów, czemu zawdzięcza, iż pomimo sędziwego wieku, zachował zamiłowanie swego zawodu? zwykł był odpowiadać: „Nie mogło być inaczej. Najprzód dlatego, iż matka moja była z domu Niezgodzińska, a powtóre, dlatego, że pochodzę z drobnej szlachty. Ojciec mój, procesując się zawzięcie z rodzonymi swymi braćmi, na jednym wózku jeździł z nimi do Trybunału...“

Z wielkim żalem całego społeczeństwa, krzepki starzec niezaślugo po swoim jubileuszowym obchodzie ułożył się do snu wiecznego.



VIII.

Polski Lachaud. — Inwokacja. — Oratorskie kwiatki.

O ile dwaj mecenas i jubilaci wytworzyli odrębną niejako szkołę wymowy potocznej, bez krasomówczych kwiatków, bez owych retorycznych zwrotów, działających na tłumy efektem wysokiego *cis*, w arji śpiewanej przez głośnego tenora, o tyle krasomówstwo w stylu francuskim, poparte odpowiednią gestykulacją i kunsztowną modulacją głosu, z przestankami, po których następowały zwykle efektowne zwroty oratorskie, miało jedyne, a sympatycznego przedstawiciela, w osobie znakomitego mówcy — Antoniego Radgowskiego.



ANTONI RADGOWSKI,
Mecenas.

Każdy występ pana Antoniego przed kratką sądową stanowił prawdziwą ucztę dla zwolenników tego

rodzaju wymowy. Kojarzył on z wywodami prawniczej natury, podkład czysto literacki i estetyczny.

W ustach Radgowskiego najzwyczajniejsze stosunki ludzkie, a nawet terminy specjalne, przybierały formę wykończoną oratorskiego perjodu. Nie uważano w ustach pana Antoniego za zwrot przesadny i niewłaściwy, jeśli np. mówiąc o „natychmiastowej wykonalności wyroku“, o tak zwanym „rygorze tymczasowej egzekucji“, podnosił patetycznie dwa palce do góry i określał ów środek prawny definicją: „że wyrok bez tymczasowej egzekucji jest to — kwiat bez woni; miłość — bez wzajemności...“

Wysokiego wzrostu, bez zbytej tuszy, z twarzą okrągłą, wygoloną, przyozdobioną tylko staropolskim wąsem, z lekkim uśmiechem i głosem lirycznie drżącym, uosabiał pan Antoni typ iście paryskiego adwokata przed sądem przysięgłych, grającego na uczuciu sędziego sympatycznymi a dźwięcznymi strunami dobrze nastrojonego instrumentu.

Zawsze starannie i elegancko przyodziany, z płastronem anielskiej śnieżystości, stawał p. Antoni u kratki i rozpoczynał orację od długiej, wymownej pauzy, w trakcie której, publiczność miała dość czasu, by się uciszyć i w skupieniu oczekiwać wstępu, nacechowanego podniosłym, uroczystym nastrojem.

A gdy już atmosfera ciszy i oczekiwania dostatecznie była przygotowana, słyszano wówczas, podczas jednej z głośniejszych spraw, rytmicznie utoczony wstęp oratorski:

„Na odległej wyspie... oblanej ze wszech stron... szmaragdowymi falami wód wielkobrytańskich... oparty o skałę... jak Prometeusz... stanął mąż wielki... jako

olbrzym, i objawszy orlim, szekspirowskim wzrokiem wszechświat... wyrzucił ze swej piersi głos wielki a brzmiały... by echem jego... echem tysiäcznem... napełnić serca i umysły współbraci...”

W takim duchu i takim stylem prowadzone były wszystkie bez wyjątku obrony pana Antoniego, a stosowały się one szczęśliwie do przedmiotu sprawy, gdyż nie było stosunku romantycznego, a niezwykłego, z którymby nie udawano się do rzecznika, rozmiłowanego w wyjaśnianiu przed sądem sytuacji niezwykłych i powikłanych romantycznie...

Zabójstwo, otrucie, śmiała kradzież, sfalszowanie testamentu, zaprzeczenie prawości rodu, małżeńskie swary, rozbicie statku, naruszenie własności literackiej, kontrafakcja, „podstęp w umowach”, —opracowany literacko przez Radgowskiego w oddzielnej pod tym tytułem rozprawie—krzywoprzysięstwo, zamorski miljonowy spadek i tysiäczne inne awantury i powikłania à la Gaboriau, stanowiły raptularz spraw głośnego mówcy. Zapalał się on do nich, przejmował do głębi duszy romantycznością sytuacji, aby wszystkie efektowne epizody roztoczyć przed sądem, olśnić go barwnym przedstawieniem, wzruszyć i nastroić sympatycznie.

Każda mowa Radgowskiego przepelnioną była aluzjami do terażniejszości. Drgała w nich struna uczuciowa, i nigdy prawie nie zdarzało się, by gromadząca się tłumnie w około trybuny rzecznika publiczność nie życzyła tryumfu sprawie—tak złotouście bronionej... Prawda, że sąd wyrokujący nie zawsze poddawał się wrażeniom tłumów, sympatyzujących z metodą obrony Radgowskiego i, w większości wy-

padków, przechylał się na stronę adwersarzy pana Antoniego... Nasz mówca jednak, nie zważając na zgryźliwe i ironiczne docinki przeciwnika, który delikatnie dawał do zrozumienia, że i najpiękniejszy frazes ostać się nie może wobec wręcz przeciwnej litery prawa, nie gniewał się, ani obrażał o taką krytykę... Znosił przegrane wyroki ze stoicyzmem godnym filozofa, a uzbrojony arsenałem nowych retorycznych zwrotów, przenosił się tryumfalnie do wyższych instancji...

Pierwszą świetną obronę, która głośnem echem odezwała się w kraju i zwróciła na mówcę powszechną uwagę, wygłosił Radgowski podczas burzliwych lat 1861—1862, w sprawie politycznej, uformowanej przeciw uczestnikom manifestacyj publicznych. Sądził tę sprawę specjalny komplet sądu wojennego w pałacu Paca, podówczas siedzisku Rządu Gubernjalnego, w sali zamienionej następnie na miejsce posiedzeń wydziału karnego sądu Okręgowego przy ulicy Miodowej. Prezydował podówczas w komplecie sądu generał Kornilowicz.

Radgowski w świetnej przemowie odwołał się do uczuć patryjotyzmu rosyjskiego, który kierowany szlachetnymi pobudkami wywalczył ongi niezawisłość narodu rosyjskiego z pod jarzma mongolów. Mówił o ofiarności patryjotów pokrewnego narodu i o zwycięstwie sprawy słusznej, która znalazła w Dymitrze Dońskim swego rycerza i bojownika.

Z uwagą i współczuciem słuchali sędziowie rosyjscy, od których życie i śmierć podsądnych zależały, wywodów utalentowanego rzecznika.

Wyrok zapadł względnie bardzo łagodny. Po jego ogłoszeniu, oficer dyżurny podeszedł do Radgowskiego

i zakomunikował mu, że generał Kornilowicz prosi go do siebie. Wszyscy spodziewali się surowej admonicji, a może i groźniejszych następstw...

Jakież jednak było zdziwienie kolegów mecenasa, gdy się dowiedzieli, iż generał Kornilowicz wynurzył podziękowanie Radgowskiemu za sumienne i ściśle spełnienie trudnego obowiązku, a następnie prosił go o pozwolenie odwiezienia obrońcy karetą do mieszkania, ze względu, iż mimo pory letniej, noc była chłodna, a Radgowski bardzo był zmęczony i wzruszony...

Po wprowadzeniu nowej organizacji sądowej, wycofał się Radgowski z palestry. Nabywszy nad Wisłą majątek Zelków w Siedleckiem, wybranym został tam na urząd Sędziego gminnego i temu obowiązkowi oddał się z zamiłowaniem. Zgon jego nastąpił 8 marca 1895 roku. Wspomnieć należy, iż Radgowski był czasowym Redaktorem i jednym z założycieli „*Przeglądu sądowego*“, który po kilkoletniem istnieniu, nie znalazłszy poparcia, zamkniętym został.

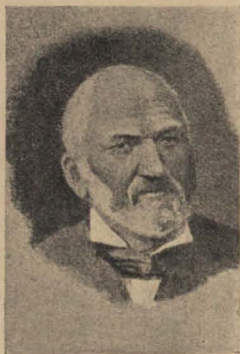


IX.

Pan Zygmunt. — Krótki program, a szerokie wykonanie. —
Walka przedkratkowa.

Niedbałym krokiem, głośno rozmawiając i uśmiechając się do przeciwnika, zbliża się do kratki okazała postać, w osobie—Zygmunta Krysińskiego.

Rębacz to nie lada. Obrona była dla niego zabawką. Nie patrzył nawet na głos obrońcy, na którym, oprócz komparycji i konkluzji, ręką pomocnika napisanej, znajdowały się zaledwie dwa wiersze obrony i inicjały własnoręcznego podpisu, mogącego oznaczać: *Krzyż, Krys, Krzyk, Kir, Knys, Kis, Kip, Kiz*,—nigdy zaś właściwe nazwisko — *Zygmunt Krysiński*.



DOMINIK KRYSIŃSKI,
Mecenas.

W pisaninę bawić się nie lubił nasz mówca. On wszystko wypowiedział, wygłosił, wysmiał, wydrwił,

tak, że z obrony przeciwnika pozostawał zaledwie jakiś skrawek, zasługujący na wyrzucenie za okno trybunału. Kratka obrończa — to była istotna arena dla popisu pana Zygmunta. Przychodził do sądu z improwizacją, w mglistych zarysach mając w umyśle zarysowany kontur obrony, i dopiero replika antagonisty podsuwała mu gotowy materiał do pomysłów mistrzowskich, a świetnych.

Przemawiając przed sądem, pan Zygmunt opierał się całą majestatyczną swą postawą o krawędź trybuny, a głowa jego, zawsze do skóry przystrzyżona, przerzucała się nieustannie na obie strony audjencjonalnej sali, jakby dawała znaki porozumienia rozciekawionym i oczekującym co chwila jakiej dowcipnej facecyjki słuchaczom. Niepodobna było nigdy przewidzieć, jaki obrót przyjmie obrona pana Zygmunta. I on sam prawdopodobnie obrotu tego nie przewidywał, gdyż wygłaszając, jakby od niechcenia, jakie zdanie, pracował myślą nad wynalezieniem nowego, dobitniejszego argumentu, a gdy mu się ten jakby na zawołanie nasunął, nie puszczał go już, lecz wysnuwał zeń tysiączne sylogizmy, waląc jakby taranem w osłabiony takim gradem pocisków szaniec obrony przeciwnika.

Najlepszy człowiek i kolega, najzacniejsze, gołębie serce, uosobiona dobroć i uczynność — nie znał pan Zygmunt litości dla swego adwersarza, choćby nim był od szkolnej ławy rówieśnik i towarzysz najmilszy. Podczas rozprawy przed sądem toczył on nieraz zakulisową szermierkę z przeciwnikiem, obrzucając go półgłosem epitetami, niewyjętymi ze słownika parlamentarnego.

Wszystko to uchodziło płazem panu Zygmuntowi

i tylko panu Zygmuntowi, nie miał on bowiem nieprzyjaciół między kolegami, i każdy otrzymawszy niespodzianą admonicję przed kratką i poza kratką, chętnie wybaczał ostre docinki rębaczowi, gdyż wiedział, że były tylko wynikiem sangwinicznego temperamentu, a nie złej woli. Młodzi zwłaszcza szermierze czerpali ze skarbnicy pomysłów pana Zygmunta jakby z własnej szkatuły tysiączne pomysły w najtrudniejszych kwestjach prawnych; a choć tytułem waluty zamiennej otrzymywali przy sposobności porządne kropidło od swego mistrza, znosili swój los z rezygnacją, nie żywiąc żalu do nieubłaganego rębacza. Nieraz się zdarzało, że poddawszy jaki dzielny pomysł swemu przeciwnikowi, z równą dzielnością zbijał jego wyniki przed kratką... Najzawilsze sprawy — podnoszenia starych, odwiecznych, depozytów z Banku Polskiego, głośniego ongi ze swych sekatur formalistycznych, przeprowadzał pan Zygmunt w krótkich i najprostszych fazach proceduralnych. Sam śmiał się i chwalił, że nikt tylu, ile on, milionów depozytów nie wydobył z piwnic bankowych. Na starość nosił pan Zygmunt ogromną, dziwacznej formy laskę grubą, którą nazywał kijem bankowym i twierdził, że za pomocą tego talizmanu Sezam się przed nim odmyka... Był przytem p. Zygmunt zręcznym, a nie złośliwym krytykiem rozporządzeń prezydjalnych, jak np. w sprawie tak zwanych sumarjuszów obrończych, które należało na stemplu dołączać do akt. Podał raz pan Zygmunt prośbę o wyznaczenie terminu i dołączył arkusz stemplowy na którym napisał: „W tej sprawie akt żadnych niema...”

Innym razem, miał p. Zygmunt sprawę z młodym, a bardzo zarozumiałym kolegą. Ten, dla popar-

cia swej sprawy, sprowadził do sądu całą kolekcję komentatorów francuskich i chętnie twierdził, że w nich znajdzie argumenta, któremi zmiażdży przeciwnika.

— Na komentatorów pańskich — odparł p. Zygmunt — znajdę lekarstwo — i posłał pomocnika do swej kancelarii. Niezadługo wraca torbifer z ogromną księgą in foljo, starannie owiniętą w papier... Zaciekawienie ogólne wzrasta, coby to za komentator krył się pod owym tajemniczym zwitkiem? Sprawa już się ma ku końcowi, a pan Zygmunt tylko palcem po księdze uderza, lecz jej sądowi nie ukazuje, zwalcza dosadnie wywody przeciwnika, zmieszanego nieco tajemniczem postępowaniem p. Zygmunta i — wygrywa sprawę... Okazało się, że pod owym papierem kryło się parę tomów — *Tygodnika Ilustrowanego*...

Przypatrując się metodzie obrony p. Zygmunta, gotowego bronić z jedną maęstrją dwóch wprost sobie przeciwnych tez prawnych, nieraz się słuchaczowi zdawało, że pan Zygmunt, ukończywszy swoją mistrzowską obronę, przejdzie na miejsce swego adwersarza i zacznie zbijać własne wywody z jednakim skutkiem. Była to natura nawskroś adwokacka, stworzona do nieustannych kontrowersyj, walcząca z amatorstwem, z potrzeby i z konieczności byle jakiej walki. Dodawszy do tego niewyczerpany zasób facecyj i anekdot z prawniczego świata, będziemy mieli w panu Zigmuncie niezrównany typ palestranta starej daty, coraz bardziej zacieraający się we wspomnieniach żyjącego pokolenia.

Głośną była swego czasu obrona pana Zygmunta, ogłoszona przed Senatem w sprawie osławionych do-

broczyńców ludzkości, uosobionych w postaci legendowych processowiczów wrocławskich: *Gąbińskiego* i *Dancygiera*, o symulację aktu.

„Jeden drugiemu pomagał, Rządzący Senacie—głosił między innemi Krysiński.—Byli to prawdziwi bracia: Kastor i Pollux! Lecz mieszkańcy Wrocławka, nie dość obeznani z mitologją, nazywali ich po prostu: „*Robert i Bertrand!*!”

Pewnego razu klient jakiś nudził go niekończącym się opowiadaniem szczegółów sprawy. Pan Zygmunt w trakcie tego przeglądał akta. Spostrzegł to klient i pyta: „Może ja pana mecenasa nudzę?”—Nie nie szkodzi — odpowiedział Krysiński. Ja pana wcale nie słucham...

Syn Dominika Krysińskiego, profesora ekonomji politycznej uniwersytetu królewskiego, deputowanego na Sejm Królestwa Polskiego przed r. 1831, ukończył p. Zygmunt dwa wydziały uniwersytetu: matematyczny i prawny. Ztąd nadzwyczajną posiadał biegłość w układaniu zawiłych planów klasyfikacyjnych i rozstrzyganiu kwestyj hipotecznych. Mawiał, że w materji hipotecznej, dorównywał jedynie mecenasowi Parisotowi. Po sprawdzeniu przejrzanego przez Parisota wykazu hipotecznego—twierdził Krysiński—raz tylko trzeba wykaz ów sprawdzić. Po każdym innym kole — dwa razy...

W stosunkach z kolegami, jak wspomniałem wyżej, nie bawił się w dyplomację. Jeden ze starszych kolegów uformowawszy bezzasadny proces i nie mogąc wyjść z trudnego położenia, pozostawił akta p. Zygmontowi, z prośbą o ich przejrzenie i poradę. Kiedy

po dniach kilku zgłosił się po odpowiedź, pan Zygmunt zagadnął go temi słowy:

— Jaka to szkoda, żeś kolega nie był Członkiem Rządu Narodowego w roku 1863!

— A cóż to ma za związek z moją sprawą?

— Bardzo prosty—odparł p. Zygmunt. Gdybyś był Członkiem Rządu Narodowego — powiesiliby cię i niemógłbyś tak niemądrego procesu wykoncypować...

W zadawnionej sprawie chłopów przeciwko Skarbowi, którym podczas wojny 1831 r. spalono chaty, powołał się raz pan Zygmunt na królowę korony polskiej, Jadwigę, która, wynagrodziwszy krzywdę materialną kmiotkom, żaliła się, że nie może im łez wylanych osuszyć. Napomniany z tego powodu przez Prezydującego poufnie, podczas przerwy posiedzenia, iż nie należy powoływać się na monarchinię polską, w obec reakcyjnych prądów, zakończył Krysiński złągodzoną w formie prośbą, iżby Sąd „miał w pamięci słowa zmarłej przed wiekami władczyni dziesięciu gubernji Królestwa Polskiego“.

Piękny życiorys Zygmunta Krysińskiego podało w roku 1887 czasopismo „*Kłosy*“, w tomie I № 1170.



X.

Wielki festyn.—Występ pana Kazimierza.—Wymowa symfoniczna. — *Con fuoco è con brio.* — Poeta w birecie. — Nieco rżewnych wspomnień.

Między obrońcami i publicznością ujawnia się ożywienie niezwykle. Będzie festyn nielada, gdyż właśnie z uprzejmym ukłonem i uśmiechem na pysznym owalu sympatycznego oblicza staje przed kratką — mecenas Kazimierz Brzeziński.

Niskiego wzrostu, pulchniutki, o formach zaokrąglonych, o całości niewypowiedzianie sympatycznej, z wielkimi obramowaniami oczyma — *les yeux en poches*, jak mówią Francuzi—z wąsikami sztorcem stojącymi i malutkiem *point d'opposition* pod dolną wargą, zawsze starannie wymuskany i wyświe-



KAZIMIERZ BRZEZIŃSKI,
Mecenas.

żony — słowem, *un beau*, zabiera się pan Kaźmirz do wygłoszenia obrony w sprawie niezmiernie zawikłanej. U jego boku stoi z namaszczeniem jego uczeń i współ-pracownik, równie niski, jak mistrz, i również jak on wymuskany, z wąsikami wyostrzonymi — Leon Krysiński...

Kończą właśnie rozpoczętą między sobą dysputę prawną, i pan Kazimierz, strzepnąwszy z kołnierza fraka urzędowego jakiś pyłek i zawinąwszy pod górę wąsiki, pełną piersią rozpoczyna opowiadanie. Zdaje ci się, że jakiś śpiewny tenor zawodzi sympatyczne trele, że z owej cudnej modulacji głosu płynącego nieprzerwanie według taktu doskonałego kapelmistrza, wywinie się niezadługo pyszna symfonia oratorskiej sztuki. W wywodzie p. Kazimierza niema ani jednej fałszywej nóty. Wszystko łączy się i kojarzy harmonijnie, zmierzając nieprzepartemi premissami do końcowego sylogizmu.

Obrona Kazimierza Brzezińskiego nosiła zawsze na sobie cechy improwizacji. Tworzył on ją pod pierwszym wrażeniem silniejszego argumentu przeciwnika z wielką przytomnością umysłu, jak gdyby wywody, które się właśnie urodziły w jego umyśle, stanowiły podkład przygotowanej pracowicie przedtem argumentacji. Jako przykład owego spontanicznego uzdolnienia Kazimierza Brzezińskiego do obrony w każdej sprawie, przed chwilą zaledwie mu powierzonej, nie od rzeczy będzie przytoczyć fakt następujący: Około roku 1870 zmarł w Warszawie oficjalista fabryki Frageta, niejaki X. Po śmierci znaleziono w jego ubogiej stancyjce fundusz w papierach, wynoszących blisko milion złotych polskich. Fraget podejrzewając, iż tak

znaczny spadek mógł powstać jedynie drogą malwersacji, wyjednał u Prezesa Trybunału położenie aresztu na znalezionych walorach. Spadkobiercy zmarłego z linii bocznej znaleźli się w ciężkiem położeniu. Jakkolwiek jawnych dowodów malwersacji nie było, lecz proces mógł się przeciągnąć na długo. Wówczas niejaki Bułczyński, z dwoma innymi pośrednikami, zgłosił się do Frageta z propozycją, iż jeżeli każdemu z nich przyznane będzie wynagrodzenie w kwocie po 3000 rubli, to podejmą się doprowadzić strony do zgody w tym sensie, iż Fraget otrzyma 50 tysięcy rubli, spadkobiercy zaś—resztę. Fraget zgodził się i wystawił trzy jednobrzmiące rewersa dla pośredników, tej treści: że o ile zgoda nastąpi, okaziciel X. otrzyma 3000 rubli, Dzięki energii i usilnym zabiegom Bułczyńskiego układ pojednawczy nastąpił. Spadkobiercy zmarłego oficjalisty i Fraget podzielili się odpowiednio spadkiem. Przeciwno wypłaceniu każdemu z nich jednakowej sumy zaprotestował Bułczyński, twierdząc, iż on jeden pracował, a tamci nie nie robili. Zaproponował tedy Fragetowi taką kombinację: zapozwie Frageta o 3000 rubli. Obrona jego będzie tak niedbała, iż we wszystkich instancjach sprawę przegra, a w obec wyroku senackiego pretensja dwóch pozostałych faktorów, naturalnie, upadnie. Plan taki, dosyć zręczny, Fraget zaakceptował. W pierwszej instancji Bułczyński przegrał. Złożono apelację. Lakoniczny wywód apelacyjny, odpowiednio skonstruowany, miał być bez żadnych dodatków odczytany, a krasomówcze odparcie pretensyj natarczywego pośrednika pozostawić miano obrońcy Frageta. Tymczasem traf unicestwił dowcipną strategję... Obrońca Bułczyńskiego, Feliks Dębski, w dniu

gdy się sprawa Frageta zbliżała, był zajęтым w innych wydziałach. W ostatniej krytycznej chwili dopadłszy na korytarzu mecenasa Kazimierza Brzezińskiego uprosił go Dębski, by nie wdając się w żadne wywody odczytał skargę apelacyjną i odszedł od kratki. P. Kazimierz zorjentowawszy się w meritum sprawy, uznał, że nie jest ona bezzasadną i beznadziejną. Nie wiedząc zupełnie o obmyślonym poprzednio przez obrońcę Bułczyńskiego strategicznym planie, który polegał na *przegraniu* sprawy, wystąpił z tak potężną argumentacją na korzyść uczciwego pośrednictwa Bułczyńskiego, któremu Fraget zawdzięczał odzyskanie kilkudziesięciu tysięcy rubli, iż głosem swoim, okwieconym wspaniałą tyradą i mimiką, przechylił zdanie Sędziów na stronę sprawy „słusznej i sprawiedliwej“. Skonsternowany Dębski, uwolniwszy się od pilnych spraw wpadł do Wydziału Sądu apelacyjnego, właśnie w chwili, gdy Prezydujący po krótkiej naradzie z kolegami uznał replikę Frageta za zbytęcną i ogłosiwszy krótką przerwę, po kilku minutach odczytał wyrok, przyznający Bułczyńskiemu rację... W Senacie wyrok ów potwierdzono i tym sposobem strategia Bułczyńskiego, dzięki zamaszystej, a wcale nieoczekiwanej i niepożądaney obronie Kazimierza Brzezińskiego, w niwecz się obróciła. Ubawiono się w palestrze owym incydentem znakomicie, a pan Kazimierz z filozoficznym spokojem starał się ulagodzić niezadowolenie Dębskiego zapewnieniem: „Zawsze służyłem i służyć będę kołegom, zastępstwem, jeśli się po temu nadarzy sposobność!!.“

Jak są poeci „z łaski bożej“, tak i między ciałem obrończem uosabiał pan Kazimierz mówcę „z bożej łaski“. A był przytem poetą w duszy, w czynie

i w słowie, nieodżałowany pan Kazimierz. Jego wiersze ulotne, improwizacje wierszowane, a dowcipne, nie-schodzący z ust uśmiech, łaskawe dla każdego słowo, ręka hojna dla nędzy ukrytej i jawnej, rycerska uprzejmość dla kobiet, wysoce parlamentarna, a niepozba-wiona uroku dowcipu i satyry obrona przed kratką, jednały mu nietylko liczną klientelę, ale i przyjaciół w szerokich kołach towarzyskich. Pomimo napływu spraw, zawsze pracowicie, stylistycznie obronionych, dyktowanych uczniom w gabinecie obrończym, odznacających się i literackiem zacięciem, i gruntownością wywodów prawnych, żył p. Kazimierz duszą i sercem w czystej atmosferze umysłowych rozkoszy, był *hedonistą* w klasycznym tego wyrazu znaczeniu.

Zapalony muzyk, każdą operę wyśpiewywał na zawołanie, z pamięci, owym barytonowo-tenorowym głosem, którym wypełniał sale sądowe podczas wprowadzanych przez siebie spraw. Znajdował prócz tego sporo czasu, aby stać na wysokości współczesnych kwestyj: literackich, naukowych i artystycznych. Najlepszy kolega, serdeczny i dowcipny współbiesiadnik uczt, w trakcie których wygłaszał wierszowane, arcydowcipne oracje, prawnik rozmiłowany w swym zawodzie, był pan Kazimierz prawdziwą ozdobą obrończego ciała. Z kolegami zazwyczaj korespondował p. Kazimierz mową wiązaną.

Oto próbka jego dowcipnej korespondencji z kolegą Bardzkim, który wygrawszy sprawę niejakiego Nuchyma Upfała, w zwykłym swem roztargnieniu zwlekał z komunikacją swoich akt Brzezińskiemu, obrońcy strony przeciwnej:

Nadmienić należy, że według procedury francuskiej, nie wręczało się kopij dokumentów przeciwnikowi, lecz o ile przeciwnik koleżeńskie zachowywał stosunki, to mu się owe dokumenta komunikowało do domu, w oryginałach; zaś kolegom, z którymi zażyłości nie było, składano akta do przejrzenia w biurze Sekretarza Sądu. Bardzki z Brzezińskim Kazimierzem bardzo się kochali, lecz zawsze zajęty Bardzki, akt swoich panu Kazimierzowi, obrońcy przeciwnika powo-
da, jakiegoś kolonisty z Wiązowny, przesłać zapomniał.

Zmonitował go za to p. Kazimierz w wier-
szyku:

„Choć na kolegę spadła wiekuista chwała,
Żeś wygrał wielką sprawę Nuchyma Upfała,
Lecz niech tym tryumfem zbytnio się nie wzdyma,
I nadeśle mi akta Upfała Nuchyma,
A gdy ja w troskliwości, jak brat swemu bratu,
Potężną defenzywę palną do Senatu,
Wówczas przyzna potomność, że ten z nas wymowny,
Kto tryumf koloniście zapewnił z Wiązowny...

Kiedy nagły zgon przerwał pasmo pięknego żywota, nieklamany żal smutnem ozwał się echem w społeczeństwie. Do tej chwili jeszcze widzę przed oczyma duszy owo pogodne, sympatyczne oblicze najlepszego człowieka, męża, ojca i kolegi, i słyszę w ko-
ło zawsze żywy i niewygasły żal, z powodu zbyt wczesnego ustąpienia z pola działalności jednego z najpożyteczniejszych członków dawnej adwokatury...

Zachowałem jako cenną pamiątkę ostatni wierszyk, jakiemi, co sobota prawie, krasił pan Kazimierz suchą formalność, tak zwanego, porządkowania spraw sądowych.

*Ostatnie porządkowanie
w Sądzie Apellacyjnym
Dnia 8 Lipca 1876*

1. Mieczkowski: Józef Mecenar
2. Anc. Dominik Adwokat

*Wkrótce przyjdzie pożegnać ten obywatel bratni;
Anc i Mieczkowski: Bóg, strzeżcie nam ostatni
Wiersz pomyślną przestroję Dzięki: w wasz wiek
Prosim o Krow: Kask nowych, w tej chwili: pogrzeba*

T. J. ...

Facsimile wierszyka Kazimierza Brzezińskiego.

Dnia 8 lipca r. 1876 odbywało się ostatnie porządkowanie w sądzie apelacyjnym. Koleją losu wypadło mecenasowi Kleczkowskiemu i adwokatowi Ancowi być zastępcami kolegów przy tej czynności. Na ich



to cześć napisał pan Kazimierz czterowiersz, w którym, jakby smutnem wiedziony przecuciem, zapowiedział bliski swój zgon.

Oto ów wierszyk:

„Wkrótce przyjdzie pożegnać ów obyczaj bratni,
„Anc i Kleczkowski będą służyć nam ostatni,
„Więc za pomyślną przeszłość dzięki niosąc Niebu,
„Prosim o zdroj łask nowych w tej chwili pogrzebu“.

Dla uczczenia pamięci ukochanego towarzysza zawodu, koledzy zmarłego, z inicjatywy adwokata Bardzkiego, wmurowali w jedną ze ścian kościoła b. OO. Kapucynów, przy ulicy Miodowej, marmurową tablicę pamiątkową, na której widnieje płaskorzeźba, uwieczniająca drogie rysy nieodżałowanego Kazimierza Brzezińskiego, oraz nazwiska najbliższych jego przyjaciół.



XI.

Dziedziczność uzdolnienia fachowego. — Warszawski Jules Favre. — Prokurator w roli obrońcy.

Uzdolnienie fachowe przechowuje się czasami



ANDRZEJ BRZEZIŃSKI
Mecenas.

dziedzicznie w pewnych rodzinach. Jak zdolności literackie i artystyczne przechodzą w pewnych rodach z pokolenia w pokolenie, tak też w adwokaturze spotykamy częstokroć powtarzające się nazwiska, do których przywiązana jest tradycyjnie opinia wyższych zdolności zawodowych. Objaw ten spotykamy w rodzinie Brzezińskich, która w ubiegłym stuleciu miała kilku wybitniejszych przedstawicieli adwokatury,

Obok sympatycznego pana Kazimierza działał, mniej może sympatyczny, ale niemniej utalentowany

i wymowny rówieśnik jego — pan Andrzej. Użyliśmy wyrażenia „mniej sympatyczny“ nie dla tego, by rzucić jakiś niepochlebny cień na wysoce szanowną i poważną postać tego obrońcy, lecz jedynie w celu scharakteryzowania właściwości indywidualnej człowieka, który klasyczną swoją powagą i prokuratorским niemal zachowywaniem się przed kratką, nie pociągał ku sobie otoczenia w takiej mierze, jak jego nieodżałowany bratanek.

Już sama zewnętrzna strona pana Andrzeja i jego metoda obrończa odskakiwały wielce od otoczenia. Bez uśmiechu, bez odcienia najłżejszej frazy, z powagą rzymskiego oratora, stawał pan Andrzej przed sądem i dosadną argumentacją, głębokimi wywodami prawnymi walczył niezachwianie z poglądami przeciwnika.

Twarz poważna, surowa, obramowana gęstemi faworytami, dziwnie przypominała Juliusza Favre'a, głośnego adwokata i polityka francuskiego.

Wykład pana Andrzeja pozbawiony był w zupełności okras retoryki. Zmierzał on prosto do celu, bez żadnych wstępów i kwiatków oratorskiej sztuki. Mowa jego płynęła równomiernie, skandowana dobrze odznaczonymi przecinkami, średnikami i punktami. Zaokrąglony perjdod łączył się logicznie ze swoim następcą, tak, że nie patrząc na p. Andrzeja w chwili, gdy mowę swoją wygłaszał, możnaby sądzić, że mowę swoją odczytywał z pracowicie odrobionego referatu. W obronie jego brzmiała nuta oskarżenia prokuratorского, a miałby się z pyszna ów obwiniony, gdyby pan Andrzej, zmieniając rolę obrońcy, przeszedł na stronę oskarżyciela. Pod obuchem argu-

mentów dosadnych i ściśle prawnych niknęły wszelkie wątpliwości i niejasności, bez których żaden stosunek ludzki obejść się nie może. *Quaestio juris* pochłaniała w ustach pana Andrzeja stosunek faktyczny, sprowadza go na grunt czysto prawny, tak, że w oczach sądu niknął zupełnie fakt życiowy, a natomiast wynurzał się suchy szkielet litery prawa, wobec którego należało ślepo poddać się orzeczeniu prawodawcy, zapomnieć zupełnie o zasadzie wyrokowania *ex justo et aequo* i stawić zasadę: *pereat mundus — fiat justitia!*

Ciężkie też przechodzić musiał chwile przeciwnik pana Andrzeja, gdy wobec potoku logicznej i zbieć się niedającej argumentacji, przychodziło mu odwołać się do uczucia i względności sędziego.

Kwiatki retoryczne i najpiękniejsze frazesy padały wówczas podcięte niemiłosierną kosą wywodu prawnego, a ta właśnie bezwzględność i siła argumentacji czyniły pana Andrzeja niepokonanym i stanowiły w większości wypadków o losie sprawy.

Po za obrębem swego zawodu nie znał pan Andrzej żadnych *allotriów*. Szeroka działalność społeczna nie pociągała go ku sobie. Przywalony ogromem spraw ważnych, a trudnych, nie miał pan Andrzej możliwości, ani czasu, do zajmowania się czynnościami przekraczającymi sferę jego zawodu. Był to prawnik ciałem i duszą, wyłącznie oddany arkanom swojej specjalności, mówca klasyczny szerokiego stylu.

Bardzo dobrze scharakteryzowała osobistość p. Andrzeja *Gazeta Sądowa Warszawska* i dla tego uważam za właściwe powtórzyć za nią ważniejsze owej charakterystyki ustępy.

Żadna ważniejsza konferencja w kwestjach prawnych bez p. Andrzeja się nie odbyła. Sława jego nazwiska była tak wielką, że nawet dla tych, którzy go osobiście nie znali, dostatecznem było przytoczyć podczas rozbioru jakiejś kwestji prawnej, że taką opinię wygłosił o niej Andrzej Brzeziński. Był on najlepszym przykładem, do czego może dojść człowiek, dzięki swym zdolnościom i pracy. Dzisiaj zrozumieć nie możemy, aby ktoś był prawnikiem znakomitym, bez fachowego wykształcenia uniwersyteckiego, a tymczasem Andrzej Brzeziński, dzięki usilnej pracy, chociaż nie słuchał wykładów uniwersyteckich, posiadał wysoką wiedzę prawniczą i jako znakomity cywilista wzbudzał podziw swą wszechstronną znajomością prawa. Dla niego nie było zawilej kwestji prawnej, bo każdą potrafił rozwiązać, i to nie dowolnie, pod wpływem własnej fantazji, lecz kierując się stałemi, rzecz można, gruntownie naukowemi zasadami, co nadawało jego opiniom wysoką wartość. A już prawdziwym był mistrzem, gdy tworzył ustawy różnorodnych stowarzyszeń ekonomicznych w kraju naszym. Tylko tej wiedzy i takich zdolności człowiek mógł jednocześnie zajmować tyle wybitnych stanowisk i na każdym z nich stać się użytecznym. Był bowiem jednocześnie członkiem komitetu Tow. Kredytowego m. Warszawy, członkiem zarządu drogi Dęblińsko-Dąbrowskiej, członkiem Rady zarządzającej Towarzystwa wzajemnego kredytu, radcą prawnym banku dyskontowego, komitetu kanalizacyjnego i wielu innych.

Urodził się Andrzej Brzeziński 15 Października 1823 r. Po ukończeniu gimnazjum, rozpoczął aplikację sądową, złożył wyższy egzamin asesorski i w r. 1845

został Patronem, w r. 1860 adwokatem, w r. 1861 obrońcą przy Radzie Stanu, zaś w r. 1865 mecenasem. W latach 1861 i 1862 należał do składu komitetów redagujących projekty nowych praw. W kancelarii jego kształciło się grono młodych prawników: Umieniecki b. dyrektor wydziału prawnego Banku Polskiego, Gudowski późniejszy Vice-prezes Sądu Okręgowego, Józefowicz b. profesor Szkoły Głównej, Stanisław Rotwand, Szymon Rodzyn, Kazimierz Julian Jasiński, Seweryn Markiewicz i inni.

Przysłowiową była jego ścisłość i porządek jaki zachowywał w swoich papierach. W najzwyklejszych kwestjach zwykł był mawiać: „Lepiej zawsze zajrzeć do kodeksu“. Drobiazgowość jego w zachowywaniu wszelakich papierów i kwitów dochodziła do przesady. Można było powołać się na jakiś fakt, z przed kilku lat dziesiątków, pan Andrzej zawsze umiał w stosach papierów łatwo odnaleźć odpowiedni dokument.

A jednak i panu Andrzejowi wydarzyła się niezwyczajna w karierze obrończej historia, która świadczy, iż największa nawet ścisłość nie chroni czasami od wypadku. Rzecz się tak miała. Po upływie lat dwudziestu kilku od załatwienia pewnej sprawy, zgłosił się do p. Andrzeja niespodziewanie jakiś klient, z zapytaniem, co się stało ze znacznym kapitałem powierzonym ongi p. Andrzejowi do uregulowania rachunku z wierzycielem?

Data powierzenia funduszu była niewątpliwą, więc też p. Andrzej sięgnął, jak zwykle, do półki gdzie znajdowały się wszelkie kwity, lecz tu, ku najwyższemu przerażeniu, kwitu z wypłaconego wierzycielowi kapitału nie znalazł... Klient na razie zado-

wolnił się zapewnieniem, że rzecz ta wyjaśni się i zapowiedział ponowną wizytę za dni kilka. Brzeziński jakby piorunem rażony, nie mógł sobie wytłómaczyć faktu braku kwitu i przez dni kilka chodził blady, zdenerwowany, zwierzając się kolegom z którymi żył bliżej, z fatalnego wypadku, jaki mu się wydarzył. Zapłacić z własnych funduszków kapitał zakwestjonowany, choć nawet było nie trudno, jednakże trudniej było usprawiedliwić się przed klientem, dla czego przez lat tyle kapitału owego nie wypłacono? Sytuacja istotnie była bez wyjścia. W tej perpleksji zwrócił się p. Andrzej o radę — do Dominika Krysińskiego. Traf chciał, iż p. Dominik znał owego klienta i jego stosunki finansowe. Poradził więc p. Andrzejowi, by przejrzał księgi hipoteczne wierzycieli swego klienta i tu, szczęśliwie, okazało się, że Brzeziński przed dwudziestu kilku laty wypłacił u Reienta w księdze hipotecznej ów zakwestjonowany kapitał, więc, naturalnie, kwitu oddzielnego z wypłaty mieć nie mógł... P. Andrzej cudem zwolniony od podejrzenia, iż kapitału nie wypłacił w swoim czasie, z radością zamówił dwie kopje notarialne owego kwitu, z których jedną do swoich akt dołączył, drugą zaś klientowi, który się doń z jakąś zagadkową miną po jakimś czasie zgłosił, uroczyście wręczył i zimno się ukloniwszy pożegnał...

Po wprowadzeniu nowej organizacji sądowej, wycofał się Andrzej Brzeziński z praktyki kratkowej, lecz pozostał czynnym jako radca prawny pierwszorzędnych firm handlowo-przemysłowych i instytucji społecznych. Na tem stanowisku śmierć zaskoczyła go d. 25 Stycznia 1891 r. Pracą i wziętością dorobił

się p. Andrzej swego czasu znacznego majątku. Jeżeli sam nie interesował się, z powodu braku czasu, zadaniami z szerszej dziedziny literatury i sztuki, dom jego był ogniskiem towarzyskiem, w którym niezwykle uzdolniony syn jego, ś. p. doktor Jan, oprócz swego zawodu, pielegnował kult literacki i sprawami sztuki i literatury gorliwie i z powodzeniem się zajmował.

Do rzędu najzdolniejszych uczniów i współpracowników Andrzeja Brzezińskiego należał nader wzięty,



STANISŁAW ROTWAND
Mecenas.

pracowity i zdolny prawnik Stanisław Rotwand. Jeżeli pod względem wymowy i klasycznego wykładu nie dorównywał swemu mistrzowi, to, w zamian, na polu argumentowania logicznego przed kratką — równego sobie między członkami adwokatury nie miał. Zdolność obrończa pierwszorzędna, sympatyczny i koleżeński, cieszył się pan Stanisław nie tylko rozległą klientelą, ale

i powagą przed kompletem sądowym.

Z uczuciem prawdziwej wdzięczności wspomina autor niniejszych kartek, czas aplikacji praktycznej, po odbyciu praktyki u mecenas Edwarda Grabowskiego, spędzony w kancelarji swego przyjaciela.

Rozległa klientela jaką się Rotwand cieszył, pozwoiliła mi, po ukończeniu wydziału prawa i administracyi Szkoły Głównej, dotknąć się bliżej życiowej strony zawodu, której teoria wykładów uniwersyteckich dać nie może. Stosunek zażywszy z p. Stanisławem po-

zwolił mi ocenić należycie niepospolite zalety jego umysłu i serca.

O tych zaletach mogło się społeczeństwo przekonać szeregiem pożytecznych dzieł podjętych przez Rotwanda na szerszym polu działalności, zwłaszcza w dziedzinie oświatowej. Już w latach 1861—2 wspólnie z Tadeuszem księciem Lubomirskim, prof. Ign. Baranowskim, Henrykiem Wohlem i Felicjanem Faleńskim był członkiem komitetu Szkół rzemieślniczych Warszawy. Działalność ta potęgując się stopniowo wydała świetne owoce, z których korzystała liczna młodzież, mając dzięki ofiarności fundatora i szwagra jego Hipolita Wawelberga, możność kształcenia się w zawodzie technicznym.

Powolał Rotwand do życia i zorganizował szkoły handlowe Zgromadzenia kupców i utworzył fundusz na budowę ich gmachu. Był inicjatorem Muzeum Rzemiosł i sztuki stosowanej. Prezydował w komitecie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Wydawał własnym sumptem podręczniki popularne w zakresie techniki i rzemiosł, organizował kursy dla robotników, hojną dłońią wspierał kolonie letnie i kąpiele ludowe. Jako starszy Zgromadzenia kupców, prezes komitetu giełdowego i członek Rady Towarzystwa przemysłowców, szef Banku Zachodniego i kilku cukrowni, wielkie dla rozwoju ruchu handlowego i przemysłowego w kraju położył zasługi. Krzewił miłosierdzie rozpalał ogniska oświaty, organizował instytucje społeczne i nadawał im rozumne podstawy. Na arenie politycznej był niestrudzonym orędownikiem wielu doniosłych spraw narodowych.

Oceniło też należycie społeczeństwo zasługi

Stanisława Rotwanda przez powołanie go z wyborów na stanowisko b. Członka Rady Państwa i Przewodniczącego w licznych instytucjach ekonomicznych krajowych, wreszcie wynurzeniem mu uczuć jego uznania podczas obchodu jubileuszu pięćdziesięciolecia pracy społecznej, święconego w 19 Stycznia roku 1913.

Dzień 26 Lutego 1916 r. zamknął księgę życiową niespożytych zasług ś. p. Stanisława Rotwanda.

Pogrzeb dnia 28 Lutego 1917 zgromadził tłumy ludności około jego trumny. Towarzyszyły jej na miejsce wiecznego spoczynku: ochrony dziecięce, klasy rzemieślniczo-przemysłowe przy Muzeum przemysłu i Rolnictwa, szkoły Zgromadzenia kupców, oraz szkoła mechaniczno-techniczna imienia Wawelberga i Rotwanda, wreszcie delegacje instytucji społecznych, w których zmarły miał udział czynny.

Pisma miejscowe uczeiły jego pamięć szczerze odczutemi wspomnieniami i wynurzeniem czci niespożytych zasługom człowieka i obywatela.



XII.

Pan Dominik. — Jurysprudens szkoły wyższej. — Wyrok kolejowy.
Mecenas Zalewski. — Liberum nego! — Opozycja jako zasada.

Przedstawicielem satyrycznej nuty w orkiestrze obrończej był głośny swego czasu prawnik, mecenas Dominik Zieliński. Rzadko bardzo zjawiał się pan Dominik u kratki sądowej, gdyż go sprawy pozakratkowe, radcowstwa prawne w pierwszorzędnym domach bankierskich i przemysłowych, prawie w zupełności absorbowały. Jako minister bez teki głośnych w kraju firm, zajmował się przeważnie praktycznym stosowaniem teoryj wekslowych i ekonomicznych do potrzeb miejscowych, nie gardząc przytem i piórem, które w jego rękę odznaczało się ciętością i zamaszystością niezwykłą.



DOMINIK ZIELIŃSKI.
Mecenas.

Posiłkowany zastępem komentatorów francuskich, zużytkowywał wszystkie ich poglądy w trudnościach praktyki handlowej, a jeśli się zdarzyło, że dom jakiś bankierski był w kłopotcie: jaką drogą zrealizować żądanie swoje rekonwencyjne względnie do żyranta, który zapomniawszy sporządzić protest w terminie właściwym, ogłosił *cessio bonorum* i drogą rewindykacyi i substytucyi, zewalutował kurs waluty zagranicznej na rynkach zamiejscowych? — pan Dominik z pamięci zacytował Pont'a, Alauzet'a, Sirey'a i Demolomb'a, układał plan kampanii, i, z punktu obserwacyjnego kierował wszystkimi ruchami wybranych przez siebie dowódców, we wszystkich instancjach. Zdarzyło się jednak, że i pan Dominik schodził z wyżyn swego obserwatorium na kulawe deski ziemskiej sprawiedliwości. Były to jednak wypadki arcywyjątkowe, chyba że trybunał *zaocznym* wyrokiem, na żądanie pokrzywdzonego zalewem wód hreczkosieja, nakazywał drodze żelaznej usunąć relsy z gruntu... Wówczas pan Dominik *in persona*, utykając, wdrapywał się na trybunałskie schody, i w drodze *opozycyi* rozpoczynał gwałtowną dyatrybę przeciw wyrokowi *zaocznemu*, w taki mniej więcej sposób:

— Kilka lat już, wysoki trybunał, nie przemawiałem z tego miejsca. Przychodzę jednak, aby naocznie się przekonać, jak wygląda sąd, który takie wyroki stanowi...

Tableau! Dzwonek prezydującego zapowiada jakąś niezwykłą scenę, lecz pan Dominik, z uszanowaniem chyląc głowę przed majestatem sprawiedliwości, wstępuje *in medias res*, i zaczyna argumentować, jak najzwyklejszy śmiertelnik.

Głowa brzydka, Sokratesowa, wieczny sarkazm na ustach, głos krzykliwy, ton zawsze ironiczny; oto były zewnętrzne cechy pana Dominika.

Namiętność i oratorską swadę zostawiając innym, stawał pokrewny panu Dominikowi z usposobienia i erudycji, pan mecenas Stanisław Zalewski przed sądem, bynajmniej nie dla tego, by sprawiedliwość, przy jego pomocy odniosła tryumf nad pokrzywdzoną niewinnością, lecz aby dać folgę opozycyjnemu z zasady swemu usposobieniu i dowiedzieć, jak na dłoni, bez uniesienia, najzupełniej na chłodno, że antagonistą jego kratkowy jest wcieleniem wszystkich grzechów głównych i, że na wiarę usądu nie zasługuje...

Zamieniwszy dawne hasło: nie pozwalam! na dewizę: nie zgadzam się! toczył pan Stanisław walkę, dla jedynej satysfakcji wykazania swemu przeciwnikowi, że w danej sprawie głosu mu podnosić nie wolno...

Z pozoru łagodny, w gruncie uprzejmy. koleżeński, dużo dobrego ludziom świadczący, sam jak najlepszego serca człowiek, stawał się pan Stanisław przed kratką sądową istnym Torquemadą. Zabijał swego przeciwnika *leege artis*, z takim spokojem, jakby tu chodziło o przyznanie komuś nagrody Monthyon'a za cnotę, lub o uwienczenie jakiej rosier'y. Bez uniesienia, zawsze zimny, lekkim ruchem rozwartych palców, podnosząc kiedy niekiedy spa-



STANISŁAW ZALEWSKI.
Mecenas.

dające z nosa okrągłe okulary — nie spoglądał pan Stanisław na swego przeciwnika, który dla niego *in actu* zupełnie nie istniał...

Widział tylko w miejscu, gdzie przeciwnik pięści ze złości zaciskał, abstrakt, ideę przeczącą, coś takiego, co pozwala sobie odmiennego być przed kratką, aniżeli pan Stanisław, zdania... Więc należało koniecznie tę zasadę przeczącą usunąć i na jej miejscu postawić—wprost przeciwną. Środkiem ku temu służył równomierny pochód argumentów zimnych, lecz dobijających przeciwnika, i kroczących do ubezwładnionego takim naciskiem umysłu sędziego aż do wywiercenia w nim dziury poglądów — zgodnych z poglądami pana Stanisława.

Pan Stanisław nie lubił roli powoda, t. j. stawiającego pewne pozytywne przed sądem żądanie. Natomiast namiętnie lubił rolę pozwanego, bo mu ona z natury swej pozwalała nie godzić się na żądanie przeciwnika, stawiać mu przeszkodę w urzeczywistnieniu podjętego zamiaru, słowem, pozwalała mu być wprost *przeciw nego zdania*...

Nie wiem, czy to jest prawdą, lecz słyszałem od wiarogodnych, że pan Stanisław w dyskusji miał się raz odezwać: „Nie znam poglądu szanownego kolegi, lecz z góry go nie akceptuję!“ a gdy raz, powód, przez usta swego obrońcy, zaczął dowodzić sądowi, że prawdą jest to, co żadnego dowodzenia nie potrzebuje, pan Stanisław z właściwą sobie flegmą, rozpoczął obronę od słów:

— „Prawdą, wysoki trybunale, jest to, czego szanowny mój przeciwnik nie wypowiedział przed sądem...”

Szczególniej możni i silni finansowego świata bywali ulubionym celem zatrutych strzał pana Stanisława.

Ta fala zaciętości, jaka płynęła z obron mecenasa Zalewskiego, obryzgiwała nieraz najniespodziewaniej i przedstawiciela ofiary, a gdy ten w replice pragnął okryć siebie i swego klienta pokostem anielskiej białości, ze zdumieniem zwykle spostrzegał, jak pogromca, z rękoma w kieszeniach, zimny jak gład i majestatyczny jak tryumfator, oddalał się, bez odwrócenia głowy, od kratki obrończej...

Poza obrębem tej właściwości, czysto, że tak powiem, kratkowej, pan Stanisław, jako człowiek, miał wielu bardzo zwolenników, ceniących w nim nieskazitelność charakteru, śmiałość i odwagę przekonań, a nadewszystko uczynność w stosunkach obywatelskich.

W roku 1896 dnia 7 Listopada palestra warszawska uczciła Zalewskiego obchodem jubileuszowym pięćdziesięciolecie jego zawodu obrończego.

Przytaczam tu piękny wiersz wypowiedziany między innemi na cześć jubilata przez młodszego jego kolegę, prawnika-poetę ś. p. Kazimierza Juljana Jasińskiego.

Jeżeli w jakim, to w naszym zawodzie
Życie do walki wzywa zaciętej...

Wrogi nam zewsząd stają na przeszkodzie...

Przyjaciół nawet nieraz czyni wstręty.

Pierzcha śród boju żołnierz ładajaki,

Inszy zaś w pracy dostoi niezmiernej...

A przeto z drogi ciury i luzaki...

Idzie towarzyszyć pancerny!

Los przed nim szlaku w barwne nie słał kwiecie,
Ni go złocona huśtała kołyska, —
Zrozumiał snadnie, że weźmie na świecie,
Co jeno — mocą śród boju pozyska.

Na bój ten całe wziął dziedzictwo swoje:
Myśl—wiedzą ducha wzmógł w cnocie surowej,
Żelaznej pracy twardą przywdział zbroję,
Miecz ujął jasnej wymowy.

Z ufnością w szranki wystąpił szlachetną,
Że w srogim starciu z adwersarzów rzeszą
Takiej zbroicy ich ciosy nie przetną,
Choć iskry miecza o jej hart zakrzeszą. —

I groźnym chmurom patrzą oko w oko,
Wyższy nad zmienne losu konjunktury,
Szedł śmiało naprzód i zawsze wysoko
Niósł sztandar adwokatury.

I taką dumą przejął się wspaniałą,
Że nieraz, pełniąc służbę życia twardą,
Gdzie jeno głowę schylić należało,
Drzwi te—zbyt niskie—omijał z pogardą.

I oto długą niezłamany drogą,
Pół wieku walki okryty kurzawą,
O nie on dotąd nie prosił nikogo,
Żądał—gdy żądać miał prawo. —

Nam, cośmy hardą twą poznali duszę;
W tobie wzór dla nas i błoga otucha,
Że można w długiej życia zawierusze
Zachować młodość umysłu i ducha.

Niechże ci dola ściele się szczęśliwa,
Z twego przykładu niech sztukę odgadniem,
Jak to się życie do boju wyzywa
I tryumf odnosi nad niem. —

We trzy lata po owej uroczystości zmarł Za-
lewski 10 Grudnia 1899 r. Urodzony w r. 1823, po

ukończeniu gimnazjum w Radomiu i kursów prawnych w Warszawie w r. 1843 rozpoczął aplikację. Patro-
nem został w r. 1846 naprzód w Płocku, następnie
w Siedlcach, wreszcie w Warszawie, z kąd odbył nie-
dobrowolną podróż na Syberję. W roku 1863 został
adwokatem, mecenasem zaś w r. 1868.

Wobec licznej klienteli i zawitych spraw — mię-
dzy któremi głośną była sprawa o unieważnienie tes-
tamentu milionowego Wołłowicza, za której wygranie
sam *milion złotych* otrzymał—rzadziej się imał pióra.
Lecz i tego pola nie zostawiał odlogiem.

Opracował *komentarz do prawa cywilnego pol-
skiego*, *rozprawę o procesie Kraszewskiego*, *o granicach
umów*, *o różnych rodzajach praw osobom służących etc.*
Drukowała te rozprawy *Gazeta Sądowa Warszawska*.



XIII.

Pan Ksawery. — Dukta i redukta. — Wąsy i peruka. —
Mecenas Parisot. — Andrzej Wolff.

Krzykliwą swadą i wielką ruchliwością odznaczał się przy kratce mecenas Ksawery Karasiński.



KSAWERY KARASIŃSKI.
Mecenas.

Niskiego wzrostu, okrągłutki, z twarzą młodzieńczą, rumianą, a siwymi wąsikami, wydawał się Karasiński odtworzeniem sejmikowicza rębacza. Brak mu było tylko portretowych przyborów, aby należeć do kategorii rębajłów, wystawionych na obrazie Szwojnickiego — *Kaptowanie*.

Sympatyczna ta postać zappełniała gwarem i niemilknącą ani na chwilę swadą przybytek trybunalski, — ilekroć stawiała u kratki, by bronić spraw granicznych i dosadnemi ruchami ręki wskazywać na powietrzu istotne kie-

runki duktów, reduktów, *terminorum a quo i ad quem*, kopców granicznych, kontrowersów, ubikacji, wyroków podkomorskich i planów spornego gruntu. Sywał wówczas pan Ksawery cytatai łacińskiemi z *Voluminów legum*, szermował jakby karabelą przepisami starodawnych praw, unosił w górę poźółkle dokumenta graniczne, wysnuwając z nich dowody i fakta stanowcze, i, rzekłbyś, patrząc na niego w takich chwilach, że to widocznie maruder jakiś z XVIII wieku przywłócił się z Lublina na plac Krasińskich, aby ostatecznie zakończyć rozpoczętą przed stu laty graniczną sprawę.

Gdy po dniu tak pracowicie spędzonym wracał pan Ksawery do domu, widywano go często na ognistym rumaku, jak z fantazją galopował po ulicach Warszawy, i pokręcając węża, obmyślał plany do nowej kampanji duktów i reduktów granicznych.

Karasiński, jako radca prawny Magistratu, był wielbicielem ówczesnego niefortunnej pamięci prezydenta Warszawy, generała Witkowskiego. Kiedy Witkowskiego przeniesiono na inne stanowisko, Karasiński zaczął pomiędzy palestrą szerzyć wiadomości o niesłychanej życzliwości generała dla polaków i Polski, o jego zamiarach na przyszłość w tym kierunku, do czego jakoby będzie miał sposobność wyjątkową, gdyż nowa godność wprowadzi go w ścisły kontakt ze sferami dworskimi. Agitacja była tak silna i przekonywająca, tyloma ważnemi poparta argumentami, że kilkunastu poważniejszych przedstawicieli palestry zgodziło się pod wodzą Karasińskiego osobiście pożegnać odjeżdżającego Witkowskiego. Witkowski na dworzec petersburski przejechał na

kilka minut przed odejściem pociągu. Zaledwie wydał dyspozycje odjazdowe, otoczyła go grupka dygnitarzy cywilnych i wojskowych zwartem kołem tak, że deputacja mogła tylko zdaleka podziwiać plecy odjeżdżającego generała. Po kilku minutach pociąg ruszył i niedoszli deputaci jak niepyszni wrócili przed dworzec. Tu jednak nowe spotkało ich rozczarowanie. Dorożki zostały przez policję zarekwiirowane na potrzebę od-



ALEXANDER PARISOT
Mecenas.

prowadzających dygnitarzy, a niedoszli deputaci *per pedes* zmuszeni byli pomaszerować do miasta. Milczenie przerwał na moście Karasiński frazesem: „Zacny to człowiek prezydent Witkowski... Na co Radgowski: „Szkoda tylko, że można było tylko do pleców jego przemówić...” Tak w milczeniu gromadka wróciła do miasta...

Jakby przeciwstawienie temperamentu ognistego pana Ksawerego, ukazywał się słuchaczom trybunalskim elegancki i układny mecenas Alexander Parisot, figura salonowa, zawsze pięknie utrefiona, której nie dostawało tylko niebieskiego fraka ze złotymi guzami, kołnierzyka koronkowego i żabotów, jedwabnych pończoch z trzewieczkami, na klamerki złote zapiętemi, aby przedstawiać skończony typ markiza z czasów Ludwika XV.

O ile Karasiński wyobrażał wasy, o tyle Parisot był uosobieniem peruki, w przenośnem tego

wyrazu znaczeniu. Przy kratce dość małowówny, lecz bardzo układny, o wyszukanych, zaokrąglonych frazesach, lubił pan Alexander nadewszystko sprawy o prawość rodu, lubił roztaczać przed sądem spory na małżeńskiej *incompatibilité des caractères* oparte, i estetycznie uwypuklać tajniki małżeńskiej alkowy, która, jak się zdaje, pociągała sympatje obrońcy swoim urokiem i znajdowała w sędzi Aleksym Brzezińskim namiętnego słuchacza...

Tych wszystkich okras pozbawionym był poważny, surowy i czysto specjalny wykład mecenasa Wolffa. Już samo oblicze pana Andrzeja okazywało niewzruszoną powagę i marmurowy chłód zawodowego jurysty. Pan Andrzej nie kochał się w kwiatkach, jakkolwiek wysoko cenił godność ziemianina-obywatela, i uważał się za nowatora w kwestjach płodozmianu i irygacji łąk... Po za tem jednak, wobec sądu i publiczności był to prawnik duszą i ciałem. Trzymał się tylko orzeczeń kodeksu, nie wkraczając zupełnie w idealne sfery frazeologii i retoryki. Występy Wolffa przed kratką sądową nosiły na sobie uroczystą cechę wykładów praktyki życiowej. Loika dowodów i siła przekonania walczyły w przemówieniach Wolffa z nieubłaganą konsekwencją



ANDRZEJ WOLFF.
Mecenas.

wywodów prawniczej natury. Każde słowo p. Andrzeja trafiało do celu, a argumentacja mówcy obfitowała w kazuistykę, wobec której oratorstwo przeciwnika broń składać musiało.



XIV.

Mecenas Flamm. — Ważna kwestja frakcji dziecka prawego. — Das Ding an sich. — Mecenas Leo i jego wycieczki w sfery humorystyki wyższej.

Do jednakiej z mecenasem Wolffem kategorii należał i mecenas Filip Flamm, okaz cichego, uprzejmego i parlamentarnego mówcy. Był to prawnik-teoretyk, rozmiłowany w zawodzie prawniczym dla — idei.

Niskiego wzrostu, przyjemnego i łagodnego oblicza, o głosie sympatycznym i cichym, uważał pan Filip kratkę sądową za profesorską katedrę, sędziów za akademickich swoich słuchaczy, przed którymi wygłaszał subtelne poglądy prawne, np. o jednej trzeciej części dziecka prawego, wyobrażającej całokształt praw dziecka naturalnego...



FILIP FLAMM.
Mecenas.

Każda sprawa była dla Flamma źródłem i pre-

tekstem do głębokich wywodów prawniczych. Zapominał dla niej nieraz o konkretnym interesie klienta, lecz bronił zasady, teorii czystej, *das Ding an sich*, wysnuwając z niej tysiączne, okwiecone zasobem świeżo ukutych wyrażen swojskich, kazuistyczne (przypadkowościowe...) powikłania,

Gdyś spotykał Flamma, idącego ulicą ze zwitkiem papierów pod pachą, lub też dobijającego się zwycięstwa nad deską z figurami szachowemi, mogłeś być pewnym, że w tej chwili, prawdopodobnie, pan Filip łamał sobie głowę nad najwłaściwszem użyciem wyrazu: *rękobierca*, lub *rękojemca*, a gdyś ośmielił się zrobić uwagę, że może prościej byłoby tu użyć wyrażenia: *garant*, wówczas pan Filip z namaszczeniem rozwijał teorię (zasadę) słownictwa swojskiego i konieczność stosowania wrzów takich, któreby nietylko rzecz, ale i myśl malowały dosadnie... Poza obrębem takiej właściwości usposobienia, Flamm był przedstawicielem nielicznej garstki głębokich znawców filozofji prawa i języka swojskiego, był w całym tego wyrazu znaczeniu uczonym prawoznawcą, a liczny szereg naukowych jego dzieł (*Wexle i czek*i, *Wykład kodeksu cywilnego*, *O spółkach rolnych* i t. p.) wzbogacił piśmiennictwo prawne cennymi pracami, którym zasłużoną sprawiedliwość oddała krytyka naukowa.

Urodzony w r. 1828 w Kaliszu, syn miejscowego lekarza, staranne odebrał wychowanie. Po ukończeniu gimnazjum wstąpił na kursa prawne i w r. 1846 poświęcił się zawodowi sądowemu. W r. 1850 został patronem, w r. 1865 adwokatem, zaś w r. 1872 mecenasem, poczem wszedł do grona adwokatów przysię-

głych. Wykształcony na wzorach francuskich ś. p. Flamm w obronach swoich kładł główny nacisk na *kwestję prawną*, rzecz opracowywał sumiennie, czerpiąc światło z komentatorów pierwszorzędnych. To też obrony jego budziły w sądzie interes i jednały mu uznanie. Praktyczne zajęcie adwokackie nie zadowalniały umysłu Flamma, mającego wyższe aspiracje. Już w r. 1865 wydał pracę *o prawach spadkowych dziecka naturalnego*. W r. 1868 gdy grono prawników nawiązując tradycję do zgasłej *Temidy*, utworzyło organ *Przegląd Sądowy*, Flamm wstąpił do redakcji czasopisma tego wspólnie z Wł. Nowakowskim, Okolskim, Okęckim, Chwalibogiem, Karolem Hube, Machczyńskim, Krausharem, Prokopowiczem, Radgowskim i Bielińskim. W r. 1872 był Flamm inicjatorem wydawnictwa *Gazety Sądowej* i przez lat 18, do roku 1890, podpisywał pismo w charakterze wydawcy. W roku 1882 na wezwanie Komitetu giełdowego opracował „*Rzecz o wekslach i czekach*”, miał udział w pracach nad rejestrem handlowym, nad projektem nowego prawa wekslowego. W r. 1888 wydał Flamm tom pierwszy pracy obrończej pod tyt.: *Interpretacja kodeksu cywilnego Królestwa*, W r. 1889 na zjeździe prawników i ekonomistów, odbytym we Lwowie, czytał referat pod tyt.: *Współki rolnicze ekonomiczne na tle prawodawstwa porównawczego*. Należał do stowarzyszenia prawników w Paryżu: *Société de la législation comparée*, również w r. 1890 w Berlinie wraz z Kazimierzem Nowakowskim opracował prawo upadłościowe w dziele: *Übersicht der in Polen geltenden Konkurs rechts und Konkursverfahrens*.

Powalony ciężką i nieuleczalną chorobą zamknął

ś. p. Flamm pożyteczny swój żywot d. 18 czerwca 1895 r. pozostawiwszy tradycję uczonego i teorii prawa oddanego jurysty.

Mniej naukowej stronie zawodu hołdował rówieśnik Flamma, mecenas Edward Leo, w sprawach bronionych przed sądem. Dla sympatycznego pana Edwarda, proces sądowy był tylko środkiem pu-



EDWARD LEO.
Mecenas.

blicznego ujawniania humoru i dowcipu, jakimi łaskawe nieba obdarowały duchową jaźń utalentowanego mówcy. Wesolo też było w kółku, w którym się znajdował Leo. Anegdotki najświeższe i koncepta dwuznacznej natury, okraszone malowniczymi określeniami, sypały się, jak z rękawa na głowy zachwyconych słuchaczy. Powtarzano sobie na mieście wycieczki pana Edwarda w krainy humorystyki wyższej. Łatwość wyśłowienia, towarzyska ogląda i wykwintne maniery łączyły

się w panu Edwardzie z erudycją literacką, której dowody składał w książkowych swoich artykułach, zamieszczanych w odcinkach poważniejszych gazet, a następnie w redagowanej przez siebie *Gazecie Polskiej*, która pierwsza wprowadziła na szerokie tory europejskiego rozgłosu pisarza tej miary talentu i zasług, jakiego społeczeństwo w najcięższej chwili swego

żywota odnalazło w Henryku Sienkiewiczu, *Szkice węglem* i *Listy z podróży* po raz pierwszy ujrzały światło dzienne w *Gazecie Polskiej* Edwarda Leo.

I przed kratką nie tail się pan Edward ze skłonnością swoją do humorystyki wyższej. Docinki, sypane w stronę antagonisty drażniły — lecz nie raniły ofiary; jeśli zaś rezultat sprawy w taki sposób bronionej, nie zawsze odpowiadał humorystycznym jej zaczątkom, pozostawała na dnie porażki ta słodka pociecha, że arena sądowa nie zawsze służy za pole walki o zasady prawa, lecz może być czasami i areną, do której humorowi i dowcipowi dostęp wzbronionym nie jest.

Z powierzchowności podobny do angielskiego lorda, z bokobrodami troskliwie pielęgnowanemi, z rogowem *pince-nez*, ulokowaniem na klasycznie ukształtowanym nosie, odbijał pan Edward od szarego tła obrońców kratkowych i wnosił wszędzie, gdzie się tylko ukazywał, pogodną atmosferę towarzyskości, tak pożądaną w życiowych stosunkach.



XV.

Mecenasi: Tafiłowski i Grobicki. — Imć pan Mieczysław Wyrzykowski. — Gustaw Wołowski. — Henryk Krajewski.

Niezwykłą werwą satyryczną odznaczał się przy kratce mecenas Hipolit Tafiłowski, mówca apodyktyczny, zgryźliwy, cięty, a gruntowny w wywodach obrony. Kolosalnych wymiarów ciała, o wyglądzie senatora rzymskiego, łysy i wymowny jak Cycero, gnębił swego adwersarza potokiem argumentów ścisłych, logicznych, opartych na praktyce życia i znajomości charakterów ludzkich. Kratka, przy której stawał pan Hipolit, była jakby ziejąca ogniem góra, a z niej, z ust mówcy kłębiły się gęste chmury potępiających dowodów... Nie widać było żadnej gestykulacji rąk, ani kołysania się popiersia mówcy. Usta tylko miały pociski, a nadchmurzone



HIPOLIT TAFIŁOWSKI.
Mecenas.

gęstemi brwiami oczy puszczały błyskawice gniewu w stronę przeciwnika, uśmiercały go gromami dowodów i zarzutów, na które parasol kwiecistych frazesów nie dawał żadnego schronienia.

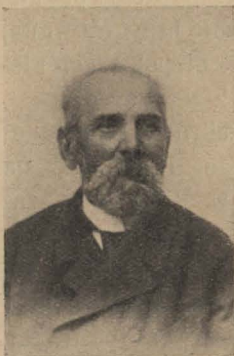
Tafiłowski był jednym z pracowitszych i najbezwzględniejszych w stosunkach koleżeńskich obrońców. Niedopuszczał żadnych odroczeń w terminach sprawy. Skoro wezwał na porządkowanie, żadne reklamacje, prośby i groźby przeciwnika nie skutkowały. Sprawa *musiała* być uporządkowaną, to znaczy, do wprowadzenia przez złożenie głosów na piśmie przygotowaną, w przeciwnym razie—appellacja jako niepopierana ulegała oddaleniu.

Aby taki brak koleżeńskości ukrócić, postanowiono odplacić pięknem za nadobne i wezwać na jedno porządkowanie Tafiłowskiego w kilkunastu zawitych sprawach, by tym sposobem postawić go w niemożności wyrobienia w ciągu dni paru obszernych wywodów i głosów i zmusić tą drogą do kapitulacji. Okazało się jednak nadspodziewanie, że p. Hipolit, jak tylko przyjął sprawę, już, nie czekając na wywody przeciwnika, z góry przygotował odpowiedź piśmienną. Spiskowcy ku wielkiemu zdumieniu spostrzegli, że Tafiłowski we wszystkich sprawach był tak uzbrojony i gotowy do walki, jakby tylko z jednym przeciwnikiem miał do czynienia...

Kiedy wprowadzono nową ustawę sądową p. Hipolit własnoręcznie przepisał ją twierdząc, że tylko przy pamięci wzrokowej można utrwalić nowozaprowadzoną ustawę. Z licznych spraw Tafiłowskiego przypominam sobie jedną, rozpoczętą przez Stanisława Rotwanda i oddaną Tafiłowskiemu do obrony w Se-

nacie. Sprawa ta ustaliła jurisprudence, iż za rzeczy skradzione podróżnemu w hotelu, odpowiada właściciel hotelu, gdyż stosunek taki uważać należy za *skład konieczny*. Wynikła sprawa z powodu okradzenia w Hotelu Saskim, młodego z Syberji powróconego wygnańca, poetę Miaskowskiego.

Bronili się Reszkowie zarzutem, iż należało Miaskowskiemu oddać pieniądze za kwitem kasie hotelowej, lecz ten zarzut obalił Tańkowski szeregiem wywodów



WINCENTY GROBICKI.
Mecenas:

tak gruntownych, iż Senat wyroki przez Rotwanda w Trybunale i Appellacji wywalczone za twierdzeń i ustalił w drukowanej swej jurisprudence zasadę, która nakazała właścicielom hoteli większą mieć odtąd bacność nad majątkiem podróżnych.

Do kategorii bezlitosnych szermierzy należał mecenas Wincenty Grobicki. Z żołnierską zamaszystością, twardy w karku, a cięty w słowach, wypowiadał pan Wincenty krótkie, urywane zdania, ozdabiając suche swe wywody cytacjami łacińskimi i adagiami prawniczymi, bez uniesienia i kwiecistości stylu, a skończywszy obronę, miarowym krokiem jak żołnierz oddalał się od kratki, nie okazując najmniejszej ciekawości, czyli wywody jego znalazły potwierdzenie w ferowanym wyroku.

A oto znowu przed nami postać niepośledniego wzrostu, barczysty, o rudym zaroście i o stentorowym głosie rzymskiego trybuna.

Jest to mecenas Mieczysław Prawdomów Wyrzykowski, słynny facecyonista, lecz człowiek najzaczniejszego serca i niezwykłego doświadczenia fachowego. Mowę swoją przed kratką zaprawiał orzeczeniami ludowymi, rąbał językiem niewyszukanym, zmierzając prosto do celu, bez żadnych omówień i okras frazeologicznych. Stosunki ziemiańskie i kwestje serwitutowe znał i uprawiał z zamięłowaniem. Był wrogiem pijawek społecznych — lichwiarzy. Nie szczędził ich też w obronie, i nie jeden z owych dobroczyńców, dla uniknienia siarczanej kąpieli zarzutów, chętnie się godził przed sprawą ze swą ofiarą, byleby tylko uniknąć zasłużonej z ust pana Mieczysława kary. Dziwny wstręt miał pan Mieczysław do — właścicieli domów, *vel* kamieniczników, jak ich nazywał. Złe języki utrzymywały, że zawsze był z nimi w zatargach, z powodu komornego, którego pobieranie uważał ze swego stanowiska, za nadużycie... Twierdził też, że stanowczo przyjsć musi chwila rzezi kamieniczników... Miał jednak kolegę Artura Bardzkiego, który był właścicielem domu, a z którym wielce sympatyzował. To też w przystępie dobrego humoru obiecał mu, że ponieważ go bardzo lubi, to postara się, aby w czasie owej rzezi był zarzniętym ostatni... — „Abym się z tobą dłużej mógł cieszyć...” — dał na pocieszenie.



MIECZYSLAW PRAWDOMÓW
WYRZYKOWSKI.
Mecenas.

Ów to Prawdymów Wyrzykowski głośnym był jako jeden z inicjatorów utworzonego w Warszawie w roku 1838 tajnego *Towarzystwa demokratycznego*, którego wykrycie zaprowadziło młodziutkiego, entuzjastę do kopalń Nerczyńskich. Przebywał on tam do początków roku 1860, przez lat dwadzieścia dwa, a że krew miał gorącą i niechciał się tam nawet uspokoić, skazanym został na pięćset pałek, które wytrzymał szczęśliwie, jakkolwiek twierdził, że przy tej sposobności utracił władzę w nogach i z tego powodu do końca życia chodził w pantoflach, nawet na Sądy. Miał prócz tego Wyrzykowski i inne nałogi. Naprzykład w porze letniej spacerował wieczorami po ulicach w szlafroku, z obnażoną głową. Niektórzy twierdzili, że pod szlafrokiem nie nosił tak spacerując żadnego przyodziewku... Że to było wieczorem, więc w ciemności trudno było sprawdzić, o ile taka pogłoska była zasadną...

Z Wyrzykowskim łączyły mnie, młodzieńca jeszcze wówczas, stosunki nader życzliwe.

Zbliżyła nas do siebie pewna powikłana sprawa czynszowników Nowych Bałut, którą on, z energją rozpoczął, a po jego zgonie sprawa ta przez rodzinę Zawiszów powierzona mi została i stała się źródłem do wytoczenia nieprawym posiadaczom gruntów pod Łodzią kilkuset procesów, zakończonych po długich latach pracy ostatecznem zwycięstwem. Sprawa ta swego czasu miała rozgłos niezwykły.

W piątym dziesiątku ubiegłego wieku dziedzie Łagiewnik, August Zawisza Czarny, brat nieszczęsnej ofiary partyzantki Zaliwskiego, Artura Zawiszy, powieszzonego w r. 1833 w Warszawie, pan niegdyś

możny, mając znaczną przestrzeń gruntu pod Łodzią, zamierzał utworzyć na niej osadę i rozkolonizować na niej dzierżawców, którzy mieli mu opłacać nie wielki czynsz i laudenum od każdego przejścia. Stosunek opartym został na wieczysto dzierżawnem posiadaniu. Cały ów interes powierzył Zawisza do przeprowadzenia dwom pośrednikom: Bławatowi i Birencweigowi, za co im oddał pewien grunt w użytkowanie osobiste. Lecz owi pośrednicy tak się urządzili, że całą przestrzeń wydzielonego pod nazwą *Nowych Bałut* gruntu rozdali między swych familjantów i spekulantów, którzy zaczęli działki rozmaite za bezcen trzecim nabywcom sprzedawać i pozbawili w ten sposób Zawiszę korzyści, jaką sobie z utworzenia osady obiecywał. Wobec tranzakcji po za hypoteką uskuteczniionych, częstokroć ustnie, lub za aktami prywatnemi, a nawet urzędowemi, lecz bez wiedzy i zgody dziedzica, trudno było się z nieprawymi posiadaczami uporać. Wyrzykowski z energją zabrał się do dzieła i zaskarżywszy o symulację zdziałane umowy, przeprowadził po wielu przeszkodach procesa aż do IX Departamentu Senatu, który w pełnym składzie w r. 1871 umowy zaskarżone za podstępne i prawom Zawiszy szkodzące uznał i unieważnił.

To jednak było dopiero przygrywką do całej symfonii procesów przeciw nieprawym nabywcom rozpoczętych, lecz z powodu zgonu Wyrzykowskiego niezakończonych. Po zgonie Zawiszy rodzina jego w drodze działów wystawiła Nowe Bałuty na sprzedaż. Nabywcami stała się: jedna z córek zmarłego, oraz nieżyjący już adwokat Małachowski. W takim stanie

rzeczy rozpoczęła nieskończony szereg spraw przeciw kolonistom i, dzięki ustalonej jurisprudencji: iż prawo rzeczowe do gruntu hipotekę mającego jedynie tytułem hipotecznym uzasadnić można, Sąd Piotrkowski i Izba Sądowa, wreszcie Senat, ustaliły, iż nabycia pozahypoteczne żadnego waloru mieć nie mogą, skutkiem czego nakazaną została eksmisja osadników z nabytych przez nich działków. Orzeczenie Senatu uległo następnie zmianie pod tym względem, iż pierw-



GUSTAW WOŁOWSKI.
Mecenas.

szych kolonistów osiadłych w Nowych Bałutach na podstawie umów z Bławatem i Birenckiem zwolniono od potrzeby hipotecznego ujawniania następnych alienacji, w skutek czego, kilkunastu osadników utrzymało się przy nabytych prawach, lecz reszta ich, przeważna większość, podległa skutkom eksmisji.

Skutkiem zmiany warunków posiadania gruntów i podniesienia się ich w cenie, osada Nowe Bałuty w piątym dziesiątku ubiegłego wieku, wielkiej wartości nie przedstawiająca, doszła do wysokiego waloru i obecnie stanowi niepoślednie dla dziedziców Nowych Bałut źródło dochodów.

Antytezą owych rębaczy był mecenas Gustaw Wołowski, chudy, wysoki, o ptasiej fizjonomii, z długim nosem i uciekającej w głąb kołnierzyka bródce, zawsze nerwowo drażliwy. Choroba piersiowa odejmowała jego wymowie urok głosu pełnego; lecz

w owych cichych, z trudem dobywanych słowach, tkwił zasób erudycji niepospolitej i czytania wszechstronnego. Oddziaływały one na sędziów i słuchaczy urokiem stylu literackiego i przekonywającej treści. Głośna sprawa literacka „*Kłosów*“ z „*Gazetą Polską*“ o przekład „*Pracowników morza*“ ujawniła w Gustawie Wołoskim klasycznego obrońcę i literacko wykształconego prawnika.

Na krótko przed reformą sądową pojawił się u kratki znakomity mówca—Henryk Krajewski.

Postać to wybitna, bez przesady mówiąc — posągowa. Oblicze jej, unieśmiertelnione pędzlem mistrza Matejki, w epoce, kiedy już srebrzysty włos brody w niczem nie przypominał zarostu ciemnego z jakim po powrocie z wygnania syberyjskiego widywano Henryka Krajewskiego — oblicze to cechowało się dziwnym urokiem piękności męskiej i onergji.

Henryk Krajewski już od dni młodocianych żywy przyjmował udział w sprawach narodowych. Urodzony w r. 1824 w Hrubieszowskiem, po ukończeniu gimnazjum lubelskiego i kursów prawnych wstąpił do uniwersytetu moskiewskiego i ukończył go ze stopniem kandydata.

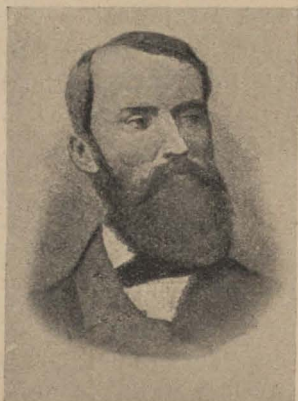
W początkach roku 1850 jako adjunkt sekcji prawnej w rządzie gubernialnym, za przewinienie politycznej natury zesłany został na Syberję, gdzie lat 12 przebywał. Ułaskawiony wrócił do Warszawy i objął posadę w Towarzystwie kredytowym ziemskim.

W roku 1865 ponownie go zesłano na Syberję gdzie znowu lat kilka spędził, pracując usilnie nad prawem i ekonomją polityczną. W roku 1869 na stałe wrócił do Warszawy i objął posadę w ordynacji hr. Zamoj-

skich, a jednocześnie został Adwokatem, z prawem stawania w Senacie.

Jako obrońca, zyskał sobie zasłużoną opinię gruntownego prawnikawcy, mówcy i wyjątkowo idealnego człowieka. Niepospolita wiedza kojarzyła się w nim z poczuciem obowiązku.

Lecz praca obrończa nie wypełniała całkowicie jego działalności obywatelskiej. Zasadnie twierdzi we



HENRYK KRAJEWSKI.
Mecenas.

wspomnieniu pozgonnem o Krajewskim *Gaz. Sądowa* r. 1897 № 26 w artykule H. Konica, iż największą troską Krajewskiego było dążenie do podniesienia godności adwokatury. To też przez szereg lat do końca swego życia, zajmował się sprawą utworzenia Rady Obrończej w Warszawie. Gdy pomimo starań nie udało się wprowadzić owej instytucji do palestry naszej, powziął Krajewski myśl zastąpienia jej w części — inną.

Jakoż, w r. 1886 wyjednał ustawę kassy pomocy adwokackiej, która zawierała paragraf wprowadzający pewną kontrolę etyczną nad działalnością adwokatów. Paragraf ów usunięto. Mimo to, samo istnienie kasy utworzyło pewien organiczny między palestrą związek, tem silniejszy, że jej Prezesem był Krajewski.

Z podniosłych mów pozgonnych wygłoszonych przez Karola Dunina i Adolfa Suligowskiego nad gro-

bem wielkiego obywatela i prawnika, twórcy wieczystej fundacji dobroczynnej *Charitas*, podnieść należy tę stronę działalności zmarłego która najznamięniej jego serce i umysł cechuje.

„Wspaniała, iście majestatyczną była zewnętrzna postać Henryka Krajewskiego — mówił Suligowski — a pod tą piękną godną pędzla i dłuta postawą, jak wielka kryła się dusza! jak wielkie biło serce!

„Cichy — posiadał on rzadką i rozległą wiedzę, skromny nad wyraz — posiadał on hart i energję do wielkich prac i zadań, łagodny z usposobienia, pielęgnował w swym łonie najżywsze uczucie, pełne siły i ognia! Ten spokojny, uprzejmy i nieśmiały nawet człowiek przybierał jak gdyby nową odmienną fizjognomję, ilekroć powoływał go do działania obowiązek. I stawał przed nami wtedy człowiek stanowczy i energiczny, walczący i miazdzący, człowiek gorący! Spozstrzegać to było można przy obronach, które wnosił przed sądami. Zapalał się, walczył i stawał się prawie bezlitosnym.

„Ci, co z wierzchu ludzi sądzić zwykli, mieli niekiedy w posądzeniu jego codzienną słodycz, zarzucali mu dwoistość. A przecież była to taka prosta i jasna, trwała i jednolita natura, jakby z jednego kawała kruszczu wykuta. Panujący nad sobą, nad swemi słowami, nad swoją osobą, z natury cichy i skromny, ujawniał wielkość swojego ducha przy jednej, jedynej podniecie — przy obowiązku. Takiej pracy, jaką przynosił, takiego poświęcenia, jakie okazywał ś. p. Henryk tym, których sprawami lub losem się zajął, nie można znaleźć u zwykłych ludzi. Był on pod tym względem niedosięgly, badał stosunki, które

miał sam rozwiązywać, lub przed sądami wyjaśniać, badał je w najdrobniejszych szczegółach, badał ludzi, których one dotyczyły, badał ich usposobienie — ich życie, ich temperament. Były to badania pod mikroskopem, badania porów, kresek i zmarszczek, badania sumienne, ciężkie i długie.

„Stworzony do większego czynu, na skromnem stanowisku obrońcy, wnosił on wielkie swe przymioty i wielkie zasoby do prostej, codziennej, fachowej pracy, wlewał wielkiego ducha w skromne z natury swoje czynności, nadając im wybitną formę, wybitną cechę, wybitne piętno.

„Zarzucano mu niekiedy, że przesadza w swojej gorliwości. Nie umiano zrozumieć natury człowieka i jego charakteru. Nie jego wina, że posiadał siły i pragnienia ponad zadania życiowe, które mu przypadły w udziale, nie jego wina, że pozostał na skromnem stanowisku, wierny swoim obowiązkom, i że nie wybiegł po za to stanowisko wyżej.

„Z tem idealnem pojmowaniem obowiązku szła w parze niesłychana i niedosięgła skromność. Wszystko dla innych, dla siebie—niczego nie potrzebował. Nie miał żadnych potrzeb. Prosta strawa i proste sprzęty najzupełniej mu wystarczały. Nie uważał, aby mu się za długoletnią pracę, za jego wysiłki i trudy, cośkolwiek więcej należało. Z tego co miał, hojną ręką na prawo i na lewo rozdawał, a dla siebie nic i zawsze nic. W czasach chorobliwych pragnień życia i użycia, anachoreta, jakim był ś.p. Henryk, odbijał jaskrawo od bliższych i dalszych, od swoich i obcych, od całego otoczenia. Jego dom uderzał swoją skromnością, prostotą swego urządzenia,

po prostu ubóstwem, ale za to ten dom, tym, którzy progi jego przekroczyli, nakazywał cześć dla cnoty, która w nim widome obrała sobie siedlisko.

„Całe jego życie stanowi ciągłą, pożyteczną dla innych naukę. Los go nie szczędził, chłostał go różgami i rzucał jak piłką na wsze strony. Sto razy piłka mogła się rozbić, rozlecić i zmarnieć. Razu pewnego, w przystępie uniesienia, wyskoczył oknem z drugiego piętra. Kto inny byłby zgorzkniał, znienawidził świat, znienawidził ludzi; ś. p. Henryk nie przestał kochać innych, nie przestał pragnąć ich dobra, ich szczęścia, dla ludzi ciągle się poświęcał, dla nich żył i pracował.

„Przed czterdziestu kilku laty, gdy wyjeżdżał z kraju na czas dłuższy, był zaręczony z późniejszą swoją żoną, zącną niewiastą, ś. p. Anną Lewicką, 1-o voto Domaszewską. Po kilku latach napisał do niej, że nie ma prawa zagraadzać jej losu, że zwalnia ją od danego słowa, że prosi, aby o nim zapomniała. W niewieście tej znalazł godną siebie, godną swego charakteru istotę. Niewiasta puszcza się bez namysłu w drogę i po kilku miesiącach w skromnej zdala po za krajem kaplicy kapłan połączył ich węzłem do-zgonnym, Majątek obojga małżonków wynosił sumę rs. 10. Rubli dwa przeznaczono na ucztę weselną, aby w towarzystwie kilku wiernych przyjaciół uczcić tę tak słodką, tak pożądaną, a zarazem tak ciężką chwilę,

„Po zawarciu małżeństwa, ś. p. Henryk dawał lekcje języka francuskiego, a jego żona lekcje muzyki. Z tego ciężkiego zarobku krwawą oszczędnością ze-brali sobie fundusik na koszty powrotnej podróży,

i na rozpoczęcie życia po powrocie. W późniejszych jeszcze dalekich podróżach wierna ta żona towarzyszyła mężowi stale i niezmiennie. Nie sądzono mu jednak było przeżyć z nią do końca życia. Przed 10-ciu laty złożył tę drogą żonę tutaj w tym grobie, czekając spokojnie chwili, w której się z nią na innym świecie połączy.

„Wcześniej jeszcze, i to w chwili, gdy, jak się zdawało, los zaczął się uśmiechać i pozwolił pracować na miejscu w tym samym grodzie, przybyła mu córka, Deodata, jedyne dziecko, jakie posiadał, od Boga zesłane, jak samo imię wskazuje. Chodował to dziecko, tulił do serca, wiązał z niem swoją przyszłość, aliści los nie pozwolił mu wychować dzieciny, stracił ją w zaraniu lat dziecięcych, stracił, aby już więcej nigdy dziecka własnego nie oglądać i nie mieć. Zakrwawione serce ojca i ten cios zniosło w pokorze, składając Bogu w ofierze to, co z Jego łaski otrzymał.

„Na cierpieniach i głogach prządl ś. p. Henryk pasmo swojego żywota, nie skarżąc się nikomu, nie żaląc się na nic i na nikogo. W cierpieniach i bólach hartował ducha ten człowiek żelazny, który się człowiekiem ze stali zrobił.

„My, społeczeństwo całe, tracimy w nim człowieka wielkiego ducha, wielkiego charakteru i niezłomnej woli. Za szczęśliwych poczytać się możemy, żeśmy posiadali pomiędzy sobą człowieka tej miary moralnej, ale jakże ciężko, z jakim bólem i żalem wypadło nam dzisiaj złożyć go do grobu i utracić na wieki!

„Co mówię? ależ on nie zginie! Pamięć o nim

pozostanie pomiędzy nami, bo cnota, prawdziwa cnota, nie umiera, bo ona, jak wielka idea, ma życie wieczne! Legenda przeniesie wspomnienie o nim w dalekie pokolenia. Żyć on będzie, jako wzór niedoścignętego poświęcenia i zaparcia się siebie, żyć będzie na zawsze, zwiększając zastępy szlachetnych duchów, unoszących się po nad tą ziemią, po nad tem miejscem pamiątek, po nad tym cmentarzem“.

Sięgając osobistych wspomnień, o stosunkach — śmiałem z chlubą nadmienić — nader dla mnie życzliwych z — tak wyjątkową osobistością, jaką był ś. p. Henryk Krajewski, przypominam sobie głośną swego czasu sprawę, jakiej z nim broniłem wspólnie w Sądach.

Miałem wówczas sposobność poznać bliżej tryb jego pracy i olbrzymie zasoby wiedzy i ducha jakimi rozporządzał.

Była to sprawa księżny Abamelekowej, wytoczona zmarłemu Blochowi o krociowe pretensje z powodu eksploatacji lasów w gubernii wołyńskiej. Przeciwnikiem naszym był Stanisław Zalewski. Sprawę miał wątpliwą, lecz swoim trybem, wbrew oczywistości, taką falą zarzutów natury osobistej oblał pozwanego Blocha i tak wyzywająco traktował obrońców tegoż, iż Krajewski, podniecony do najwyższego stopnia, za ledwie mógł się w równowadze utrzymać. Słyszając zarzuty bezgruntowne, co chwila zrywał się z miejsca, pieniał z gniewu, lecz powstrzymywany przez Prezującego Williamsa z trudnością hamował wybuchy temperamentu. Doczekawszy się wreszcie głosu w parogodzinnej mowie miażdżył argumenty Zalewskiego. Zdawało się, że zwycięstwo zostanie po stronie na-

szej, lecz Abamelekowa swojemi wpływami w Izbie Sądowej i w Senacie, z których zawsze zły czyniła użytek, sprawiła to, iż w ciągu paru tygodni po wniesieniu kassacji do Senatu, zyskała wyjątkowo nagły termin i sprawę niesłuszną ostatecznie—wygrała...

Krajewski tak był do żywa dotknięty wyrokiem Izby Sądowej, iż dalszej obrony w Senacie zrzekł się i z Zalewskim stosunki towarzyskie zerwał na zawsze...

Dla uzupełnienia sylwetki Henryka Krajewskiego należałoby jeszcze wspomnieć o wybitnej roli jego, jaką odegrał w dziedzinie polityki narodowej w burzliwej epoce lat 1861 — 1863, nawet na wygnaniu, gdzie, nawiązawszy stosunki z wpływowemi osobistościami dworu, starał się wpłynąć na przychylniejsze ich usposobienie dla potrzeb i aspiracji Narodu. O tej stronie jego działalności niewątpliwie dziejopisowie czasów naszych kiedyś szerzej opowiedzą.

Interesujące szczegóły o życzliwości ks. Błudow dla Krajewskiego, mieszczą się w annexach do dzieła Lisickiego o Wielopolskim.



XVI.

Imci pan Łabędzki. — Adwokat Magnuski. — Zamierzchłe
typy. — Nasz pan Aloizy. — Śmierć na wyłomie. —
Jurisprudens Karpiński. — Kleczkowski i Ciągliński.

Do charakterystycznych postaci między obrońcami starszego autoramentu należeli: mecenas Łabędzki i adwokat Magnuski. Obadwaj okazałego wzrostu, o twarzach wygolonych, łysi, żywo przypominali portrety dawnych palestrantów. Magnuski, przechylając się przez kratkę obrończą, efektownie, niby szepcząc, obniżał głos, lecz nagle, w miejscach, które uważał za stanowcze, wybuchał głosem silnym, tubalnym i uderzał pięścią o krawędź trybuny, tak, że sędziowie, ukołysani chwilowo liryką wykładu, nerwowo poruszali się na krzesłach kurulnych, ilekroć obrońca takim nadzwyczajnym środkiem przyzywał ich uwagę do porządku...

Tego samego systematu trzymał się w swoich obronach mecenas Łabędzki. Dziwna jakaś energja przejawiała się w ruchach staruszka, gdy widząc

przechylającą się szale zwycięstwa na stronę przeciwnika, usiłował przekonać sędziów o słuszności swojej sprawy. Podnosił wówczas obie ręce do góry, zaciskał pięści, szamotał się całym korpusem, i wyrzucał z piersi tony rozpaczliwe, wzywające sędziów do ratunku.

Na jednej z obron Łabędzkiego znalazł się i genialny ś. p. Aloizy Żółkowski, pragnąc podpatrzyć



JÓZEFAT MAGNUSKI.
Mecenas.

niektóre charakterystyczne rysy Łabędzkiego, aby je skopiować wiernie, w roli, którą miał odegrać na scenie. Publiczność z zajęciem śledziła tę mimowiedną, zakulisową grę za kratkami sądowymi, i cichymi szepty wyrażała swoje uwagi. Spostrzegł Łabędzki, co się święci. Po skończeniu obrony przystąpił najspokojniej do Żółkowskiego.

— Panie Aloizy — odezwał się do niego bez przygotowania — byłem przyjacieleм ojca pańskiego. Jestem człowiekiem starym, ojcem dzieci i pracuję uczciwie... Nie rób mi przykrości i nie wystawiaj mnie na pośmiewisko gawiedzi...

Żółkowski spojrzał zdziwiony i, niepomny miejsca, w którym się znajdował, objął Łabędzkiego i serdecznie go ucałował.

— To zacny człowiek! — szepnął, odchodząc z sali. — ja mu tej krzywdy nie wyrządę...

Zdziwili się też pewnego razu słuchacze, gdy ujrzeli Łabędzkiego, jak po gorącej obronie w jakiejś sprawie cywilnej, skulił się w milczeniu w kącie ławki obrończej, a gdy przeciwnik jego skończył replikę i oczekiwał głosu Łabędzkiego, ten już nie podniósł się ze swego miejsca, gdyż w trakcie mowy przeciwnika zasnął snem głębokim — na zawsze...

Do rzędu cichych, sympatycznych i użytecznych pracowników należał mecenas Józef Karpiński, b. sybirak, uczestnik powstania 1863 r., wiekuiście zajęty zbieraniem ziaren mądrości senackiej i szeregowaniem ich według liter alfabetu. Z prac mecenasa Karpińskiego, systematycznie przez szereg lat gromadzonych, zebrała się już poważna biblioteczka. Przyszły historyk sądownictwa krajowego znajdzie w niej czasem bogaty materiał do poznania jurisprudenji cywilnej, dawnej, najwyższej magistratury sądowej.

Pan Józef nigdy nie pretendował do wybitniejszej przed kratkami roli. Jako cichy i skromny pracownik, uprzejmy w stosunkach towarzyskich, nie narażał sobie nikogo w wywodach obrony. Jedyńm ideałem jego obrończego zawodu było to, aby do pożądanego zbioru swoich notat dodać jeszcze jakąś jurys-



JÓZEF KARPIŃSKI.
Mecenas.

prudencję, i pomagać swoim kolegom praktyczną radą w wyszukiwaniu odpowiednich orzeczeń senackich.

W listopadzie 1896 r. palestra warszawska pragnąc uczcić pracę i zasługi zacnego mecenasa Karpińskiego i przypomnieć społeczeństwu człowieka, który uczucia swoje i przekonania patriotyczne okupił długą niewolą w kopalniach, lecz któremu niechętnie losy nie odjęły pogody ducha i wiary w przyszłość lepszą, człowieka, który w wydanej na krótko przed zgonem książce streścił swój pogląd na zadania życiowe w stosunku do Boga i społeczeństwa — zebrali się w koleżeńskim gronie by wynurzyć zawnemu starcowi cześć i życziwość.

Oto dowcipny wiersz wygłoszony podówczas przez Kazimierza Juljana Jasińskiego:

Na tej biesiady roki uroczyste
Dostałeś pozwy starszy nasz kolego,
Gdym na powodów zapisał się listę —
Zdążam przed *forum* zamieszkania twego
I słów gorących zapas z sobą niosę...
Jeno co baczę *wokandy* kolei,
Actor paratus semper debet esse
Et sequitur forum rei.

Ledwie świt wiedzy zajrzał w myśli twoje,
Na prawoznawstwa tyś znalazł się niwie,
Z ochotą pluga zapuścił w nią kroje
I dotąd orkę prowadzisz cierpliwie.
Wikła się sprzężaj, o głąz trąca socha,
Ale w twej duszy taki zapał święty,
Że co w najtwardszej robocie się kocha...
Non fit injuria volenti.

Gdy Kapuściński przestał nieść w podarku
Senackiej w kraju pieśń magistraturze,

Któżby z nas ujął lutnię po Bekwarku,
Jak nie ty jeden, śpiewny trubadurze?

Dzięki twej gęśli wypełnia się szczerba,
Jej rapsod Izbę opiewa z Senatem,
Jako: *Non legum tenere est verba,*
Sed vim atque potestatem.

Owe zeszyty, co z rąk do rąk biega,
Z których się nieraz myśl jędra wykrzesze,
Ten twój dorobek, tę część mienia twego,
Erbpachtem puszczasz między głodną rzeszę
I rad poglądasz, jak pracy twej plonem
Inszy przed kratką wywoła efekty,
Groszowy *kanon in recognitionem*
Biorąc dominii directi.

Wielu fortuny znęcał snadny połów,
Ale nie ciebie, pracowniku cichy,
Tyś nigdy nie jadł chleba z pańskich stołów,
Wolen zawiści i wolen czezej pychy, —
Tyś posiadał w orce, wśród skowronków pienia
Jasnej twej duszy wtórując im arją,
Miłość kolegów prawem *zasiedzenia,*
Nec vi, nec clam, nec precario.

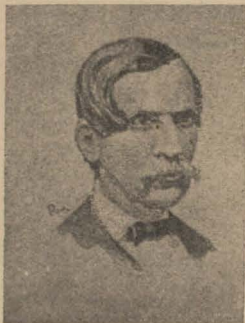
Patrz, jak bracie twoja zdaleka i zblizka
Na tej rocznicy festyn wali ławą,
Patrz, jak gorąco rękę twoją ściska,
Jak w tem gorącu serca biją żwawo...
Śnać, gdyś miłości wnosił w nie *treść* złotą,
Wszystkie dla *wpisu* znalazłeś otwarte,
W nich hypotekę masz *totam in toto*
Et totam in qualibet parte.

Bywaj, bogaczu, bogactwami temi,
Co prawy rolnik nad pługiem zdobywa,
Tą wiarą w Boga, tą miłością ziemi
I tą nadzieją szczęśliwego żniwa.
Wszak czy na niebie tarcz słoneczna płonie,

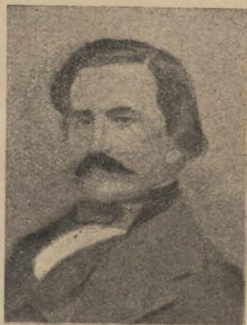
Czy bije w oczy jesienna wichura,
Ty zawsze z brzaskiem stajesz na zagonie,
Bo *vigilantibus* — *jura*.

Gdy cię dziś krzepkim pięćdziesiąte zorze
Widzę na smugach, — my podług zwyczaju,
Wołamy zgodnie: Do pracy szczęść Boże!
Przyczyniaj gleby wytrwały rataju,
Żyj i nauczaj, mimo życia biedę,
Stosować *semper ubique*:
Honeste vive, nec alterum laede,
Suum tribue cuique.

Koledzy senaccy wyliczonych powyżej mecenasów: Józef Kleczkowski (senior), i Franciszek Ciagliński, surowego oblicza, lecz bardzo łagodni ludzie,



JÓZEF KLECZKOWSKI.
Mecenas.



FRAN. CIAGLIŃSKI
Mecenas.

jeszcze skromniejszych byli aspiracyj. Odczytywali swoje obrony w skupieniu ducha i rzadko kiedy puszczali się na grzazkie i śliskie pola improwizacji ustnej.



XVII.

Zabytek sądu najwyższej instancji. — Wierchlejski. — Łącki. —
Wrotnowski.

Uzupełniały galerję starszych obrońców postaci mniej głośnie, lecz niezaprzeczonej w swym zawodzie użyteczności.

Pan Tomasz Nowakowski, najstarszy, nietylko *de nomine*, lecz i *de jure*, mecenas z epoki sądu najwyższej instancji, dawny współpracownik *Temidy*, pomimo sędziwego wieku, na długo zachował rumieniec i świeżość iście młodzieńczą. Cichy, potulny, stawał przed kratką zawsze zakłopotany, i głosem niepodniesionym wygłaszał argumenta prawne z cytacjami łacińskimi, bez uniesienia, bez okrasz krasomówczej.



TOMASZ NOWAKOWSKI.
Mecenas.

I Nowakowski doczekał się 4 marca 1879 r.

obchodu jubileuszowego półwiekowej działalności na polu obrończem, a uroczystość ta przyniosła upadającemu w owym czasie wydawnictwu „*Biblioteka umiejętności prawnych*“ zasilek pieniężny i dała assumpt ś. p. Stanisławowi Kronenbergowi do zaopiekowania się losem wydawnictwa, które piękną kartę w literaturze prawniczej współczesnej wypełniło.

Oto wierszyk wygłoszony przez autora niniejszych wspomnień, dzięki któremu, zachwiane podówczas wydawnictwo „Biblioteki umiejętności prawnych“ pod redakcją ś. p. Aleksandra Rembowskiego zyskało na czas dłuższy poważne materialne poparcie:

Na jednej z ulic miasta Warszawy,
W ciemnej komorze młodzian spoczywa
W moc nieugiętej długów ustawy...
Tam go zamknęła dłoń zysku checiwa!

A był to młodzian pełen nadziei...
Wpółśród prawników zakwitnął grona...
Lecz siłą zwykłej losów kolei
Utknął wśród drogi i z nędzy kona!...

Młodzieńcem owym jest—„Biblioteka“
Co wiedzę „prawną“ wszystkim nam niesie,
A ów wierzyciel co mu dopieka —
Firmą drukarską ów tyran zwie się!

Święcąc dziś zgodnie dzień Jubilata
Przyłożmy kieszeń do dzieł zasługi...
Niech nam litością pierś zakolata
Zapłaćmy wspólnie drukarskie długi!

Niech ów młodzieniec, co schnie w ciemnicy,
Rozpocznie znowu żywot bez troski

Niech mu bankierem będą prawnicy,
A wskrzesicielem — nasz Nowakowski!

On, co to jaśniał przed wielu laty
Jako redaktor starej Temidy,
Niech młodą Temis puści z zakraty
I nas oczyści z piętna ohydy!

Zmarł Tomasz Nowakowski 5 stycznia 1890 r.
(*Gaz. Sąd.* 1891 № 2),

Jednakiej miary pod
względem zdolności facho-
wych był ongi ś. p. Roman
Wierzchlejski, postać nie-
zmiernie ruchliwa, w szer-
szych kołach towarzyskich
powszechnie znana. Jako
nauczyciel prawa w klasach
dodatkowych, następnie ja-
ko profesor Szkoły Głównej,
jako prokurator senatu
i współpracownik ustaw fi-
lantropijnej natury, odzna-
czał się znajomością fa-
chową przedmiotu i korzy-
stał z dobrej opinii w kole
zawodowych kolegów, którzy go zwykle jako swego
prowodyrę na zebraniach prawniczych wybierali.

Tragiczny zgon ś. p. Wierzchlejskiego, spowo-
dowany targnięciem się na życie własne, szczerem
współczuciem odezwał się w sercach kolegów i ca-
łego niemal społeczeństwa. Nikt nie spodziewał się,
by tak bolesny epilog zamknął życie wypełnione pracą



ROMAN WIERZCHLEJSKI
Mecenas.

podniosłą, idealnym na świat poglądem i istotnemi zasługami. Ś. p. Wierzchlejski był zapalonym wielbicielem poezji. *Pana Tadeusza* umiał na pamięć i chodząc po ulicach zawsze go recytował. Uprzejmy, koleżeński i ofiarny w sprawach obywatelskich, pozostawił po sobie rzewne wspomnienie.

Z obrońców dawnego autoramentu wymienić należy i p. Teodora Łackiego, niegdy bardzo wziętego



TEODOR ŁACKI.
Mecenas.

obrońcę, znawcę subhastacyjnych zawiloci. Zapełniał on szpalty gazet obwieszczeniami o sprzedażach przymusowych i głosem tubalnym gromił manewry zręcznych dłużników w sporach egzekucyjnych. Nie zaliczano Łackiego do wybitniejszych zdolności obrończych i on sam też do nich zbytniej nie rościł pretensji, lecz była to siła użyteczna, z którą rachować się należało.

Teodor Łacki doczekał się swego czasu szerokiego rozgłosu jako obrońca w sprawie kilkunastu obywateli-żydów, oskarżonych przez Antoniego Lesznowskiego, redaktora *Gazety Warszawskiej*, o obelgi z powodu artykułu Keniga o absenteizmie na koncercie panien Neruda, „obywateli o garbatych nosach“. Sprawa ta, opisana przez autora niniejszych wspomnień w obszerniejszej pracy drukowanej w *księdze jubileuszowej* Kraszewskiego, a niedawno przypomniana przez Kazim. Bartoszewicza w broszurze „*Wojna żydowska*“, zjednała Łackiemu

rozgłos, lecz jednocześnie i niechęć ze strony prasy. Łącki otrzymał od oskarżonych zegarek pamiątkowy, który lubił ukazywać kolegom. Przy kratce niezbyt parlamentarny, miał wielu niechętnych, lecz niewiele sobie z owej niechęci robił i płacił pięknem za nadobne.

Zdarzyło się, że przeciwko Łąckiemu adwokaci Borzewski i Flamm, obaj małego wzrostu, wystąpili z żądaniem o podstawienie ich klientów jako wierzycieli do dalszego popierania subhastacji, z tej zasady, że kontrolując działania Łąckiego, znaleźli, iż się dopuścił zaniedbania. Okazało się przy rozprawie, że zaniedbania nie było i, że subhastacja została opóźnioną wskutek licznych sporów, które wprzód należało odeprzeć. Łącki wyliczywszy skrupulatnie wszystkie termina, wszystkie wyroki, i dowiódłszy jak na dłoni, że był najpracowitszym i najakuratniejszym extrahentem, uniósł się dla większego efektu na palcach, i spoglądając pogardliwie z dwulokciowej wysokości na głowy swych antagonistów, o parę cali nad trybuną wzniesionych, patetycznie zawołał: „i gdzieżeście wtedy byli *wy wielcy kontrolerowie subhastacji!*“

Jako „literata“ uważano za czasów moich mecenasa Antoniego Wrotnowskiego, ponieważ, jak szeptano cichaczem, był autorem głośnego dzieła: *„Porozbiorowe aspiracje narodu polskiego“* i przetłumaczył z francuskiego traktat Marcade'go o „przedawnieniu“. Było to istotnie czemś wyjątkowem i niezbyt dobrze o rozległości praktyki obrończej świadczącym wydarzeniem, jeśli spotykano nazwisko jakiego prawnika pod artykułem literackim, lub też na okładkach książki.

Pozytywnie myślący ludzie wzruszali ramionami na widok obrońcy, który, oprócz kratki i poza nią, pielęgnował w duszy inne jeszcze ideały. To, co się w czasach dzisiejszych, w adwokatach pomiatających nauką i uważających zawód swój jedynie za sposób „robienia grosza“, uważa za lenistwo, filisterstwo



ANTONI WROTNOWSKI.
Mecenas.

i umysłową penurję; to, w czasach dawniejszych, o których mowa, uważało się za rodzaj wykroczenia przeciw powadze palestry, jeśli adwokat zajmował się literaturą, i, co gorsza, jeśli drukował jaką rozprawkę w oddzielnem wydaniu. Nazywano takiego niedołęgę wprost „literatem“, a jeśli nie znajdowano argumentu dość silnego na zgębienie takiego przeciwnika, to się

napomykało sądowi, że „może to w książce drukowanej nieźle wygląda, ale „do kratki“ zupełnie nie pasuje...”

Mecenas Wrotnowski używał wielkiej wziętości w kołach arystokracji krajowej, a posiadając języki obce, miał liczną klientelę w domach handlowych zagranicznych.

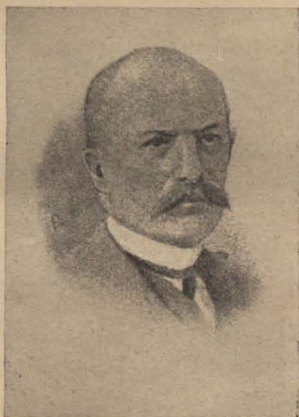


XVIII.

Pan Wojtuś. — Kocio Bożewski. — Kokeli. — Thieme i Holtz —
Helcel. — Łubieński.

Kiedyśmy już zawadzili o prawników, którzy hołdowali innym boginiom, nie porzucając Temidy, wspomnieć tu należy ś. p. Wojciecha, vulgo Wojtusia Bronikowskiego, adwokata, posiadacza ongi jednej z piękniejszych galerji obrazów i gorliwego zwolennika piękniejszej połowy „personelu“ sceny warszawskiej. Zaczny „Wojtuś“ był duszą wszystkich zebrań towarzyskich, miłym bardzo gawędziarzem, i z tego tytułu miał wiele bezinteresownych między płcią piękną adoratorek.

Lubiło się wprowadzać sprawę z Wojtusiem, bo nikomu nie mącił wody, nie poruszał zółci, nie szyskanował, nie wzywał pomsty sprawiedliwości, lecz



WOJCIECH BRONIKOWSKI.
Mecenas.

każdą sprawę oddawał pod „obywatelski“ sąd sędziów trybunału, i ze stanowiska zaściankowej obywatelskości traktował stosunki panów Piotrów i Pawłów, choć tym ostatnim częstokroć ani się marzyło w taki sposób kończyć rozpoczęte sądowe waśni. Zaczny, łatwo ulegający wpływom i prośbom, częstokroć w trudnem z tego powodu znajdował się położeniu. Raz, klient jego, dostawca maszyn rolniczych, polecił mu pozwać



KONSTANTY BOŻEWSKI.
Mecenas.

diedzica i dzierżawcę pewnych dóbr o zapłatę należności za wziętą przez nich na kredyt młockarnię. — Pan Wojciech zapozwał obu, lecz trybunał wyrokiem swym tylko jednego z pozwanych, a mianowicie: dziedzica, skazał na zapłatę; dzierżawcę zaś, słusznie, czy nie słusznie, od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił. Po wyroku zjawia się dzierżawca u Wojtusia i prosi, aby mu, jako „nieszczęśliwemu dzierżawcy“ dać pokój i trzymać

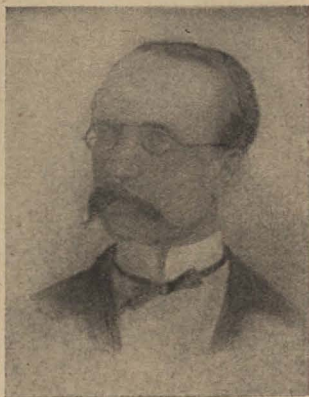
się tylko „zamożnego dziedzica“. Pan Wojtuś w dobroci swej zgodził się na to uwolnienie i dopuścił, w tym jedynie punkcie, prawomocności wyroku. Tymczasem dziedzic zaapelował i dowiódł w wyższej instancji, iż to właśnie ów „nieszczęśliwy dzierżawca“ zamówił młockarnię za dziesiątą granicą. Sąd Appellacyjny uwolnił — dziedzica od odpowiedzialności... i tym sposobem pan Wojciech znalazł się nagle — bez przeciwników...

Nie można też zapomnieć i o kochanym Konstantym, vulgo Kociu, Bożewskim, figurce czarnej, malutkiej, z dużym poważnego zakroju nosem. Nieoceniony to był kolega i towarzysz. Jako stary kawaler pędził całe życie wiosniane chwile, a adwokaturę uważał jedynie jako potrzebny dla konkokecji żołądka środek higieniczny. Dowcipnemu panu Edwardowi Leo nastęrczał niski wzrost Kocia sposobność do wielu ciętych, lecz przyjacielskich przymówek. Pewnego razu zadał np. pan Edward kolegom pytanie: kto nieszczęśliwszy z powodu swego niskiego wzrostu: czy Dominik Zieliński, czy Kocio Bożewski? Gdy zapytani biedzili się długo nad odpowiedzią, pan Edward najpoważniej zagadkę wyjaśnił.

— Nieszczęśliwszym jest Bożewski, gdyż pan Dominik ma jedną nogę krótszą, a Kocio — obie...

Nie zapalał się też pan Konstanty do spraw, chętnie je „spuszczał z wokandy“ jeśli się nie czuł usposobionym do ich „wprowadzenia“. Tak czuwając nad drogocennem swem zdrowiem, ani się spostrzegł, jak go pewnego dnia powołano do sprawy przed Sąd ostateczny, z którego się już nie wraca...

Do kategorii pilnych, czujnych i rozmiłowanych w kratkowej praktyce jurystów, należał mecenas Jó-



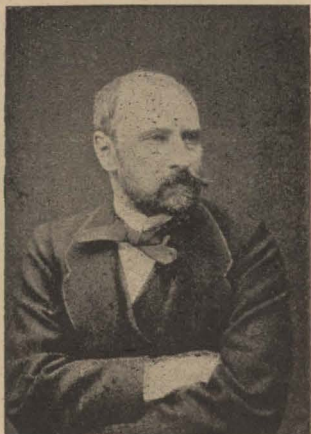
JÓZEF KOKELI.
Mecenas.

zef Kokeli. Tonem jednostajnym, gniewliwym, przez nos puszczanym, wygłaszał pan Józef swoje obrony, którym pod względem gruntowności i dosadności nie zarzucić nie było można.

Jednakiej miary i wartości byli poważni obrońcy-mecenas: Thieme i Ludwik Holtz, wygłaszający głosem niepodniesionym, bardzo zjadliwe dla przeciwnika zarzuty. Fachowa znajomość przedmiotu łączyła

się w obronie Karola Thieme z gruntownem znawstwem markanów handlowych.

Był on, między innemi syndykiem massy upadłości Salviana Jakubowskiego. Upadłość ta ciągnęła się przez kilka lat dziesiątków lecz nie znużyła bynajmniej gorliwego syndyka, który energją swoją umiał wszakże wydobyć dla pokrzywdzonych przez zbiegłego bankiera wierzycieli, sporo grosiwa.



KAROL THIEME.

Mecenas.

Ciekawy okaz niespożytej energii i długowieczności przedstawiał już za czasów moich mecenas Wojciech Helcel, staruszek wysoki, ponury, o starannie przyklepionej czarnej peruczce i troskliwie wygolonej fizjognomii. Ów trybunalski Chevreuil liczył sobie kilkadziesiąt lat z okładem, a mimo to, zawsze żołniersko sztywny, czarno od stóp do głów ubrany, nigdy zestarzeć się nie chciał. Z zegarkową punktualnością dążył na otwar-

cie posiedzeń sądowych i wychodził z nich ostatni. Skromny, bez najmniejszych pretensji, doczekał się jubileuszu półwiekowego swego zawodu, lecz mimo nalegań kolegów, wymówił się, jak wiadomo, od przyjęcia specjalnej jubileuszowej bibki.

Błękitna krew miała w palestrze przedstawiciela w sympatycznej postaci Tomasza Wentwortha hr. Łubieńskiego. Z manierami iście arystokratycznymi w ruchach i mowie szybkiej, sfrancuziałej, poprzetykanej „grasseyowanemi“ zgłoskami, łączył hrabia Tomasz zalety wyszukiwanej towarzyskości przed kratką, nieraz nawet ku niezbyt wielkiemu zbudowaniu strony interesowanej. W potoku słów szybkich, wymawianych zaciśniętymi ustami, było bardzo wiele kurtuazji względem przeciwnika, lecz bardzo mało materiału faktycznego i prawnego. Kto na taki system obrony się nie godził, mógł cierpliwie oczekiwać repliki antagonisty, gdyż z niej dopiero dowiadywał się, o co właściwie strony się swarzą...



TOMASZ WENTWORTH
hr. ŁUBIEŃSKI.
Mecenas.



XIX.

Okolski. — Głębocki. — Metafizyka i fizjologia w prawie. —
Tomaszewski.

Wykładem profesorskim, pedagogicznym, zalecały się obrony prof. Okolskiego. Sympatyczny ów obrońca uważał każdą sprawę, jako materiał do dysertacji naukowej. Zapominał często, że ma przed sobą sędziów, lecz zdawało mu się, że to audytorjum uniwersyteckie oczekuje komentarza do artykułu wątpliwego. W obronie mecenasa Okolskiego niknęły strony, z całym aparatem interesów osobistych, namiętnostek, chciwości, podejść i kruczków prawnych, lecz wynurzał się z niej *Primus*, który pewnemu *Secundusowi* zawierzył skrypt poręczony przez *Tertiusa*, na co *Quartus* nie zgadzając się, przypożywał *Quintusa* do akcji rewindykacyjnej przeciw *Sextusowi*,



Prof.
ANTONI OKOLSKI.
Mecenas.

a ten znowu drogą rekonwencyjną domagał się od *Septimusa* waluty wypłaconej *Primusowi*...

Urodzony w roku 1838 we wsi Małachowie, po ukończeniu szkół w Płocku, udał się na uniwersytet do Moskwy na fakultet prawny, z kąd następnie, ażeby słuchać wykładów prawa polskiego, przeniósł się do Petersburga.

Po ukończeniu uniwersytetu, jako młodzieniec-obdarzony wybitnymi zdolnościami i duchem pełnym zapалу, nie chciał zamknąć swej pracy w zacieśnionych ramach tak zwanego praktycznego zawodu. Pragnął światła dla siebie, pragnął go dla swoich współbraci i żeby rozszerzyć zakres wiadomości, udał się zagranicę. Tam, w Paryżu, Londynie, a w końcu w Jenie, kształcił się lat kilka, a następnie że stopniem doktora praw powrócił do swoich.

W b. Szkole Głównej, po złożeniu rozprawy „o urzędzie prokuratora w procedurze karnej“, ś. p. Okolski rozpoczął swój zawód profesorski.

Wykładał najróżd procedurę karną, a następnie prawo państwowe i administracyjne.

W umiejętnej i starannej formie prowadzone jego wykłady odznaczały się szczególną zwięzłością i prawdziwie naukowym krytycyzmem. Wzbogacały umysły słuchaczy, którzy od pierwszej chwili cenili w młodym profesorze światłego na drodze wiedzy przewodnika.

Po zamianie b. Szkoły Głównej na uniwersytet



KLEMENS GŁĘBOCKI.
Mecenas.

ś. p. Okolski został w nim profesorem prawa administracyjnego a następnie, po wyjściu profesora Holveńskiego, przez rok ostatni wykładał dodatkowo prawo cywilne.

W roku 1894 miał sobie przyznaną godność profesora zasłużonego.

W dziełach, jakie pozostawił, a które wzbogaciły naszą literaturę nauk społecznych, złożył dowody głębokiej wiedzy, erudycji i wielkiej sumienności.



JÓZEF KALASANTY
JUNOSZA - SZANIAWSKI
Mecenas.

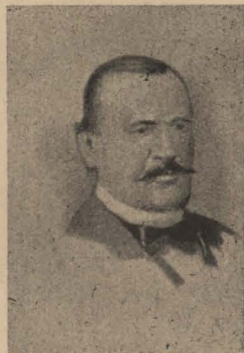
Przewodnią myślą ś. p. Antoniego było zawsze—dać to społeczeństwu, co mu było najwięcej potrzebnem. Nie znał pod tym względem przeszkód, ani trudności. Dowodem tego jest „Wykład prawa administracyjnego“ w trzech tomach, „Zasady prawa cywilnego“ i wielu innych prac, np.: „*wpływie Tomasza Carlyle’a na społeczeństwo angielskie*“. Zachęcając do pracy, z zapalem wołał za Carlyle’m:

„Praca szeroka, jak ziemia, szczytem swoim
„nieba dosięga. Jest ona potem czoła mózgu
„i serca. W niej się zawierają obliczenia Ke-
„plera, rozmyślenia Newtona, wszystkie nauki,
„wszystkie wypowiedziane epopeje, dokonane
„heroizmy męczeństwa.... Kto jesteś, co się
„skarżysz na twoje mozolne życie? Niebo jest
„dobre jak szlachetna matka, jak spartańska
„matka. Daje ci, swemu synowi, tarczę, mó-

„wiąc: z nią albo na niej! I ty także winienesz
„powrócić do swego odległego domu zaszczyt-
„nie, jeżeli w walce ocalisz swą tarczę.... Nie
„skarż się; prawdziwi spartanie nigdy się nie
„skarżyli“....

W roku 1894 ś. p. Okolski został jednomyślnie zaproszonym na prezesa komitetu kasy Mianowskiego. Obowiązki te pełnił z właściwą sobie gorliwością i prawdziwym dla tej instytucji pożytkiem († 1897).

Wykładem suchym i kościstym odznaczały się i obrony mecenasa Głębockiego, Bez cienia namiętności szeregowały się w tych obronach argumenta bardzo zasadne i logiczne, ale zbywało im na kolorycie, który jest duszą wymowy. Blade i bezbarwne, dążyły bez pośpiechu do głównego celu — uzasadnienia art. 130 kod. Post. Sądowego, i na tem się ich jedyna misja kończyła.



JULJAN TOMASZEWSKI.
Mecenas.

Dekterynerska zaciętość natomiast przenikała obrony mecenasa Aleksandra Majewskiego, chudego i kościstego palestranta. Zasłynął on obroną w niezmiernie drażliwej kwestyi małżeńskiej, w trakcie której, z całym aparatem fizjologicznej wiedzy, dowodził możliwości wytwarzania się rodu ludzkiego sposobem sztucznym... Brakowało tylko demonstracjom tego rodzaju pieca stosowanego przy sztucznem wylęganiu kurcząt, a nauka

zdobyłaby niekosztowną prawdę, na której objawienie napróżno czeka...

Do kategorii obrońców neutralnych, nie mącących nikomu wody uporczywem trzymaniem się własnego poglądu, należeli mecenasi: Szaniawski i Tomaszewski.



XX.

Parter sprawiedliwości. — Proces czytany. — Ważność świadków. Kara podzwyczajna nadzwyczajnie bolesna. — Śliczny paragraf czterysta dziewiąty. — Jędrzejewicz. — Zegrzda i Wedeman.

Pozostawmy na chwilę obrońców, dowodzących na pierwszym piętrze trybunalskiego gmachu czystości intencji wszystkich klientów, którzy swe kieszenie ich opiece powierzyli, i zejźmy dla odpoczynku na parter tego gmachu, gdzie, w obszernej sali, pod wydziałem I cywilnym sytuowanej, mieściła się sprawiedliwość karząca. W sprawach ważniejszych prezydował tam ś. p. Alfons Bielski, postać charakterystyczna, o długich, siwych, z angielska przeczesanych faworytach, rumianem obliczu i przenikliwych, Javertowskich oczach, które podczas indagacji w sprawach politycznych w cytadeli prowadzonych w latach 1861—1863 niemałego strachu badanych nabawiały...

Komplet składał się z ludzi sędziwych, zmęczonych, osłuchanych z nieskończonym szeregiem nieprawości „podsądnych,” z których każdy przybywał przed

kratkę, aby dowieść, jak na dłoni, że nie było nadeń na świecie człowieka uczciwszego, że mu tylko przypadkowo, z pośpiechu, albo przez omyłkę, sprawę karną uformowano. Procedura tutaj, za moich czasów, odbywała się na podstawie zadawnionej ordynacji pruskiej. Referent czytał relacją, obrońca czytał obronę, prokurator czytał wnioski, sąd czytał wyrok. Pomimo że w takich warunkach obrona była prostą for-



JAN JĘDRZEJEWICZ.
Adwokat.

malnością i mało nastęczała pola do samodzielnej akcji, znajdowali się i tutaj specjaliści, którym rozgłos tłumów przyklepił przydomek świętych kryminalistów. Zjawiali się oni u kratki bez żadnego przygotowania, bo już ich obrona wystylizowana na arkuszu papieru, doszyta była do akt sądowych i obowiązkiem ich było odczytać to, co u siebie przy biurku napisali. Ideałem takiego obrońcy karnego było zdobycie dwóch tylko świad-

ków, którzy byli *omni exceptione majores*. Sprawiedliwość karna ważyła za czasów ordynacji pruskiej czyny ludzkie na czulej szalce dowodu ze świadków. Jeśli ich było dwóch — zatrzymywała się wskazówka szalek na punkcie zero, jeśli był tylko jeden „wiarogodny świadek“ — przechylała się na stronę skazania.

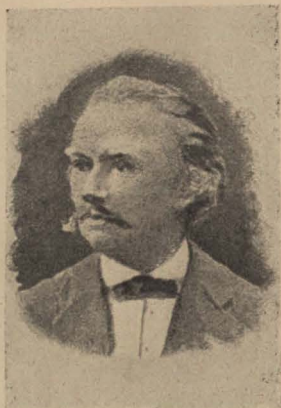
Gdy ktoś miał za sobą, przypuśćmy, półtora

świadka, albo dwóch świadków mocno podejrzanym, rozciągano winowajcę i wymierzano mu karę podzwyczajną, (która czasami nadzwyczajnie bolała...), a po jej zniesieniu, uwalniano „dla braku dowodów“ z pruskiego paragrafu 409...

O! niezapomniany paragrafie 409! Iluż to było obwinionych, którzy, jako najwyższą łaskę upatrywali dla siebie, gdy do nich sąd ów „śliczny paragraf“ stosował! Kto miał za sobą ów paragraf, uważał się za szczęśliwego i nie dopominał się już nagrody Monthyona...

O zdobycie tego tylko paragrafu walczyli specjaliści karni, a na ich czele, po ustąpieniu z pola działalności głośnego ongi Karola Winiewicza, zacny staruszek, imię pan adwokat Jan Jędrzejewicz (ojciec zmarłego astronoma płońskiego). Była to zacność uosobiona. Skromny, powolny, z wielkimi, czerwono obramowanymi oczyma, które nie-

ustannie czerwoną fularową wycierał chustką, o wymowie nieco zamazanej, stawał Jędrzejewicz przed kratką i odczytywał pracowicie wyrobioną obronę, opartą na wiarogodności „dwóch, wyższych nad zarzuty, świadków“. Na pole ustnych komentarzy nie puszczał się zacny staruszek, bo uważał je za zbyteczne. Czasami tylko w ustępach ważniejszych, wycierał z łoskotem swoją czerwoną, fularową chustką



LUDWIK ZEGRZDA.
Adwokat.

nos, aby dać sędziom możność zapamiętania faktu stanowczego, od którego powtórzenia, po skończonej procedurze puryfikacji nosa, rozpoczynał dalsze wywody.

Miał imci pan Jędrzejewicz rywala w osobie adwokata Zegrzdy. Pan Ludwik widocznie pochodził z rodziny ongi bardzo energicznej, jak to już samo nazwisko wskazuje. Wymówić z całą stanowczością i odpowiednim akcentem wyraz Zegrzda, znaczyło



TEODOR WEDEMAN.
Mecenas.

już tem samem spełnić akt niepospolitego animuszu. Ale już za moich czasów p. Ludwik Zegrzda nie był w zgodzie ze swoim nazwiskiem. Był to sobie cichy i zaspany obrońca, o siwych i rzadkich blond włosach, przemawiający zwolna, ze wzrokiem skierowanym w stronę mankietów, które stanowiły jego właściwość. I dla niego „śliczny paragraf 409“ stanowił ideał niedościgniony, ale nim do stosowania tego paragrafu

przystępował, puszczał się na komentarz ustny, starał się przejednać komplet sądzący na korzyść oskarżonego, oczyścić zhańbione jego imię szczotką przypuszczeń i szuwaksem argumentów, z praktyki życiowej czerpanych. Niktby też na chwilę przypuścić nie mógł, aby ów cichy, potulny, *de nomine* tylko energiczny pan Zegrzda, zdobył się na tak energiczny i desperacki koniec, jaki swemu kłopotliwemu zgotował życiu!

Pamięci zacnego Zegrzdy poświęciłem w rubryce „Z notatnika“ (*Kurj. Warsz. № 234 z r. 1918*) artykuł, który tutaj uważam za właściwe powtórzyć:

*

*

*

Palestra staropolska nie pozostawiła po sobie opinii pochlebnej. Scharakteryzował ją ongi dosadnymi rysami satyryk Opaliński. Zbliżała się ona mniej więcej do typu „gmatwaczy-kręcicieli“ (*Azzeccagarbugli*), utrwalonego mistrzowskiem piórem Manzoni w głośnym romansie. Nie powołana do występów publicznych na sejmach, kierowała niepospolite w wynajdywania środków przewlekania spraw zdolności w stronę interesów czysto prywatnych. Palestrantów-obywateli, w podniosłem tego pojęcia znaczeniu, między liczną rzeszą, aż nazbyt wymownych „obrońców wdów i sierot“, dzieje obyczajowe dawnej Rzplitej nie wykazują. Dopiero za czasów Stanisława Augusta przed kratkami sądu sejmowego, w sprawie o zamach listopadowy na osobę króla, zjawiają się — bodaj czy nie po raz pierwszy w dziejach adwokatury polskiej — dostojne postacie obrońców w osobach: Cyprjana Sowińskiego, Wiktoryna Wiszowatego i Michała Węgrzeckiego, których wymowne głosy były w zgodzie z obywatelskimi ich uczuciami i przekonaniami.

Epoka sejmu czteroletniego i związane z nią pierwszorzędnej doniosłości dla kraju zadania wytworzyły typ palestranta-patrjoty w osobie Franciszka Barssa, typ, który posłużył w czasach późniejszych, w dobie usiłowań do odrodzenia politycznego. Polski, jako wzór dla licznych zastępu czcigodnych przedsta-

wicieli palestry wyższej, zwłaszcza w epoce jej rozkwitu za Królestwa Kongresowego.

Będzie to chlubną kartą w dziejach adwokatury polskiej, iż, w czasach najsmutniejszych zaniku życia publicznego w epoce Mikołajewskiej i w czasach późniejszych, jedynie przed kratkami sądów wyższych w Królestwie rozbrzmiewały głosy, poruszające nierzadko, w sprawach nawet natury prywatnej, kwestje zasadnicze z dziedziny stosunków ekonomiczno-politycznych krajowych. Trybuna sądowa i sesje Towarzystwa rolniczego były podówczas jedynym miejscem, jedynym przybytkiem, gdzie się rozlegały echa skarg nad rozpaczliwem położeniem społeczeństwa, pozbawionego organu nawołującego do reformy stosunków wewnętrznych.

W gronie palestry polskiej, przeważnie warszawskiej, zjawiają się w czasach przedpowstaniowych i w roku 1863 mężowie nie tylko wymownego słowa, lecz i *czynów* obywatelskich. Epigonowie z czasów listopadowych, w rodzaju mecenasa Majewskiego, byłego współredaktora rewolucyjnego *Kurjera Polskiego*, tworzą zastęp mężów energicznych, pełnych poświęcenia dla sprawy ogólnej. Lista ofiar ruchu styczniowego zawiera szereg nazwisk palestrantów, historycznej doniosłości. Otwierają ją znakomici mówcy i patryjoci: Piotr Kobyłański i Witold Moszyński, skazani przez najazd na śmierć i w drodze ułaskawienia zesłani do katorgi, gdzie zmarli męczeńsko. Towarzysze ich doli powrócili po latach wygnania do kraju. Dzięki komisji sprawiedliwości objęli ponownie opuszczone czasowo stanowiska. Mecenas Mieczysław Wyrzykowski powrócił kaleką, po wytrzymaniu kilku-

set pałek. Powrócił Ksawery Chraszczewski, znany ongi jako niezwykły siłacz. Powrócił z Syberji, po wysłuchaniu pod rusztowaniem wyroku śmierci, Feliks Chruszczakowski. Wrócili z wygnania: Stanisław Zalewski, Adolf Peplowski i Henryk Krajewski, nie licząc tych, którzy—jak między innymi Emil Marx—w cytadeli warszawskiej i w Modlinie wieloletnie odcierpieli więzienie.

* * *

Przywróceniu do opuszczonych wskutek wygnania z kraju stanowisk obrończych, rozpoczęli owi, w czasach powstania styczniowego działacze polityczni, na nowo żmudną, ale owocną pracę kratkową w sądach—podówczas jeszcze polskich. Zaskoczyła ich, arbitralnie przez nacjonalistów rosyjskich wprowadzona do Królestwa tak zwana reforma sądowa, która gruzach dawnej, francuskiej, ale do warunków miejscowych z biegiem czasu przystosowanej organizacji, wniosła obcą duchem i językiem procedurę, pod kierunkiem sprowadzonych z głębi Rosji, ani kraju, ani jego języka, ani jego praw, nie znających przybyszów. Smutnej konieczności poddania się nowym warunkom obrończego bytu ulegli, gdyż uleść musieli, wszyscy dotychczasowi członkowie adwokatury polskiej.

Ci, którzy jeszcze 12 lipca 1876 r. przemawiali od kratki do sędziów polskich językiem ojczystym już nazajutrz, 13 lipca, przybrani we fraki salonowe, ze srebrnym znaczkiem „zakona“ na wyłogach, rozpoczęli wywody obrończe w języku obcym, po większej części dla zainteresowanych słuchaczy niedostępnym.

Zasadnicza taka zmiana, dla młodszego pokolenia prawników, z racji zrusifikowanego przedtem systemu szkolnego, mniej szkopułów językowych nastęrczająca, stanowiła dla wielu starszych palestrantów przeszkodę, prawie że do zwalczenia niemożliwą. Ujrzeni się nagle wytraconymi z orbity dotychczasowej swej działalności, pozbawionymi możności pracowania na chleb powszedni.

Dla niektórych wszakże, dokuczliwszym aniżeli zmiana dotychczasowych warunków materialnych, stał się obraz przekształconego na rosyjską modłę sądownictwa rodzimego, widok owych sal, na pozór okazałych, w których rozbrzmiewała mowa obca, uszom polskim tak niesympatyczna i widok zastępu ludzi obcych, którym przemoc nadała władzę wymiaru sprawiedliwości rossyjskiej w kraju polskim.

Ofiarą takich uczuć stał się w gronie palestry starszej człowiek zacny, przez kolegów kochany i szanowany, adwokat przy Sądzie Appellacyjnym Królestwa, — Ludwik Zegrzda.

* * *

17 października 1877 r., znaleziono przed gmachem pałacu Rzeczypospolitej, nazwanym „izbą sądową“, przed drzwiami wejściowymi, leżącego na bruku bez życia, z poderżniętem gardłem starca...

Cenzura ówczesna nie zezwoliła pismom miejscowym na umieszczenie nietylko wzmianki o tem samobójstwie, lecz nawet ogłoszenia o dniu pogrzebu

ofiary. Wiedziano w gronie palestry miejscowej od dawna, że nieszczęśliwy sumobójca nie taił się przed kolegami z zamiarem odebrania sobie życia, które, dla niego, pozbawionego środków utrzymania i nękanego widokiem zbudzonego, a umiłowanego pracą lat kilkudziesięciu sądownictwa polskiego, stało się ciężarem nie do zniesienia.

W rodzinie Zegrzdów, palestrantów od dziad pradziada, charaktery zdecydowane, desperackie, niegodzące się z przeciwnościami losu, rzadkością nie były...

W dziejach powstania styczniowego wybitną odegrał rolę brat stryjeczny Ludwika, patron trybunału plockiego i obrońca prokuratorji, Wojciech Zegrzda. W roku 1862 pełnił on w organizacji przedpowstańczej obowiązki wojewody plockiego. 22 stycznia 1863 r., w noc wybuchu powstania, gdy w różnych punktach kraju, po miastach zwłaszcza, rozpoczęły się jednocześnie działania przeciw oddziałom wojska rosyjskiego, generał Mangden zauważywszy w Płocku nad ranem, dnia 23 stycznia niezwykle na ulicach ruch, wydał rozkaz, aby w domach już o 5-ej godzinie wieczorem, wszystkie światła były pogaszone, sklepy pozamykane, a na ulicach tylko z latarką w rękę się pokazywano. Wojsko rozstawiono po placach.

Niepomny na grożące niebezpieczeństwo, na dane z dzwonnicy kościoła katedralnego hasło, zebrał się na dziedzińcu trybunału tłum liczny, zwiększający się stopniowo pod przewodem adwokata Zegrzdy, który, wśród ciemności, bocznemi ulicami, nawołując mieszkańców okrzykiem: *Do broni!* rozpoczął strzelaninę do oddziałów rosyjskich.

Zamach nie udał się... Gmach trybunalski otoczyło wojsko Mengdena i zebranych na dziedzińcu spiskowców wzięło w niewolę. Drobną jedynie garstką zdołała się ocalić cofnięciem się w ulice boczne. Wobec udaremnionego zamachu, Wojciech Zegrzda wystrzałem z pistoletu w skroń, odebrał sobie życie...

* * *

Taką to tradycję rodzinną zachował cichy, skromny, zamknięty w sobie brat stryjeczny powstańca płockiego, Ludwik Zegrzda,

Pamiętamy dobrze sympatyczne jego rysy. Sumienny w swoich wywodach przed kratką, uprzejmy w stosunkach z kolegami, cieszył się wśród sędziów zasłużonem uznaniem. Komisja sprawiedliwości mianowała go, z pominięciem pierwszego stopnia w hierarchji obrońców — patronatu — adwokatem przy sądzie appellacyjnym, komitet właścicieli listów zastawnych Tow. kredytowego ziemskiego, pod przewodem Kazimierza Wł. Wójcickiego, powołał go do swego grona.

Spełniając z oddaniem się zupełnem powołanie swoje, pędził Ludwik Zegrzda cichy, odosobniony żywot. Ożywiał się jedynie wśród rozmów z kolegami, gdy potracano o sprawy krajowe i gdy z obawą oczekiwano zapowiedzianego w sądownictwie polskiem przewrotu. Z chwilą, gdy katastrofa nastąpiła i nastął tak zwany nowy porządek, cofnął się Zegrzda od udziału w zrusyfikowanej adwokaturze i desperackim czynem przypieczętował protest przeciw spełnionemu na umiłowanej instytucji gwałtowi.

* * *

Ciało jego, w asystencji nielicznej garstki kolegów, złożono na cmentarzu powązkowskim w 58 kwaterze, w pobliżu grobu „pięciu poległych“.

Gdy kwaterę ową zajął następnie w większej części wspaniały grobowiec, obecnie tam istniejący, mogiłę, gdzie spoczęła skromna trumna Zegrzdy, zasypano... Dziś już niema po niej śladu nawet. Ale pozostała pamięć po człowieku zacnym, który krwawą ofiarą upamiętnił chwilę, czasowego, na szczęście, zniesienia sądownictwa polskiego.

Cześć pamięci zacnego Ludwika Zegrzdy!

* * *

Jeszcze rzadcy specjaliści „od paragrafu 409“ byli w pełni swej działalności, gdy nagle na torze praktyki kryminalnej pojawił się nowy zapaśnik, w osobie mec. Teodora Wedemana. Zdolność to była niepospolita, ale spaczona nieokiełznanym temperamentem. Wymowny, jak Demostenes, o postawie okazałej, szermujący doborem słów wyszukanych, a przystrojonych erudycją z paryzkich kursów zaczerpniętą—mógłby Wedeman dostąpić z czasem istotnej wziętości i zdobyć wawrzyn pierwszorzędnego mówcy. Nie stało się to jednak, z winy dziwnego lekceważenia i zawodu adwokackiego i talentu oratorskiego. Zeszedł też prędko z widowni działalności szerszej, i zaprzepaścił się w jakiejś prowincjonalnej mieścinie, z kąd już nie powrócił.



XXI.

Imć pan Fortunat. — Polowanie na koszta z naganką.

Czas jednak nam powrócić na pierwsze piętro, aby dokończyć przeglądu galerji obrońców, którym, i z wieku i z urzędu pierwszeństwo się należało, by przejść następnie do galerji niższego autoramentu.



FORTUNAT BIEGAŃSKI.
Mecenas.

Nim tę ostatnią odbędziemy wędrowkę, musimy się zatrzymać chwilę jeszcze przy osobie niezapomnianego imci pana Fortunata Biegańskiego, który za czasów moich stanowił istny postrach na wróble, albo raczej na ruble gromadzone w kieszeniach adwokackich. Stara to jak świat prawda,

że żadnemu zawodowi fachowemu nie zazdroszczą tak „honorarjów,” ile adwokatom. Dla ludzi, nie wni-

kających głębiej w przyczynę wziętości adwokackiego stanu, z powodu łatwości, z jaką, przy pewnej zdolności, a przede wszystkim sumienności w pełnieniu obowiązków, adwokaci zdobywają sobie chleb codzienny, względnie obfite rezultaty prac tych ostatnich stanowią przedmiot nieusprawiedliwionej częstokroć zawiści.

Znaliśmy wielu takich, którzy porównywając swoją pracę zmuǳną i uciążliwą, z pracą adwokacką, polegającą, ich zdaniem, tylko na „gadaniu przed kratką,” przyszli do przekonania, że art. 130 kodeksu postępowania francuzkiego (stanowiący „o kosztach,”) istotnie jest kosztownym i niesprawiedliwym... ale takie przekonanie znajdowało ujście w przymówkach czynionych „gębaczom“ ze strony niektórych upośledzonych w hierarchii urzędniczej osobników — rzecz to naturalna i czysto ludzka... Ale, że taki pogląd mógł się uformować w łonie jednego z przedstawicieli palestry obrończej, to stanowiło oryginalność, a do takiej właśnie oryginalności rościł sobie pretensję sławetny pan Fortunat. Specjalnością jego były — skargi na honorarya obrończe, subhastacyjne zwłaszcza. Pilnował się on czujnie przy terminach „ostatecznego przysądzenia;“ a gdy zauważył, że sąd w obliczeniu kosztów za sprzedaż realności „przesolił nieco“ — niezwłocznie formował skargę i popierał ją przez instancje, aż do zupełnego zadowolenia swej ekonomicznej teorii.

Specjalność ta jednała panu Fortunatowi liczne koło klientów, lecz rzucała prawdziwe *odium* na łysego, namiętnego i opasłego staruszka, który nie sobie z tego ogólnego despektu nie robiąc — prowa-

dził otwartą walkę „z kapitałem“ w imię wrzekomego ogólnego dobra.

Nie zawsze jednak taka podjazdowa wojna prowadziła do celu. Często też niejeden jowialny adwokat w tak zwanym „w piątym“ wydziale trybunału, (u Tchoepego) mieszczącym się obok ogrodu Krasińskich, dawał folgę inwektywom przeciw panu Fortunatowi miotanym, i radość swoją z powodu doznanej przez tego ostatniego porażki topił w kieliszku „białego“, a czasem dla odmiany — i „czerwonego...“

Z dość pokaźnego szeregu takich trjumfalnych uroczystości i z radosnego onych święcenia można sobie było statystyczną utworzyć opinią, że zabiegi imci pana Biegańskiego, nie zawsze zbiegały się w punkcie powodzenia...



XXII.

Wojciech Trzetrzewiński. — Kazimierz Ebert. — Józef Lewandowski. — Juliusz Niemirycz. — Józef Brzeziński. — Szymon Rodzyn. — Michał Szymanowski. — Juliusz Walewski. — Alexander Jałowiecki. — Aleksander Kraushar.

Do uzupełnienia galerji obrazów starszego i młodszego autoramentu pozostaje mi jeszcze wspomnieć w ogólnych choćby zarysach o kilku mecenasach, którzy, bądź w okresie ostatnich lat funkcjonowania sądownictwa polskiego kończyli swoją karierę obrończą, bądź też rozpoczynali ją od niedawna i z powodzeniem odbywali.

Schodził już z pola działalności wielce zasłużony, cieszący się ogólnem w społeczeństwie poważaniem, zacny Wojciech Trzetrzewiński, ongi członek delegacji obywatelskiej w roku 1861; mąż pracy, szerokich aspiracji do działalności, nie tylko w zakresie powołania obrończego. Powoływany stale do



WOJCIECH TRZETRZEWIŃSKI.
Mecenas.

funkeji obywatelskich, gorliwie sprawami społecznemi się zajmował i chlubną po sobie pozostawił pamięć.



KAZIMIERZ EBERT.
Mecenas.

Skromniejszych uzdolnień i cichych zasług jako obrońca był Kazimierz Ebert, osobistość nie wyrrywająca się nigdy na pole szerszych aspiracji. Przy kratce bardzo poprawny, sumienny i drobiazgowy, poważanym był jako prawnik, wyłącznie swemu zawodowi oddany.

Chlubnie na polu nauki prawa zaznaczył swoją działalność Józef Lewandowski, wychowawiec uniwersytetów francuzkich. Gruntowną znajomością prawa zjednał sobie katedrę w Szkole Głównej, gdzie wykładał kodeks cywilny, jednocześnie zaś prowadził praktykę obrończą.

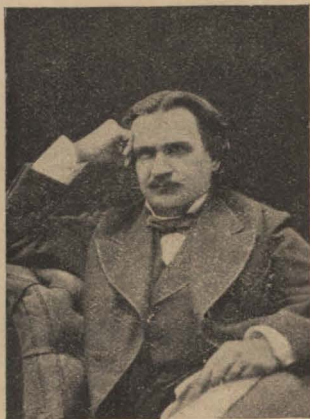
Mniej jako prawnik, a więcej jako myśliciel, znanym był Juljusz Niemirycz. Pociągała go nauka filozofji i jej poświęcał wolniejsze od zajęć zawodowych chwile. Pozostawił po sobie parę dzieł trwalszej wartości...

Jako zdolność pierwszorzędną cenionym był Józef Brzeziński, magister prawa i administracji Szkoły Głównej. Głęboka wiedza prawnicza, skojarzona z pracowitością i wyjątkowem kraso-



Prof.
JÓZEF LEWANDOWSKI.
Mecenas.

mówstwem, postawiła młodego Brzezińskiego w pierwszym rzędzie obrońców i zjednała mu liczne koło klientów, którym służył z oddaniem talentem swoim i znajomością rzeczy. Należał Józef Brzeziński do nielicznych już w społeczeństwie naszym znawców łaciny i greki i temi zaletami zasłynął już w czasach istnienia Szkoły Przygotowawczej. Wycofawszy się, z palestry, zajął następnie wybitne stanowisko jako radca prawny w instytucjach publicznych.



JULJUSZ NIEMIRYCZ.
Mecenas.

W czasach naszych powołanym został na stanowisko Sędziego w Sądzie Najwyższym.



JÓZEF BRZEZIŃSKI.
Mecenas.

Równomiernych uzdolnień filologicznych był i kolega jego, uczeń Andrzeja Brzezińskiego, mecenas Szymon Rodzyn. Prawnik doświadczony i wymowny, przyjął, nawet pod formalnym względem, cechy charakterystyczne mistrza swego. Jako obrońca krótkowy, cieszył się wielkim powodzeniem.

Zaletami towarzyskiemi wyróżniał się z pomiędzy wielu Mecenas Michał Szy-



ALEXANDER
JAŁOWIECKI.
Mecenas.

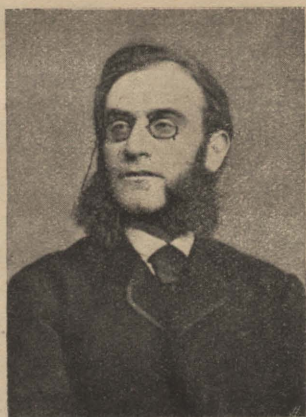
manowski, zawsze mile widziany w gronie kolegów i ceniony jako znawca ekonomji politycznej, której katedrę w Szkole Głównej w ostatnich latach jej istnienia otrzymał.

Jednakimi zaletami koleżeńskimi cechował się Aleksander Jałowiecki, niemniej i znajomością prawa, którą następnie, przeniósłszy się na pole działalności notarialnej umiał zużytkowywać na korzyść swoich klientów.

Rówieśnik jego, Juljusz Colonna Walewski, należał również do mecenasów pracowitych i sumiennych.



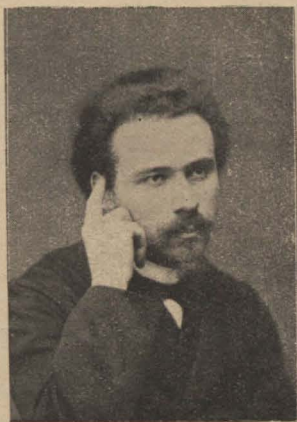
SZYMON RODZYN.
Mecenas.



MICHAŁ SZYMANOWSKI.
Mecenas.



JULJUSZ COLONNA WALEWSKI.
Mecenas.



ALEXANDER KRAUSHAR.
Mecenas.

Wreszcie, dla uzupełnienia galerji obrońców senackich, przedstawiam tu wizerunek—ongi młodego—autora niniejszych wspomnień.



XXIII.

IX i X Departamenty Rządzącego Senatu. Senatorowie. Członkowie Senatu. Naczelny Prokurator. Pomocnicy Naczelnego Prokuratora.

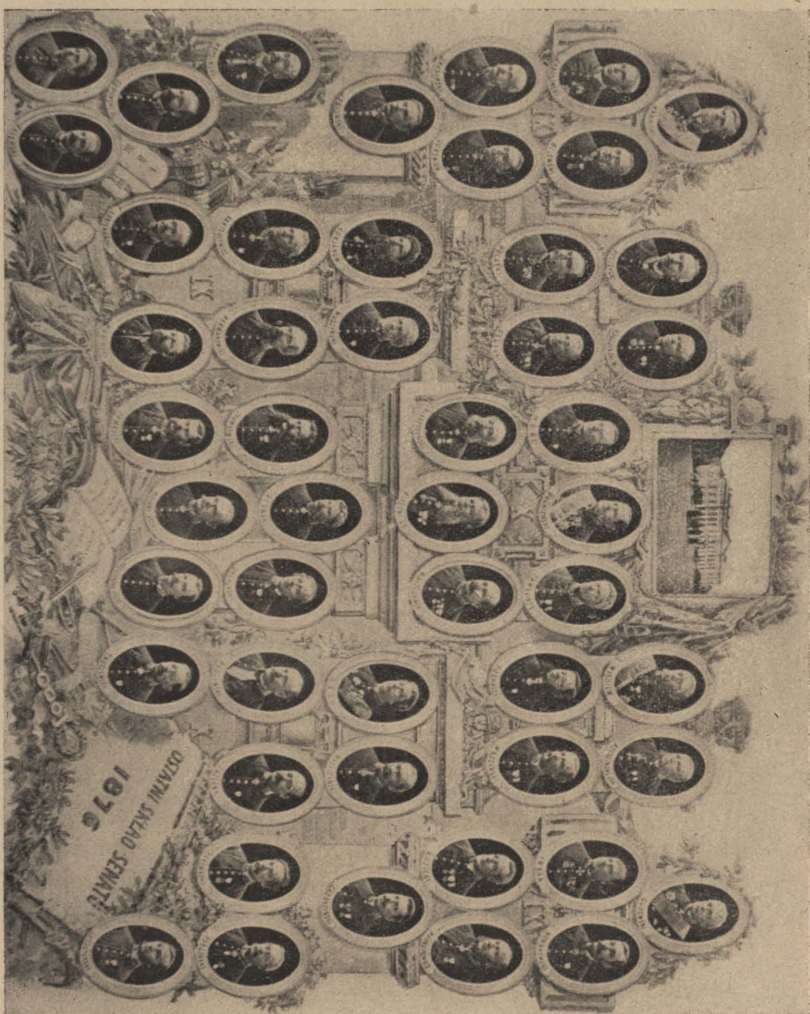
Należyte ocenienie stanowiska i charakterystyki naczelnej instancji sądowej w Królestwie, jaką uosabiały departamenty: cywilny i karny Rządzącego Senatu przed reorganizacją sądową wprowadzoną do nas w roku 1876, wymagałoby obszernego i wyczerpującego obrazu, dla którego w niniejszych luźnych wspomnieniach niema miejsca. Poprzestać należy na bieżącym naszkicowaniu wybitniejszych sylwetek dostojnego grona Senatorów i Członków Senatu, w których dłoni spoczywał nie tylko wymiar sprawiedliwości formalnej—władza kassowania wyroków z powodu błędnego stosowania prawa i formalności prawnych, lecz i merytoryczne sądzenie samych spraw. Już samo zewnętrzne oblicze najpiękniejszego w stolicy gmachu, sięgającego początkiem swoim wieku XVII, o którego mury odbijały się echa wypadków dziejowej doniosłości ściśle z losami ongi samoistnie żyjącego i udziel-

nego Narodu, skojarzonych, budziło w każdym w jego progi wstępującym zadumę i powagę. Widok kompletów sądzących w salach historycznych dawnego pałacu Rzplitej, z widokiem na ogród Krasińskich z jednej strony, i na jeden z piękniejszych placów miejskich, z drugiej, nad wyraz był uroczystym. Ciszę głęboką przerywały jedynie głosy poważnych obrońców, którzy we frakach urzędowych, ze złożonemi guzami i aksamitnym zielonym kołnierzem, odskakiwali od szarej rzeszy obrońców niższych instancji, dopiero — jak nadmieniono — w ostatnich czasach przed rokiem 1876 obowiązkowo we fraki czarne przyodzianych.

Kiedy na lat parę przed reorganizacją Sądową, posiedzenia Senatu przeniesiono do gmachu Kommissji Sprawiedliwości przy ulicy Długiej, nie zmieniły się na zewnątrz powaga i uroczysty nastrój posiedzeń owej magistratury.

Zwiększyła się nawet intensywność wspomnień, do czasowych sal owego gmachu przywiązanych, gdyż sale te, w końcu XVIII wieku, były miejscem posiedzeń Rady Najwyższej Narodowej za czasów Kościuszkowskiego powstania. Tam bywał Naczelnny wódz podczas krótkiego swego w stolicy pobytu. Tam składał raporty Jan Kiliński. Tam gościli Kołłątaj i Barss. Lecz pałac Krasińskich był i pozostał siedliskiem najwyższej władzy sądzącej i, jako taki, odznaczał się zawsze splendorem swego przeznaczenia i doborem najlepszych sił prawoznawczych, zwłaszcza w komplecie prokuratury.

Prezydującymi w Departamentach cywilnych Senatu byli Senatorowie: Jan Karnicki i Longin Gudow-



OSTATNI SENATOROWIE I CZŁONKOWIE SENATU.

ski, pierwszy, głośnego nazwiska zwiastun reform polityczno administracyjnych przed wystąpieniem Wielopolskiego na widownię działania, drugi, surowy i bezwzględny dygnitarz, z silną tendencją do oportunizmu i lojalizmu w dziedzinie polityki. Losy wszakże tak zrzuciły, że jeden z synów owego zimnego i nieugiętego dyplomaty ofiarną śmiercią zginął w Miechowie w początkach powstania. Syn drugi, Aleksander Gudowski, nie odziedziczywszy po ojcu krwi chłodnej, należał do najmiłszych towarzysko ludzi i kolegów i jako Vice-prezes Sądu Okręgowego zjednał sobie ogólną sympatję i żal głęboki gdy go śmierć, zbyt wcześnie, od świata i ludzi, których tak kochał, zabrała.

Wyliczając po krótku wybitniejszych Członków Senatu, na pierwszym miejscu wspomnieć należy Tytusa Polczyckiego b. Prezesa Sądu Appellacyjnego, Michała Rogozińskiego, późniejszego Prezesa Departamentu Izby, męża prawego, gołębiego serca i gorliwego sędziego. Dynastia Rogozińskich miała jeszcze przedstawiciela w osobie Jana Rogozińskiego, Prezesa Prokuratorji, oraz Józefa Rogozińskiego, późniejszego Członka Sądu Okręgowego. Do kompletu Członków Senatu należeli: Ambroży Zaborowski, zdolny następnie obrońca przy Senacie Petersburskim, Tomasz Bilewski, mąż zacny i sumienny, Teofil Polaski, Karol Hube, Broniewski, Chwalibóg (Naczelný Prokurator b. profesor Szkoły Głównej), Władysław, Nowakowski niepospolitej wiedzy prawoznawca, Imbra, Grabowski, Kozicki Roman, Winc, Prokopowicz b. Redaktor Przeglądu Sądowego, Jabłoński, Kleszczyński, Adolf i Alfred Bielscy, Konrad Machczyński, Chobrzyński,

Telesfor Bartoszewicz (pom. Nacz. Prokuratora), Ateński, St. Budzyński (Prof. Szkoły Głównej), Fajlert, nieublagany prześladowca przestępców, rozmiłowany w kolonizowaniu Syberji wychowañcami zakładów karnych, Zarebski, Podgórski, Sobierański, Józef Wośński (nieodżałowany późniejszy Vice-Prezes Sądu Okręgowego Piotrkowskiego), Sew. Lutostański, wybitny i uczony prawoznawca, Jan Zawadzki, późniejszy przewodniczący w wydziale hipotecznym, Sabin Pawłowski, Józef Zalewski, późniejszy Vice-prezes Sądu Siedleckiego, Władysław Szczygielski, Józef Gutman, późniejszy Rejent.

W komplecie Senackim znajdowali się i Rossjanie. Niektórzy z nich, jako gruntowi znawcy prawa francuzkiego, zajęli następnie stanowiska w Senacie kasacyjnym, jak np.: Jurenjew, Łukjanow, Lego.

O wielu z pomiędzy wyliczonych tutaj, z możliwem, a przypadkowem opuszczeniem, osobistości, których nazwiska zasługiwałyby na utrwalenie, możnaby powiedzieć wiele dobrego i... złego. Lecz nie chodzi tu o wymierzenie nagrody i kary. Pokolenie żyjące zachowuje o wielu z pomiędzy ostatnich dostojników magistratury polskiej wspomnienie sympatyczne.

Nie podobna wszakże pominąć jednej osobistości, która i wiedzą swoją gruntowną charakterem czystym, prawym, zasługami na polu wymiaru sprawiedliwości niespożyte przynosiła przez czas długi zasługi i z żalem wszystkich zbyt wczesnie nas opuściła. Tym mężem wyjątkowych zalet był ś. p. Stefan Hermanowicz, pomocnik Naczelnego Prokuratora Senatu.

Umysł jasny, charakter niezłomny, poczucie obo-

wiązku, gorąca miłość kraju, sumienność i bezstronność, oto zalety któremi jaśniał Hermanowicz. Nie był on czezym formalistą, któryby każdy czyn ludzki pragnął podciągnąć pod jakiś przepis prawa i tym sposobem znaleźć łatwe rozstrzygnięcie danej kwestji. Szanował on wysoko formy prawa, lecz na wzór owego francuzkiego *bon juge*, gotów był je odrzucić, jeśli zauważył, że dany przepis prawa jest w sprzeczności z zasadą „*ex equo et bono*“ i mógłby narazić pokrzywdzonego na szkodę. „Charakterystycznem wielce — pisał o nim we wspomnieniu pozgonnem Stanisław Libicki — było odezwanie się jego do jednego ze znakomitych prawników, który na gorącą obronę jawnie pokrzywdzonych, wyrażoną przez Hermanowicza w pewnej sprawie, odpowiadał ciągle: „Ależ Napoleon, prokuratorze, Napoleon!“ — Niech tam Napoleon — rzekł Hermanowicz — głowę sobie rozbija, aby tylko sprawiedliwości stało się zadość!“

Prokuratura ostatnich lat istnienia sądownictwa polskiego, oprócz Hermanowicza, wyprowadziła na widowię i drugiego wielkich zalet prawnika. Był nim ś. p. Władysław Pomianowski. O obu zachowała palestra wdzięczne wspomnienie i żal głęboki, iż wczesny ich zgon pozbawił społeczeństwo na długo — tak zasłużonych, prawych i utalentowanych prawoznawców.



XXIV.

Adwokaci Sądu apellacyjnego Królestwa.

Zanim powrócimy do gmachu Trybunalskiego, by tam powitać liczną gromadę patronów starszego i młodszego pokolenia, tę ostatnią zrekrutowaną z zastępu młodych magistrów Szkoły Głównej, zajrzyjmy na chwilę do gmachu dawnego Pijarskiego, następnie zaś Szkoły aplikacyjnej, by zapoznać się z członkami ciała adwokackiego, którzy w hierarchji obrończej zajmowali, dzięki doświadczeniu fachowemu i uznanym przez Komisję Sprawiedliwości zasługom, wybitniejsze stanowiska.

Siedem wydziałów sądzących liczył Sąd Apellacyjny, z uwagi, że doń napływały sprawy z całego kraju. Nie odpowiadał zupełnie swoim wyglądem zewnętrznym gmach apellacyjny powadze, przywiązanej do instancji tak ważnej, jaką reprezentował.

Ciemnymi korytarzami, zajętemi na parterze przez bióra rejentów i archiwa hipoteczne, przedstawiało się wązkami schodami na korytarz pierwszego

piętra, po obu stronach zajęty przez wydziały sądzące, gdzie panował o wszystkich porach dnia, aż do 2-jej z południa, gdy sądy się kończyły, zgiełk i ścisk, utrudniające dostęp do kratki.

Nie było nawet oddzielnej sali adwokackiej, więc obrońcy zmuszeni byli radzić sobie, wedle możliwości, przystawając przy załawkach korytarza i tam przyjmując informacje od stron. Nie przeszkadzało to bynajmniej objawom gwarliwej wesołości i zaciekawieniu, jakie budziły sprawy wprowadzane przez głośniejszych obrońców. Snuły się zastępy adwokatów po korytarzu, przysłuchując się obronom matadorów i czyniąc nad nimi uwagi krytyczne. Korporacja adwokatów apellacyjnych liczyła w swoim gronie sporo talentów pierwszorzędnych, lecz wyłącznie między młodszymi kolegami. Starzy i starsi adwokaci dożywiali jedynie karjery, korzystając z wziętości dawniejszej i z ukosa patrzyli na zwiększające się kadry obrończe sił młodszych, z obfitym zasobem wiedzy i zapalem do adwokatury.

Trudno tu wymienić wszystkich niedobitków armji palestrantów starszego pokolenia. Postaram się wszakże wyróżnić niektóre typy, po których została tradycja w adwokaturze nieprzedawniona, dająca przybliżone wyobrażenie o charakterystyczniejszych tej kategorii osobistościach. Przypomnę przedewszystkiem na ich czele zabawnego Marcela Pawłowskiego.

„*Nessun maggior dolore...*“ powtarzał sobie za Dantem każdy, ilekroć miał przed sobą arcy popularną ongi postać sławetnego „pana Marcela“. Jam go już znał w epoce upadku, lecz z tradycji znaną mi była wziętość owego człowieka, który za czasów moich

świecił już tylko przeblyskami swej dawnej renomy. Przed laty, był to adwokat czynny, ruchliwy, praktykę miał rozległą i znaczne dochody. Zmarniał jednak szybko i spadając *von Stufe zur Stufe* zeszedł do kategorii najniższej, kontentując się parą rubelków, jakie mu koledzy za zastępstwo w trybunale handlowym płacili. Niepozorna ta figurka, z mocno zarumienionym nosem, wiekuiście zaaferowana, w srodze nadniszczonym fraczku, o bardzo krótkich szosach,



MARCELI PAWŁOWSKI.
Adwokat.

stanowiła istną materję wybuchową złotego humoru i niezrównanych conceptów prawniczych, Wielkie czytanie i światowy polor, zamięlowanie do sfer teatralnych, którym poświęcił nawet przekład głośniejszej ongi *Rity Hiszpanki*, stały się powodem, że „Pan Marcel” zaczął zaniedbywać praktykę, i z powodu częstych libacyj w kole aniołów bez

skrzydeł, lecz o bardzo krótkich spódniczkach, utracił liczne koło klientów i zeszedł na zwykłego drapichrusta kratkowego. I w tej jednak kłopotliwej pozycji nie stracił nasz Marcel swego humoru i sympatji kolegów. Gromadzili się też licznie około kratki, przy której stawał Pawłowski, gdyż wiedzieli, że się im ta cierpliwość opłaci sownie... Trudnoby tu wyliczyć choć małą dozę conceptów, rzucanych na poczekaniu przez dowcipnego pana Marcelka. Przypominam sobie jeden fakt, świadczący o przytomności

jego umysłu i o środkach, jakich w obronie swej używał. Powierzono mu raz sprawę przeciw osobie, nie już dwuznacznego, lecz zupełnie zdeklarowanego charakteru... Chodziło o zapłatę terminowego zobowiązania. Pan Marcelek ciągnie dłużniczkę przed forum handlowe. Pozwana broni się dokumentem, stwierdzającym w zupełności jej charakter — nie kupiecki... Na to pan Marcel, odczytawszy zwolna wszelkie, nawet z najświeższej daty poświadczenia, odpowiada:

— Wysoki sędzie! Z przedstawionego dokumentu płynie dowód, iż interes tej pani do ostatnich dni nie próżnował... A że tym sposobem handel jej jest otwarty i ciągle w ruchu, — nie widzę powodu, aby sąd inny sprawą jej się zajmował...

Jakoż, ekscpeję oddalono.

W innej sprawie bronił pan Marcel jakiegoś biedaka, który widząc błakającą się bez właściciela gęś, zaprosił ją do swego mieszkania, z którego już nie wyszła... Rzec się wydała, i zbyt gościnny lokator pozwany został o „odszkodowanie“. Z całą powagą dowodził Pawłowski zasady teorii, że *res nullius cedit primo occupanti*. Tą rzeczą *nullius* była, zdaniem obrońcy — gęś błakająca się bez pana...

— Proszę mi dowieść: że gęś ta powinna mieć swój wykaz hipoteczny! — woła w natchnieniu pan Marcel. — Gdyby go miała na grzbiecie, wówczas każdy z działu drugiego mógłby się przekonać o nazwisku właściciela. *Vigilantibus jura*, wysoki sędzie! *Prior tempore, potior jure*... Kto pierwszy ten lepszy. Pozwalam powodowi w taki sam sposób postąpić z gęsią mojego klienta, a z pewnością przy kratce nas nie spotka!

W głośnej sprawie Djonizego Frageta, który wystawił swojej kochance zaskarżony do sądu wexel z wyluszczeniem dosyć niedwuznacznem, w czem mianowicie otrzymał od powódki walutę... pan Marcel w obronie ważności wekslu przytoczył, iż waluta w nim wyrażona nie powinna być gorzej traktowana od każdej innej...

Widok upadłej w osobie Pawłowskiego więźności był odstrasżającym przykładem dla wielu kolegów. Miano przed oczyma i inne tegoż pokroju przykłady! Któż nie pamięta sławnego ongi Jana Zaleskiego, profesora kursów prawnych, zdolnego mówcę i uczonego prawnika? Jak „pan Marcel“, tak i „pan Jan“, zeszedł z pola działalności zbyt wcześnie, dzięki tylko swej nieogłędności i niepamięci o jutrze. Bezskutecznie też powtarzał często ojciec Marcelego Pawłowskiego:

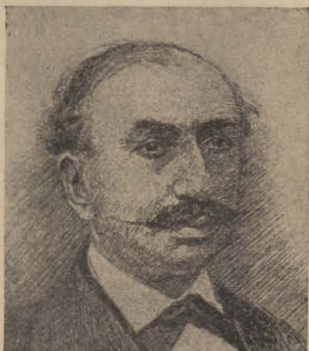
— Ja miałem ojca porządnego, nie dziw więc, że zeszedł na paliwodę. Ale ty, Marcelku, miałeś wiatronogiego ojca, widziałeś do czego prowadzi życie bez jutra, a pomimo tego nie cofnąłeś się i poszedłeś za jego przykładem!!

Stawał też czasami u kratki staruszek przygarbiony, w dużych, ze srebrną obwódką okularach, blady i wycieńczony — pan Maciej Szypnicki. Trudno zdać sprawę z tego, czy sąd rozumiał cośkolwiek z wywodów owego palestranta? Osłabionym głosem przesiewał pan Maciej przez sito procesu swoje arcy ubogie argumenta, i zsuwał się z krutek tak cicho, jak do nich przystępował, a tylko czerwona chustka, którą wycierał łysą czoło, była widomym znakiem, że pan Maciej dąży do innego wydziału, gdzie go już oczekiwała nowa, zaoczna sprawa.

Innym typem był sławetny pan Piwoński, może z powodu koloru swego nosa, tak nazwany... Trochę głuchy, a mało widzący, wprawiał w podziwienie swoich antagonistów, iż zwykle słyszał dobrze te argumenta, które w czemkolwiek na korzyść bronionego klienta przemawiały, a zasłaniał się przytępionym zmysłem słuchu i wzroku, gdy rzeczywistość przeciw jego wywodom przemawiała. W takich razach zwykle przechylał nieco muszlę swego organu słuchu, i ciekawie pa-



MACIEJ SZYPNICKI,
Adwokat.



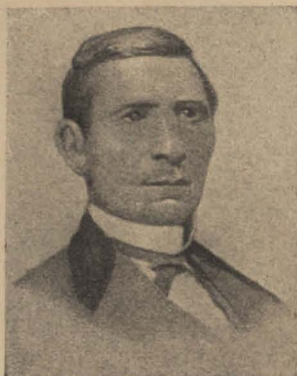
JÓZEF PIWOŃSKI,
Adwokat.

trząc się w oczy przeciwnika, powtarzał: *Co? Co?*

Rówieśnikiem jego był pan Tomicki Teofil, figura obdarzona przyzwoitym, ciekawym noszem, zawsze figlarnie uśmiechnięta, cichym, szybkim tempem wygłaszająca najzwyczajsze termina prawnicze.

Z poważniejszego grona adwokatów, wspomnieć należy Juliana Czajkowskiego, który stanowił powagę i dośługiwał się prawowitemi obronami wyższego w hie-

rarchji obronczej stopnia; zdolnego Aleksandra Niemi-



TEOFIL TOMICKI,
Adwokat.

rowskiego (brata znanego pisarza, Adama Niemirowskiego), którego, zbyt wczesna śmierć, od piastowanego z korzyścią dla ogółu, zawodu odwołała... Moznaby jeszcze wspomnieć tu Kazimierza Kalinkę, brata rodzzonego zasłużonego autora „*Sejmu czteroletniego*“, również zbyt wcześnie, ze szkodą dla palestry, w szpitalu zmarłego; energicznego, a wymownego Władysława Chęcińskiego, a nadewszystko znakomitego

mówcę i prawnika—Witolda Moszyńskiego... Adwokaci Ksawery Chraszczewski i Feliks Chruszczakowski byli to uprzejmi i mili w obejściu ludzie. Po rozprawie z nimi przed kratką, odchodziło się w stanie zupełnego spokoju, bez żadnego nerwowego rozdrażnienia, jak po jakiejś bezprzedmiotowej dyspacie, w której każdemu wolno pozostać przy własnem zdaniu. Żywot Ksawerego Chraszczewskiego i Feliksa Chruszczakowskiego obfitował w momenty tragiczne. Chraszczewski młodość swoją spędził na Syberji, jako żołnierz szeregowiec, kolega Wyrzykowskiego. Słynął z niepospolitej siły fizycznej. Chruszczakowski jako podpisarz w Kowalu miał już z wyroku generała Szwarca



WL. CHĘCIŃSKI,
Adwokat.

stryczek na szyji w r. 1863 i cudem tylko uniknął śmierci. Po odcierpieniu kary zesłania wrócił do Warszawy i w domku na Kanonjach nierozległą prowadził praktykę obrończą.

Saturnin Dutkiewicz, syn zasłużonego dziekana, nie odziedziczył po ojcu zdolności prawoznawczych i na szerszą widownię działalności nie wypłynął.

Wymieniwszy wybitniejszych starszej kategorii adwokatów apelacyjnych, z przyjemnością przechodzę teraz do grupy młodych, a zasługą i



K. CHRUSZCZEWSKI,
Adwokat.

talentem do instancji wyższej posuniętych obrońców.

Traf pomyślny tak zrządził, że nie tylko z uwagi na początkujące litery alfabetu przedstawić mogę tu na czele dwóch adwokatów, którzy zaletami swego umysłu i niepoślednią wiedzą zdobyli sobie uznanie sądu i sympatię szczerą całej palestry. Byli to koledzy: Anc Dominik i Artur Bardzki. Cechował ich obu niezwykle dowcip. Gwarno i wesoło było tam, gdzie się w gronie kolegów znajdowali. Anc,



FELIKS CHRUSZCZAKOWSKI,
Adwokat.

magister Szkoły Głównej, od razu zajął w palestrze

stanowisko wybitniejsze. Jako dowód wyjątkowego uznania dla jego wiedzy prawniczej, charakteru i towarzyskich zalet przytoczyć należy, iż w roku 1899 palestra warszawska uczciła go obchodem jubileuszu ćwierćwiekowej adwokatury i zbiorowym upominkiem.



SAT. DUTKIEWICZ,
Adwokat.

Powtarzano też sobie bez znużenia koncepta Anca. Kiedy raz jeden z kolegów cierpiąc na ból zębów przyszedł do sądu z obwiązaną chustką twarzą, Anc zwrócił się do otoczenia i rzekł z powagą:

— Spójrzycie na dowód nie-

wdzięczności klienta...

Niejaki Walfisz, właściciel domu, dla oszczędności osobiście zgłaszając się do lokatorów po zapłatę komornego, z powodu niewłaściwego zachowania się został przez jednego z płatników spoliczkowany. Świadków doraźnej tej kary nie było. Adwokat, do którego się spoliczkowany zwrócił po poradę, odradził mu wystąpienia z procesem o obrazę czynną, a tylko zalecił mu wyzwanie lokatora na pojedynek.



DOMINIK ANC,
Adwokat.

— Ja się z niewypłacalnym lokatorem bić nie

myśle—odrzekł obrażony i udał się po skuteczniejszą poradę do Anca. Ten wysłuchawszy opowieści, zapytał spokojnie Walfisza:

— Czy ma pan kontrakt piśmienny z lokatorem?

— Nie, gdyż według umowy ustnej, zapłata miała być *kwartalną*.

— Masz pan szczęście! Cóż by to było, gdyby zapłata odbywała się w ratach *miesięcznych*!!

Przy całej swej jowialności posiadał Anc temperament rycerski i stanowczość w postępowaniu, czego dowodem była sprawa, która swego czasu rozgłosnem w kraju całym odbiła się echem.

Było to w pierwszych czasach wprowadzenia reorganizacji sądowej.

Jednym z wiceprezesów Sądu Okręgowego, był młody wychowaniec szkoły prawowiedów, Enden, zdolny i sumienny prawnik, lecz nieublagany formalista, dla którego drobiazgi proceduralne stanowiły ostatni wyraz mądrości prawniczej.

Szczególniej dział o excepcjach, tamujących możliwość wprowadzenia sprawy, bądź dla braku odpowiedniego zastrzeżenia w plenipotencji obrończej, lub braku odpowiedniej marki, lub wreszcie dla innych formalnych wadliwości—był dla wiceprezesa powodem do rozmaitych wstrętów, które wprowadzały do biegu sprawy zwłokę i musiały być dopiero uchylane w wyższej instancji. Nietylko w dziedzinie wadliwości skryptów obrończych, lecz nawet pod względem trybu wprowadzenia spraw usiłował Enden szczepić nieznane prawu innowacje. Tak np. przy kratce musiał powód stawać ze strony prawej, pozwany zaś — z lewej...

Burzyły się umysły adwokatów wobec takich se-

katur, lecz nikt nie śmiał podnieść przeciw nim protestu.

Zdarzyło się, że podczas wprowadzania przez Anca jakiejś sprawy Enden podniesionym głosem kilkakrotnie przerywał mu obronę. Spotkawszy tegoż dnia Endena na ulicy, Anc podszedł do niego i zażądał wytłumaczenia się z takiego postępowania...

— Czyś pan oszalał? — zawolał zagadnięty.

— Tak, oszalałem! — rzekł Anc w uniesieniu.



ADOLF PEPLOWSKI,
Patron.

Naturalnie, incydent stał się źródłem uformowania Ancowi procesu o zobelżenie urzędnika z powodu czynności urzędowych.

Proces stał się głośnym.

W obronie kolegi stanął Adolf Peplowski, b. patron Trybunału, adwokat przysięgły, pierwszorzędna w palestrze siła. Jak są poeci z Bożej łaski, tak w adwokaturze krasomówstwo Peplowskiego jaśniało niedościgłemi przez żadnego z kolegów dawniejszych—Radgowskiego nie wyłączając—zaletami argumentacji i erudycji wyjątkowej.

Podjął się ciężkiego zadania Peplowski z uwagi na doniosłość sprawy, na konieczność uwydatnienia roli dawniejszej palestry polskiej, w obec tendencji oczywistej do jej obniżenia w obec Sądu i ogółu. Z temperamentu swego ognistego, którego nie ostudziły śniegi syberyjskie, miał Peplowski raczej powołanie prokuratorskie, aniżeli obrończe. Mowa jego była zawsze aktem oskarżenia przeciw dowodom śledz-

stwa i trybowi gromadzenia dowodów. Wszedłszy do Patronatu Trybunalskiego, na krótko przed jego zniesieniem, od razu stanął p. Adolf w rzędzie najpierwszych powag adwokatury. Przyjęcie sprawy przez Peplowskiego stanowiło niemal zawsze o jej pomyślnym rezultacie. Potokiem argumentów silnych, a trudnych do zwalczenia, górował nad wnioskami oskarżyciela publicznego. Świetna wymowa, erudycja wyjątkowa, okrasa literacka wywodu obrończego, walczyły zwyciężko z oskarżeniem, a dla słuchaczy były źródłem istotnej etycznej i estetycznej rozkoszy. Nie dziw więc, że podjęcie się obrony Anca obudziło zaciekawienie powszechne. Przyznać należy, że poszkodowany wiceprezes Enden zachowaniem swoim na sprawie wysoce rycerskiem i lojalnem, zjednał sobie ogólne uznanie. Przyznał się otwarcie do niewłaściwego względem Obrońców tonu („oficjalnego“), oddał Ancowi sprawiedliwość jako poważnemu i spokojnemu człowiekowi, lecz broniąc siebie, podniósł, że broni powagi urzędu i dlatego domagał się surowej kary.

Ze względu na rozgłos, jakiego sprawa Anca w szerokich kołach społeczeństwa nabrała, pozwolę tu sobie przytoczyć głównejsze jej momenty, z wniosków Prokuratora Markowa i z obrony Peplowskiego.

„Samo tak liczne zgromadzenie się publiczności — mówił oskarżyciel publiczny — przekonywa dowodnie, jak powszechny interes obudza obecna sprawa, przez ogół uważana słusznie za mającą szerszą doniosłość. W istocie, nie chodzi tu o błąd obelgę słowną, ale o znieważenie urzędnika, z powodu wykonywania przezeń obowiązków. We wszystkich cywilizowanych społeczeństwach, nie wyłączając republikańskiej Francji,

prawodawstwo i sądy usiłują władzę państwową i osoby reprezentujące ją we wszelkich gałęziach służby otaczać jak największą powagą. Tem jedynie warunkuje się porządek i wolność dobrze zrozumiana. O surowości ustaw francuskich i wyroków przeciwko obrażającym urzędnika w miejscu pełnienia przezeń obowiązków służby, lub z powodu pełnienia tychże, przekonywa pobieżne chociażby przejrzenie francuskiego kodeksu karnego, oraz zbioru wyroków zapadłych w tej materji. Prezydującemu na audjencji sądzącej przysługuje pełna władza policyjna. Wszystko co czyni na mocy tej władzy, czyni dobrze. Obrażonemu służy droga prawa, wszelkie zaś wymierzanie sobie samemu sprawiedliwości stanowi karygodne nadużycie.

„Świadkowie zbytecznie podnosili kwestję głosu, jakim wiceprezes przemawiał; jest on formalistą, ale forma wiele stanowi. Niechęć do niego adwokatów przysięgłych, o jakiej w zeznaniu swem wiceprezes wspomina, niema źródła w tem jego przywiązywaniu się do formy, ale nierównie głębiej i dalej należy szukać jej przyczyn. Adwokatura w Królestwie Polskiem nie zrodziła się społecznie z obowiązującą dziś procedurą, tak jak to stało się w Rosji; przeciwnie, nowe prawo zastało tu stan obrończy, ze wszechmiar szanowny, powstały przed czasem bardzo dawnym, wykształcony tradycyjnie, historycznie. Przywiązanie tego stanu do dawnych urzędzeń objawiło się przez niechęć ku nowemu prawu, nowej organizacji i osobom powołanym do ich stosowania. Stało się tu tak, jak z mieszkańcem starego domu rodzinnego, do którego przywykł. Nie przestanie on żałować i wspominać dawnej swej siedziby, choć dzisiaj stokroć wygodniejsze i oka-

zalsze przeznaczono mu zamieszkanie, a tamto padało już w ruinę, dach nad niem trzeszczał, rysowały się ściany i wicher hulał wśród pustek. Wice-prezes usiłował wdrożyć obrońców do nowych form postępowania, zagrzać ich do wspólnej pożytecznej pracy na nowem polu i w innym zakresie, otworzył przed nimi drzwi swego gościnnego domu, zbierał ich u siebie i obradował nad następczącymi się kwestjami prawa.

„W sprawie obecnej, gdy zważymy, że co do zniewagi wyrządzonej wice-prezesowi na ulicy, stają przeciwko sobie dwa niezgodne z sobą zeznania, t. j. obrażonego i podsądnego, większą chyba wiarę przyznać należy słowom wice-prezesa, gdyż podsądny, rozdrażniony i wzburzony do najwyższego stopnia, co sam przyznaje i potwierdzają świadkowie, prawdopodobnie nie pamięta dobrze, co mówił. Wszyscy pracujący w sferze sądowniczej, czy wśród ciała sądzącego, czy na linii obrończej, jeden cel pracy, jedno przed sobą mają zadanie: powinni się wspierać, iść ręką w rękę; szanować się wzajem, a tem samem nie targać się na powagę urzędu.

„Po ocenieniu okoliczności przez śledztwo wykrytych, obecnego zajścia nie można poczytać za nic innego, jak za zobelżenie wice-prezesa, z powodu pełnienia przezeń obowiązków służby. Dla satysfakcji zatem prawa, dla tryumfu zasad społecznego porządku i służbowej hierarchji, наконец dla przykładu, prokurator wnosil o zastosowanie Ustępu I art. 286 K. K. i o skazanie podsądnego na zamknięcie w domu poprawy przez czas trzech miesięcy.

Po prokuratorze przemawiał obrońca podsądnego, adwokat Peplowski.

Podzielając w zupełności pogląd prokuratora na nierozzerwaną jedność zajęć i zadań wszystkich sług Temidy, bez względu na to, jakie zajmują miejsce i jakie noszą mundury, przeszedł obrońca odrazu do prawnej strony kwestji. Istnieje w kodeksie art. 286, słusznie stojący na straży praw i przywilejów osoby reprezentującej władzę; ale istnieje także art. 347, przewidujący i stanowiący karę za obelgi, gdy się ich względem osoby prywatnej dopuści urzędnik w miejscu swego urzędowania. Już z tego samego przepisu prawa, a także z natury rzeczy wynika, że nikt, zasiadając na krześle prezydującego, nie może uważać się za nieomylnego, niepodległego ułomnościom. Na krześle prezydującego można także popełnić przestępstwo.

„Zachodzi pytanie, czy wice-prezes, zwróciwszy się do obrońców w sposób gwałtowny i nieprzystwoity, gromiąc ich za to, że zajęli miejsca jakoby nieodpowiednie, wówczas gdy tak nie było, bo nie istnieje żaden przepis co do tego, przy którym pulpicie obrońca ma miejsce zajmować — zachodzi pytanie, czy wice-prezes był wtedy w porządku, czy działał w granicach przysługującej mu władzy policyjnej na audjencji? Nikt się tu nie zawaha z odpowiedzią przeczącą. Prezydujący ma prawo ukrócać nieprzystwoite lub niewłaściwe zachowywanie się publiczności, ma prawo żądać od obrońcy bliższego wyjaśnienia tego, lub owego szczegółu, podniesienia głosu i t. p., ale nie ma prawa nakazać mu patrzeć na sufit, ani na ścianę, rąk trzymać zwieszonych, a nie założonych na piersi i t. p. Tego rodzaju zaleceniom obrońca nie ma żadnego obowiązku, niby manekin ulegać.

„Gdy wice-prezes nie był w porządku, gdy nie działał w zakresie, ani sądowej, ani dyscyplinarnej, ani policyjnej swej władzy — nie pełnił przeto obowiązków służby, do których wymyślania obrońcy żadną miarą zaliczyć nie można. Jeśli więc nawet zajście na ulicy było bezpośredniem następstwem zajścia na posiedzeniu, to jeszcze ze strony podsądnego niema tu winy, tembardziej, że obrońca podsądny wyraźnie oświadczył, iż pragnie objaśnienia co do powodu, dla którego mu wice-prezes wymyśla, nie zaś dlaczego taki lub inny wydał wyrok, dlaczego w tej a nie w innej formie zaleca wnosić podania i plenipotencje poświadczające, słowem nie co do jakiegobądź czynności, z urzędu jego wynikającej. Zażądanie wyjaśnień z powodu wymyślania nie da się podciągnąć pod zaczepkę z okazji pełnienia obowiązków służby. Stwierdzony przez świadków zwykły sposób postępowania wice-prezesa z obrońcami, naraził już niejednego z nich na niezasłużone przykrości, skarg jednak nikt nie zanosił, gdyż to jest naturze naszej przeciwne. Szukaliśmy dróg innych, mówił dalej obrońca imieniem korporacji do której należy, udawaliśmy się do członków sądu, iżby zechcieli na wice-prezesa wpłynąć odpowiednio. Ale nie odniosło to skutku.

„Z czasem ustały zebrania niektórych obrońców w mieszkaniu wice-prezesa, gdyż nikt nie mógł wieczorem z myślą swobodną nawiedzać domu człowieka, który może dnia tegoż zrana sponiewierał jego kolegę, lub przyjaciela.

„Prawda, że stan obrończy w Królestwie powstał i w innych warunkach, na innych podstawach się kształtował. Już statut wiślicki uznawał koniecz-

ność obrońców, a statut Jana Olbrachta określa wzajemne prawa i obowiązki prezydującego i obrońców sprawę wnoszących. Kodeks Napoleona, podotąd szczyt kodyfikacji, przez lat siedemdziesiąt wyrabiał, wydoskonalał pokolenia następne. Słusznie zauważył prokurator, że wielką jest w człowieku moc przyzwyczajenia, że zamieszkując nawet apartament wytworny, nie przestaje on żałować zrujnowanego dawnego domowstwa; a fakt podobny tem mniej zadziwiaćby powinien w obecnym wypadku, skoro w myśl porównania p. prokuratora, dawne właśnie urządzenia sądowe nieinaczej nazwać się godzi, jak wspaniałym gmachem, pałacem przepysznym. Ale kongregacja, pod mądrym prawem dojrzała, potrafi sprostać i nowemu porządkowi rzeczy. Wszakże wy wszyscy, panowie, mówił obrońca do całego gremium sądownictwa, obecnego na posiedzeniu, wy wszyscy stosujecie nowe przepisy sądowe, a jednak możecież uważać się zasadnie na tę z naszej strony niechęć, którą dla siebie p. wice-prezes zaznacza? Zbyteczną jest formalistyka p. wice-prezesa; stwierdza to powszechnie wiadomy fakt, iż na sto jego postanowień, dotyczących strony formalnej, 97 uchyla Izba sądowa.

„Przemówienie na ulicy nie nastąpiło z powodu pełnienia służby; przeciwnie, była to prosta wzajemność obelg pomiędzy dwoma prywatnymi ludźmi. Z okazji doznanej na posiedzeniu zniewagi, podsądny zażądał objaśnień, a otrzymawszy je, byłby na tem poprzestał. Czy takie zażądanie stanowi przestępstwo? Podsądny odezwał się do wice-prezesa mniej grzecznie, wtedy dopiero, gdy wprost i niezasłużenie wymierzona przeciwko sobie obelga: Czyś pan osza-

lał? został doprowadzony do ostateczności. Bo nie chcemy się ludzi. Zapytanie: „Czyś pan oszalał? nie mogło być i nie było zadane w tym sposobie, w jakim zapytuje chorego lekarz ordynujący w szpitalu obłąkanych; zostało one rzucone cum animo injurjandi, a że tak jest, a nie inaczej, przekonywa o tem dostatecznie wzburzenie, jakie odgadujemy w pierwszych wyrazach odpowiedzi podsądnego: „Tak, jam oszalał.“ Czy słyszycie w tem, panowie sędziowie, ów ton fałszywy, zdradzający ostateczny rozstrój moralny, tę bezgraniczną znie wagę, jaką zapytanie: „Czyś pan oszalał“ wywołało w duszy podsądnego?! Była to więc wzajemność obelg pomiędzy ludźmi prywatnymi, z art. 138 Ust. o kar. naznacz. przez sąd pok., znosząca karę dla stron obu.

„P. prokurator wzywa was, panowie, iżbyście podsądnego dla przykładu ukarali surowo. Nie, panowie, my koledzy wasi z ławy uniwersyteckiej i z trudów sądowych, my nie potrzebujemy tego przykładu; umiemy szanować władzę i prawo, a z drugiej strony, wyrok, choćby najsurowszy, nikogo z nas nie odwiedzie od obrony honoru, dla którego każdy człowiek uczciwy i życie chętnie oddaje. Powołani do wspólnej z wami pracy, stanowimy niezbędne koło maszyny sądowego ustroju, i my więc mamy nasze prawa. Wam samym, równie jak nam, zależeć powinno na zapewnieniu obrońcom odpowiedniego stanowiska. Wydajcie więc wyrok taki, jaki odgaduję że się już w sumieniu waszem sformułował; krwawo-pracowite nasze obowiązki otoczcie tą opieką, jaka im się sprawiedliwie należy—gdyż obowiązki które pomimo tyłu

przykrości i zniewag pełnimy, chcemy spełniać sumiennie i pełnić nie przestaniemy, bo uchodzić z pola uważalibyśmy za pogwałcenie najświętszej obywatelskiej powinności.

„Oto ławę oskarżonych zasiadł nasz kolega, kochany, szanowany przez wszystkich, na którym cień hańbiącego czynu, ani podczas kilkunastoletniego urzędowania, ani w życiu prywatnem, nigdy nie powstał. Dziś zajmuje on to miejsce wyznaczone dla przestępców; ubliża mu ten tłum zgromadzonej publiczności, ubliżają wasze rozprawy, ubliża moja obrona—ato wszystko dlaczego?... dlatego, że jeden z wice-prezesów jest, jak sam przyznał, człowiekiem popędliwym i formalistą!

„Rozumiem trudność waszego zadania. Pan wice-prezes jest waszym kolegą, może przyjacielem... Ale wobec tego nie raczcie się wahać: „*Amicus Plato, sed magis amica veritas*,“ Oczekuję uniewinniającego wyroku!“

Nastąpiła replika prokuratora i duplika obrońcy, poczem sąd, postawiwszy odpowiednie pytania, uznał podsądnego winnym przestępstwa, przewidzianego w ust. II, art. 286, i skazał go, na karę pieniężną, w ilości rb. 75 i krótkotrwały areszt na odwachu.

Wyrok tak łagodny sympatycznie przyjęto w społeczeństwie. Zjednał on Peplowskiemu i Ancowi ogólne uznanie i wzmocnił jeszcze silniej uczucia szczerzego uznania dla charakteru podsądnego i jego obrońcy.

Miano powód cieszyć się, iż dynastia Anca nie zejdzie na długo z pola pożytecznej działalności. Niestety, losy zrzuciły inaczej. Zdolny syn Anca, mło-

dy obrońca, niespodziewanym a nagłym zgonem osierocił adwokaturę. W maju zaś 1918 r. i czcigodny ojciec jego ś. p. Dominik Anc, dostąpiwszy zaszczytnego stanowiska profesora prawa w młodym uniwersytecie warszawskim, zakończył żywot doczesny, ku ogólnemu żalowi całej palestry i społeczeństwa, któremu tak uczciwie i obywatelsko przez długi lat szereg służył.

Niemniejszą od Anca w gronie kolegów sympatją cieszył się zdolny, jako prawnik, a wysoce dowcipny i towarzyski, jako kolega—Artur Bardzki. Ze studjów na uniwersytetach w Cesarstwie i we Francji wniósł Bardzki do adwokatury gruntowny podkład wiedzy i czytania się komentatorami francuzkami. Z każdej sprawy umiał wydobyć na widownię jej stronę życiową, przeważnie humorystyczną, z pewnym odcieniem złośliwości. Dla Bardzkiego wogóle nie było sprawy trudnej.

Podejmował się zwykle spraw rozpaczliwych, na które inni obrońcy z trudnością szukali lekarstwa, Umiał zręcznym manewrem zapędzać w kozi róg przeciwników i często wbrew oczekiwaniom odnosił zwycięstwo.

Po za swoim zawodem był Bardzki zamięłowanym amatorem sztuk pięknych. Gromadził do swej



ARTUR BARDZKI.
Adwokat.

bogatej galerji obrazów



FELIX DĘBSKI.
Adwokat.

rzadkie okazy, przeważnie swoje. Dużo czytał dzieł wyborowych i był niestrudżonym podróżnikiem. Znikał często z Warszawy i wynurzał się na jakichś wyspach egzotycznych, lub w miejscowościach niezwykłych, z kąd przywoził do swojej kolekcji rzadkości sztuk plastycznych. Dom prowadził towarzyski, chętnie przez rodziny kolegów zawodu odwiedzany.

Zmarł Bardzki w roku 1916 na stanowisku dyrektora Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy, pozostawiwszy po sobie w spuściźnie kilka poważnych monografij naukowych z dziedziny ekonomicznej i bogatą galerję obrazów, zapisaną testamentem Towarzystwu Zachęty do sztuk pięknych.

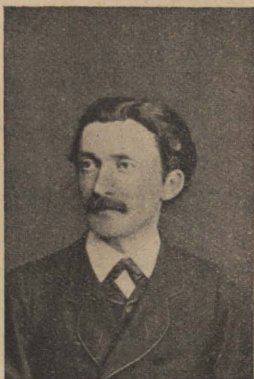
Cenionym był jako znawca ustaw hipotecznych i uprzejmy w stosunkach z kolegami Felix Dębski. Znajomość stosunków ziemiańskich zjednała mu w kołach obywatelskich rozgałęzioną praktykę.

Niedługo w kołach adwokatury bawił zacny Karol Gostomski. Słabowitego

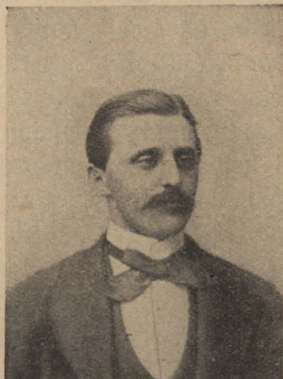


KAROL GOSTOMSKI.
Adwokat.

zdrowia przeniósł się do notarjatu, pozostawiwszy rychłym zgonem swoim szczerzy żal między kolegami,



LEON GRABOWSKI.
Adwokat.



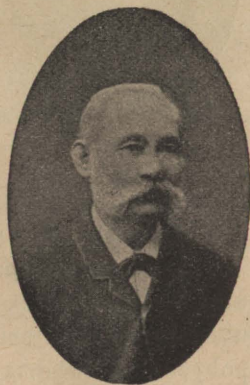
JÓZEF HELBICH.
Adwokat.

których przyjaźń pozyskał zale-
tami charakteru, gorącą mi-
łością spraw krajowych, oraz
udziałem w powstaniu 1863 r.

Wybitnymi zdolnościami
prawniczymi odznaczał się Leon
Grabowski, syn mecenasa Edwar-
da. Uczyniono dlań wyjątek,
z uwagi na niepospolitą znajo-
mość kodeksu cywilnego, jaką
posiadał, że dopuszczono go do
wprowadzania spraw w Senacie.

Do sympatycznych kole-
gów zaliczano Józefa Helbicha.

Henryk Hoffman był adwokatem, a jedno-
cześnie docentem katedry praw słowiańskich w Szkole



DOCENT HEN. HOFFMAN.
Adwokat.

Głównej. Zdolnościami wybitnemi bynajmniej nie celował.

Znanym był więcej z działalności swojej w dziedzinie ekonomji politycznej, aniżeli jako cywilista, adwokat Józef Kirsztrot (przybrał następnie przydomek Prawnickiego).

Spokojny i sumienny pracownik mało się udzielał kolegom, pracując bez znużenia nad wprowadzeniem do kraju stowarzyszeń współdzielczych, na wzór Schulze-Delitscha. W ostatnich latach zawodu, zgorzkniały z powodu prądów, które jego ideałom lat młodocianych nie odpowiadały, cofnął się do zacisza domowego i jedynie na polu filantropji praktycznej starał się być pożytecznym ogółowi.



JÓZEF KIRSZROT.
Adwokat.

Wyróżniał się niepospolitemi zdolnościami krasomówczemi w advokaturze, zbyt wcześnie (w r. 1892) zgasły, Leon Krysiński.

Henryk Konie w „Gazecie Sądowej“ 1892 r. poświęcił zmarłemu serdeczne wspomnienie, z którego tu korzystam.

Syn zacnej pamięci inspektora szkół rządowych, urodził się ś. p. Krysiński w r. 1845, w r. 1861 ukończył gimnazjum Lubelskie, a następnie, po krótkim pobycie na wydziale inżynierskim w Instytucie w Nowej Aleksandrji, wstąpił na wydział prawny b. Szkoły Głównej, którą w roku 1867 ze stopniem magistra opuścił. Zamianowany po krótkiej aplikacji, w roku 1870, patronem przy b. Trybunale cywilnym Warszaw-

skim, otrzymał w r. 1873 nominację na adwokata przy Sądzie Apelacyjnym. Wreszcie, z chwilą wprowadzenia reformy sądowej, wstąpił w szranki adwokatury przysięgłej, której do śmierci nie opuścił.

Jako adwokat, wcześniej bardzo zasłynął niepospolitym talentem oratorskim, wiedzą prawniczą i rozległym na rzeczy poglądem. Każda niemal obrona zmarłego była wzorem krasomówstwa sądowego.

Ta doskonałość i jędrność, ta jasność i gruntowność, jaka ze słów jego płynęła, przykuwała uwagę słuchacza, a rzecz na pozór sucha budziła niekłamanie zajęcie.

Należał ś. p. Krysiński, w ogóle, do obrońców, co dawną, piękną tradycję umieli przechować na zmienionem polu do pracy. Nieskazitelną charakteru, obok tych wszystkich zalet jednała zmarłemu liczną klientelę.

Wybitne stanowisko, jakie w palestrze naszej zajmował, z natury rzeczy, powoływało go do spełniania rozmaitych obowiązków wśród samej korporacji. Nie było też sprawy ogólnej, w którejby zmarły czynnego nie brał udziału.

Był wraz z ś. p. Henrykiem Krajewskim jednym z założycieli kasy pomocy dla adwokatów przysięgłych, widział w niej początek reprezentacji stanu obrończego, a jako członek pierwszego zarządu, wszyst-



LEON KRYSIŃSKI.
Adwokat.

kich sił dokładał, aby instytucji tej nadać wyjątkowe znaczenie.



LUDWIK MARCZEWSKI.
Adwokat.

Przez lat wiele pełnił wybitne obowiązki na drogach żelaznych, bądź jako radca prawny dr. żel. Nadwiślańskiej, bądź jako członek rady dr. żel. Warszawsko-Wiedeńskiej. Tu był zmarły w prawdziwym swoim żywiole. Stosunki kolejowe, z natury swej skomplikowane i trudne, znał doskonale.

Zdanie zmarłego było w tych kwestjach tak gruntowne i jasne, że bez przesady powiedzieć można, iż równego sobie nie miał. Ś. p. Krysiński zalecał zawsze ściśle poszanowanie słuszności i nie odstępowanie od gruntu prawnego.

Zostawił też ś. p. Krysiński ślad w literaturze prawniczej. W *Przeglądzie sądowym* wydrukował rozprawę p. t. „O odpowiedzialności sprzedawcy za wady zwrotowe.” (Vices rédhibitoires).

Pokrewnym Leonowi Krysińskiemu zdolnościami fachowymi i charakterem był adwokat Ludwik Marczewski. Harmonijnie kojarzyły się w nim: urok



WINCENTY MELLEROWICZ.
Adwokat.

pięknych rysów oblicza, z zaletami krasomówstwa.

Obrona Marczewskiego jędrna, jasna, znakomicie argumentowana, przynosiła licznej klienteli p. Ludwika rzadko zawodny rezultat.

Cieszył się niemniejszą sympatją, również zbyt wcześnie zgasły, adwokat Wincenty Mellerowicz.

Wcześnie też ustąpili z pola działalności adwokackiej: Julian Naimski i Ka-
jetan Piotrowski. W początkach zawodu bardzo wzięci, umiłowali niebawem stan rolników i, zamiast ślęczyć nad aktami, przenieśli się do swych majątków ziemskich. Na tem polu Naimskiemu nie powiodło się. Przewrót w stosunkach ekonomicznych przyczynił się do ruiny, ongi dosyć znacznej fortuny.

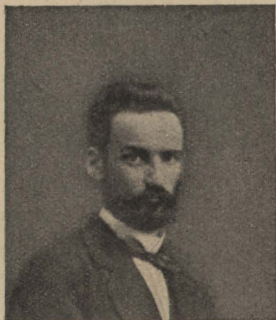


JULIAN NAIMSKI.
Adwokat.

Zamykam pobieżnie naszkicowaną galerję adwokatów wzmianką o osobistości wielkich zasług, erudycji, pracy i umiłowania spraw publicznych, która jakkolwiek wystąpiła na widownię działalności na przełomie dawnego sądownictwa, jednakże niezmordowaną, a pożyteczną działalnością swoją zdołała zaskarbić sobie ogólne uznanie. Mówię tu o Adolfie Suligowskim, przez uniwersytet lwowski godnością doktora honoris causa zaszczyconym.

Dzięki Suligowskiemu i jego usiłowaniom, nie-

niemająca korporacyjnej organizacji adwokatura utworzyła w pośród siebie zaczątek Towarzystwa prawniczego, w którem uczestnicy mieli możliwość poważnego dyskusowania o sprawach naukowych i zawodowych. Inicytywę w tej mierze dał Suligowski. Jako prawnik uzdolniony, naukowej stronie przedmiotu z zamiłowaniem się poświęcający, wprowadził on do atmosfery koleżeńskiej prąd świeży, pewne cechy solidarności zawodowej, dążność do utrzymywania adwokatury na

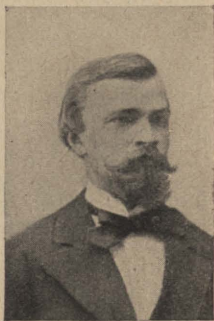


KAJETAN PIOTROWSKI.
Adwokat.

szczeblu obywatelskości. Poświęcił też Suligowski literaturze prawniczej i ekonomicznej szereg prac gruntownych, zwłaszcza z dziedziny samorządu miejskiego.

W ostatnich czasach piastował Suligowski urząd Prezesa Rady Miejskiej, z którego, z powodu słabości zdrowia, ustąpić był zmuszony.

Wzbogacił literaturę prawniczą szeregiem dzieł trwalszej wartości, wydanych oddzielnie i w pięciotomowym zbiorze, oraz cenną *Bibliografią prawniczą polską*. Był prócz tego wydawcą dzieł zasłużonych prawników polskich, poświęconych uczczeniu pamięci Władysława Andrychiewicza, Romualda Hubego i Stanisława Łaguny.



ADOLF SULIGOWSKI.
Adwokat.



XXV.

Sąd Appellacyjny.

Skład Sądu Appellacyjnego w ostatnich latach przed reorganizacją sądownictwa polskiego cechował się zastępem doświadczonych prawników i korzystał w kraju z zasłużonego uznania.

Nie podobna tutaj poświęcić każdemu z sędziów specjalnego wspomnienia. Ograniczę się na wzmiance o niektórych wybitniejszych członkach tej magistratury.

Po sędziwym, wielkiej powagi, lecz i bezwzględności, Prezesie Wieczorkowskim, który wysłużwszy emeryturę poświęcił się służbie społecznej w Towarzystwie osad rolnych, krzesło prezydjalne zajął Tytus, Polczycki, osobistość wielce sympatyczna, z pozoru chłodna, lecz wykwintnych form towarzyskich, a jako prawnik, mąż wielkiej wiedzy i doświadczenia życiowego.

Wice-Prezesem był Konstanty Tyszka, magister prawa uniwersytetu królewskiego, człowiek wielkiej

zaczności i nauki. Prokuratorem królewskim był Teodor Karpiński.

Z sędziów, których uważano powszechnie za najzasłużeńszych nie tylko w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości, lecz i w dziedzinie prac piśmienniczych, na naczelnem miejscu należy wymienić ś. p. Feliksa Jeziorańskiego.

Charakterystykę jego i położone dla nauki prawa zasługi, podała w r. 1896 Gazeta Sądowa. Dla utwalenia pamięci Jeziorańskiego godzi się w tem miejscu powtórzyć z niej ważniejsze ustępy:

Jako pisarz i publicysta, umiłował Jeziorański szczególnie jeden przedmiot, a zbadaniu go i wyświetleńiu wszelkich wątpliwości poświęcił znaczną część swego życia. Przedmiotem tym był najważniejszy akt prawodawczy nasz z XIX wieku, którym słuszenie chlubić się możemy — Ustawa hipoteczna, wraz z przepisami uzupełniającymi i związkowymi. Przykładów takiego zamilowania przedmiotu, jakie wykazał Jeziorański w stosunku do ustaw hipotecznych, nie wiele znaleźć można. Dzięki temu, pomimo braku studjów uniwersyteckich, Jeziorański złożył w swych dziełach dowody takiej głębokiej wiedzy, wybornej znajomości i zrozumienia przepisów hipotecznych, że nazwisko jego obok Dutkiewicza wymieniane jest w sądach.

Zaiste, większej nagrody z pewnością nie pragnął!

Pomimo wyjścia z urzędowania, zmarły interesował się zmianami prawodawczymi i wszelkie kwestje prawne, jakie wynikały w nowych sądach, orzeczenia wyższych instancji, zajmowały go bardzo, a jeśli zauważył zasadniczy błąd w interpretacji jakiego prze-

pisu, starał się zaraz błęd ten na szpaltach *Gazety Sądowej* prostować. Nie zniechęcał się, jeśli skutku na razie nie osiągnął, a gdy błąd się powtarzał, występował ponownie z nowymi argumentami i walczył zawzięcie o pewną zasadę; gdy jednak błąd dotyczył interpretacji przepisów hipotecznych, darować tego nie mógł i bolał nad tem bardzo, dziwiąc się, że przepisy, tak w jego przekonaniu jasne, mogą nastroczać jakieś wątpliwości. Z przeciwnikami swych poglądów staczał gorące walki. Pod tym względem do końca prawie życia zachował zapał młodzieńczy i energię niespożytą. Nie lekceważył jednak żadnego wygłoszonego publicznie zdania i, nie tylko w artykułach polemicznych, lecz nawet w dziełach swych wspomina o każdym ze swych przeciwników, przytaczając zarazem argumenty za i przeciw wygłoszonemu zdaniu.

Po wyjściu z urzędowania, czyli jak się wyrażają „po przejściu w stan — a w tym razie — zasłużonego spoczynku“, nie spoczął, lecz rozporządzając więcej czasem, tem gorliwiej na polu piśmiennictwa polskiego pracował.

Już w roku 1868 nazwisko jego stało się znanem, gdy jako Prokurator Królewski w Łomży opracował niektóre ustępy, uzupełnił i wydał w Warszawie, w drukarni Jaworskiego: „Kurs Kodeksu Cywilnego“ Jana Kantego Wołowskiego. W tym samym roku otrzymał też zaszczytne stanowisko sędziego appellacyjnego. Chociaż już przedtem pisywał do pism i miesięczników Warszawskich, głównie jednak działalność jego na polu piśmiennictwa rozpoczyna się wraz z powstaniem nowego organu prawniczego — *Gazety Sądowej Warszawskiej*. Gdy w roku 1873 utwo-

rzono komitet redakcyjny tego pisma, obok znakomych przedstawicieli sądownictwa i profesorów, widzimy Jeziorańskiego, którego zaszczycono wyborem na współredaktora. Odtąd oddawał się tej pracy przez lat szeregi z nieustającą energią.

Gdybyśmy chcieli podać choćby tylko tytuły poważnych i gruntownych artykułów Jeziorańskiego, jakie drukowała w ciągu lat dwudziestu Gazeta Sądowa, musielibyśmy znacznie rozszerzyć ramy niniejszego wspomnienia. Ograniczymy się więc do przytoczenia prac, które ukazały się w druku w formie książkowej.

Pierwszą w szeregu jest broszura, wydana w roku 1876 „O znaczeniu kontraktów pozahypotecznych w sprzedażach nieruchomości“, będąca właściwie powtórzeniem artykułów, zamieszczonych przez autora w tej materji w Gazecie Sądowej. W roku 1878 opracował wydany przez prof. Miklaszewskiego „Podręcznik dla sądów pokoju Królestwa Polskiego“, *zawierający wszystkie te postanowienia, któremi winny się kierować sądy pokoju i istniejące przy sędziach pokoju wydziały hipoteczne, a które nie zostały pomieszczone w Podręczniku dla sądów gminnych Królestwa Polskiego.* W roku 1879 podejmuje po Wyzińskim wydanie „Zbioru praw, postanowień i rozporządzeń rządu, obowiązujących w guberniach Królestwa Polskiego,“ jako tom IV tego wydawnictwa, obejmujący prawa i przepisy z roku 1874. Z „trylogii,“ w jakiej zamierzył całokształt Ustaw hipotecznych wraz z przepisami związkowymi, wydał w roku 1881 część pierwszą, obejmującą: „*Prawo o przywilejach i hipotekach z roku 1825.*“

W roku 1885 wyszła w odbitce z Gazety Sądowej praca: „O celu i znaczeniu istotnem przepisów o zatwierdzaniu niektórych aktów notarialnych.“ W następnym roku: „W obronie praktyki sądowej,“ dalszy ciąg rozprawy „o znaczeniu kontraktów pozahypotecznych w sprzedażach nieruchomości.“ W siedemdziesiątą rocznicę ogłoszenia Ustawy „O ustaleniu własności dóbr nieruchomości“ z dnia 26 Kwietnia 1818 r. wydał ś. p. Jeziorański drugie dzieło ze swej „trylogii“: *„Projekt instrukcji dodatkowej dla zwierzchności hypotecznych Królestwa Polskiego.“* W roku 1889 wyszła z druku obszerna broszura o 147 stronicach, zatytułowana: *O różnych rodzajach wpisów hypotecznych niestanowczych*, która właściwie mieści w sobie zbiór artykułów, drukowanych w Gazecie Sądowej w tym przedmiocie. W tym samym również roku, nakładem Teodora Paprockiego, wyszło w tłumaczeniu Jeziorańskiego i przedwcześnie zgasłego prawnika Józefa Piaseckiego dzieło D-ra Maurycego Meyera p. t. *Główne kierunki najnowszej Ekonomii Politycznej.*

W lat trzy potem, a mianowicie w roku 1892 wydał Jeziorański, z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Józefa Mianowskiego, tom pierwszy komentarza do *Ustawy Sejmowej z roku 1818.* Zakończenie tej wielkiej pracy, stanowiące tom II p. t. *Ustawa Sejmowa z r. 1818*, a będące uzupełnieniem owej „trylogii“, miało być wkrótce wydane, jako dzieło pośmiertne. Zakończenie dzieła tego pisane, a raczej dyktowane było już wówczas, gdy niemoc fizyczna coraz bardziej owładła organizmem, a wytrwały pracownik siłą swej woli

pragnął koniecznie doprowadzić je do końca. To też gdy praca była prawie że ukończona w całości, powtarzał niejednokrotnie do rodziny: teraz już mogę umrzeć spokojnie...

Oto jest krótki rys płodnej działalności ś. p. Jeziorańskiego. Pozostawił po sobie trwały pomnik, który sam sobie wystawił, złożywszy w dziełach swych dowód głębokiej wiedzy i wybornej znajomości przedmiotu, o którym pisał. Nazwisko jego zapomnianem już być nie może, przejdzie ono do potomności, jako nazwisko zasłużonego w piśmiennictwie polskiem prawnika.

Ale obraz ten nie jest jeszcze zupełnym.

Gdy rozpoczęto wydawnictwo Wielkiej Encyklopedji Powszechnej Ilustrowanej, Jeziorański został zaproszony do komitetu w charakterze redaktora działu prawnego z zakresu prawa cywilnego i procedury. Wiele też znajdujemy tam jego artykułów w początkowych zeszytach, obejmujących litery A i B.

Należał również Jeziorański przez pewien czas do wydziału prawnego Towarzystwa dobroczynności, a wreszcie wiele lat pracy poświęcił badaniu sposobów początkowego nauczania. Owocem tej zmuśnej pracy, świadczącej o wszechstronności umysłu jego, jest wydana w roku 1894 „Poglądowa metoda nauki czytania, prowadzona jednocześnie z nauką pisanja i początkowych rachunków.“ Wielce pochlebna opinja, jaką wyraził o tej pracy Jan Karłowicz, który list swój do autora zakończył słowami — „stworzyłeś pan podręcznik, który wiele czasu wysiłków i lez dziecięcych oszczędzi. Niech panu za to będzie zapłatą cześć i wdzięczność tych wszystkich, którzy pragną

światła i postępu i wierzą w możność i konieczność stałego doskonalenia się wiedzy i ludzkości“ — świadczy, iż i na tem polu — zdawało by się obcem mu zupełnie — ś. p. Jeziorański doszedł swą niezmordowaną pracą do zdumiewających rezultatów.

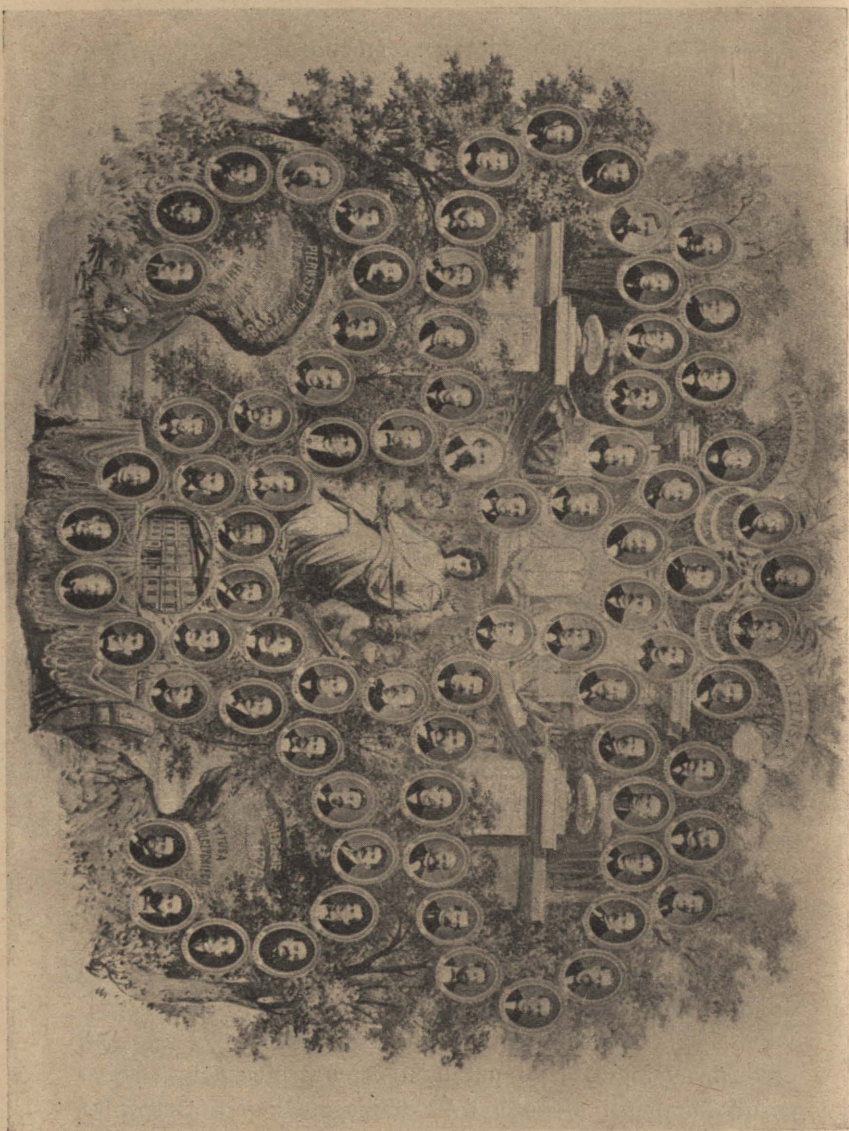
Poświęcał się pracom literackim, z dziedziny literatury pięknej, sędziwy prezydujący Wydziału I Antoni Szabrański.

W Numerze 882 Tomu XXXIV Czasopisma *Kłósy*, poświęciłem w r. 1882 zacnemu temu mężowi wspomnienie pozgonne, które tutaj w streszczeniu podaję.

Próżno-by nam w Niesieckim lub Paprockim szukać drzewa genealogicznego protoplastów Szabrańskiego. Urodził się w początku bieżącego wieku w Łowiczu. Krewni jego dotychczas w tych okolicach pod odmiennem znani są nazwiskiem. Po ukończeniu szkół w Kaliszu, przeszedł na wydział prawny b. uniwersytetu królewskiego i ze stopniem Magistra prawa wyjechał do Wrocławia na dalsze studia. Jeszcze na uniwersytecie będąc, wiódł Szabrański wierszowany spór z Brunonem hr. Kicińskim. Powodem polemiki miały być uprzedzenia rodowe. Pierwszy zbiorek utworów rymowanych Szabrańskiego bezimiennie ukazał się we Wrocławiu w roku 1826, wydany nawet bez wiedzy autora przez jego kolegów szkolnych. Obejmował on tak popularne w romantycznej owej epoce *ballady* i poemat komiczny pod tyt.: *Wasy*.

Po wybuchu powstania Listopadowego, wstąpił Szabrański do 1-go pułku strzelców pieszych, lecz całej kampanii nie odbył. Cofając się z pod Ostrołęki,

OSTATNI SKŁAD SĄDU APPELACYJNEGO KRÓLESTWA POLSKIEGO.



ranionym został w okolicach Bolimowa i leczył się w pułku.

Po wzięciu Warszawy, wyjechał na guwernerkę do miasteczka Kikoła, gdzie lat kilka spędził, bawiąc się naprzemian lekturą i poetyckimi produkcjami.

Następnie, wróciwszy do Warszawy, otrzymał posadę na linii sądowo-administracyjnej w b. Kom. Rz. Sprawiedliwości. W pismach zbiorowych „Jutrzenka“ i „Alleluja“ drukował drobniejsze utwory. W czasach ogólnej literackiej posuchy, podjął się wydawnictwa pisma perjodycznego pod tyt.: *Panorama literatury polskiej i zagranicznej*. Przekłady „Ifigenii“ i „Fausta“ Goethego przeznaczył dla tego pisma, którego sześć jedynie zeszytów ukazało się w druku. Jednocześnie powołano Szabrańskiego do redaktorstwa *Dziennika Powszechnego*. Artykuły, podznaczone nazwą *Mruka*, były płodami jego pióra.

Kiedy po roku 1840 ogólna w umysłowości krajowej nastąpiła cisza, przerywana rzadkimi odgłosami pojawiających się talentów powieściopisarskich, d. 12 Września 1840 r. zebrało się grono miłośników literatury poważniejszej, złożone z Michała Balińskiego, Aleksandra i Adolfa Kurtzów, Leona hr. Łubieńskiego, Wincentego Majewskiego, Leona Potockiego, Aleksandra Tyszyńskiego, Wójcickiego i Antoniego Szabrańskiego, w zamiarze założenia pisma miesięcznego, o literacko-naukowej treści.

Tym sposobem powstała *Biblioteka Warszawska*, a jej pierwszym redaktorem został Szabrański.

Pismo to pierwsze przyjęło za zasadę placenie honorarjów autorem i drukowanie osobno, własnym nakładem, prac ważniejszych. Redakcja podzieliła się

na wydziały: filozoficzny, historyczny, prawa, nauk administracyjnych, literatury i przemysłu.

Redaktorstwo główne *Biblioteki* pozostawiało pod kierunkiem Szabrańskiego tylko do 1 Października 1842 r. Nawal zająć fachowych nie dozwolił mu zajmować się Biblioteką Warszawską w pożądanym zakresie.

Pozostawszy więc nadal w gronie redakcyjnym, złożył kierunek pisma w ręce towarzyszy. Gdy był Biblioteki w latach 1846 i 1848 zachwiał się, członkowie redakcji: Kurtz, Majewski i Lubieński wyjednali od Leopolda Kronenberga i Mathiasa Rosena zasiłek bezzwrotny ośmnastu tysięcy rubli, a redakcja przeszła w ręce Wójcickiego.

W r. 1862 Redakcja Biblioteki, ustanowiwszy między sobą wydziały: historyczny, literacko-filozoficzny, nauk społecznych i przyrodniczych, zamierzyła przetworzyć się w Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Napisanie odpowiedniego projektu powierzono J. I. Kraszewskiemu, Księżu J. T. Lubomirskiemu i Wincentemu Majewskiemu. W sprawie tej Szabrański bardzo żywy miał udział. Następnie, gdy w r. 1868 przerzedziły się szeregi współredaktorów Biblioteki i gdy na wniosek księcia T. Lubomirskiego wybrana została *Delegacja redakcyjna*, celem obmyślenia środków odżywienia pisma nowymi siłami, w skład tejże delegacji, oprócz Wójcickiego, Kaszewskiego i Feliksa Zielińskiego, wszedł i Szabrański.

Tu, dzieląc czas swój między zajęcia sądowe, które go do godności Sędziego Prezydującego w Wydziale Sądu Ap. Królestwa doprowadziły, a ulubione przezeń literackie prace, umiał Szabrański godnie oba te

powołania wypełniać, jednaką otaczając je pieczołowitością.

Po zwinięciu Sądu Appellacyjnego usunął się Szabrański do cichej swej pracowni, aby się już całkowicie oddać literaturze.

Potrzeba umysłowego zajęcia, trudność zresztą utrzymania się ze szczupłej emerytury, która zaledwie że na opędzenie pierwszych potrzeb własnych i niedostatnich krewnych wystarczała, zmusiły Szabrańskiego do wydobywania z teki dwóch prac niedokończonych „O literaturze niemieckiej XVIII w.“ i przekładu „Nibelungów“. Tę ostatnią zakupił p. Lewental do swej *Biblioteki arcydzieł*, pierwsza wyszła oddzielnie, lecz nierozsprzedana zalega dotychczas składy księgarskie.

Prace literackie Szabrańskiego może do potomości nie przejdą. Jego poezja, przesiąknięta wonią starzyny, sztywna i chłodna, jak żołnierz w szeregach, nie przypada już do smaku i upodobań dzisiejszego pokolenia.

Za to, na pochwałę zasług literackich Szabrańskiego podnieść należy wzorową czystość i poprawność języka, jakim pisał, i niezwykłą staranność o jasne wypowiedzanie myśli. Przy ogólnem zaniedbaniu naszego gazeciarskiego stylu i napływie wyrazów obcych do rodzimego słownika — było to może niepoślednią zasługą Szabrańskiego, że stał bacznie na placówce ojczystej mowy i strzegł jej czystości niezachwianie.

Trumnę Szabrańskiego, okoloną skromnym wieńcem, zaniósł młodzież do mogiły.

W licznym orszaku, towarzyszącym konduktowi

pogrzebowemu, mało już było głów siwych, nad któremi ongi świeciło słońce dawnych, lepszych czasów. Powoli wygasła garstka dawnych bojowników oręża i pióra. Lecz została po nich ta dobra tradycja, że umieli czuć dzielnie i pracować bez wytchnienia, do grobowej deski, dla swoich. Może taki posiew i taka tradycja bezowocnie i bez echa nie przejdą.

Z uznaniem wspomnieć należy sędziów, którzy i nauką i charakterem zasłużyli sobie na wdzięczną pamięć potomności. Należeli do nich: Edward Stummer, Edward Domaszewski, Andrzej Grobicki, Adam Kosmowski, Adam Umieniecki, Aleksander Johne, Aleksy Brzeziński, Józef Moczydłowski, Adolf Kłodziński, Jan Łazowski, Józef Ancypa, Korneli Wołowski, Justyn Kuczyński, Jan Zarucki, Teodor Wałęcki, Franciszek Sulimierski, Seweryn Żyzniewski, Józef Łokcikowski, Kajetan Mijakowski, Aleksander Zawadzki, Florjan Dąbrowski, Franciszek Garwoliński, Edmund Jałowiecki. Z prokuratorów: wynieniam tu ś.p. Aleksandra Moldenhawera Członka Tow. Naukowego Warszawskiego, wielce na polu nauki prawa karnego zasłużonego pracownika, Władysława Szczygielskiego, Juliana Zielińskiego, Bolesława Borzęckiego, Wiktora Piątkowskiego, Mieczysława Dębskiego, Ignacego Zabkrzeckiego i Stanisława Newelskiego.

Pisarzem Sądu Appellacyjnego był Antoni Werner. Gruppowali się około niego zdolni młodzi prawnicy głośniejszego nazwiska: Adam Niemirowski, Tytus Chyliczkowski i wielkiej nauki oraz obywatelskich dążeń—Władysław Andrychiewicz.

Wielu z wyżej wymienionych po reorganizacji

sądownictwa zajęło stanowiska odpowiedzialne w sądach nowych. Niektórzy zapisali się zaszczytnie w rocznikach naukowości rodzimej i wdzięczna się im pamięć należy.



XXVI.

Armia niedobitków — Pan Franciszek Krakowski. — Jego wilgotne obrony i suche repliki.

Przejdźmy obecnie do nowej galerji palestrantów, która w Trybunale Cywilnym miała dla swych popisów, niezawsze krasomówczych, odpowiednią arenę.

Bogatą była owa galerja patronów dawnego autoramentu, co to zewnętrznym wyglądem, wymową i zachowywaniem się wobec klienteli i sądu, żywo przypominali znane już tylko z tradycji typy.

Choć owa tradycja palestrancka niższej kategorii bynajmniej świetną nie była, choć wszystkie pamiętniki opisujące dawną palestrę, z przekazem wspominają o fortelach i sprawkach patronów starej daty, jednakże trudno jest dziś oprzeć się zajęciu, jakie budzi ów stan, który okazywał w dobrych i złych przejawach niezaprzeczone piętno oryginalności, i mimo odmiennych warunków bytowania, umiał zachować animusz i swadę w sposobie przemawiania do sądu, w systemacie zaś obrony — pomysłowość i zręczność niezaprzeczoną.

Już sama postawa maruderów dawnej palestranciej armii odskakiwała od powszechnego tła piewiastków napływowych, młodszych. Z biegiem czasu wielu bardzo patronów owego dawnego typu przeszło do instacji wyższych i opróżniło szeregi trybunalskie. Pozostało jednak za czasów, o jakich tu mowa, sporo jeszcze palestrantów typowych, i młode pokolenie wstępujące dopiero na pole zapasów kratkowych miało przed oczyma resztki tradycji trybunalskiej, z jej zaletami i wadami, naprządzającemi się Hogarthowskiego ołówka, pióra Wilkońskiego, lub, w ostatecznym razie, malarza takiej siły, jaką miał Rzewuski w „*Pamiętnikach starego szlachcica*“ aby dosadnemi rysami odwzorować choćby kilka wybitniejszych tej kategorii okazów.



FRANCISZEK KRAKOWSKI.
Patron.

Oto jeden z owych niedobitków przesuwa się właśnie między rzeszą ciekawych, zalegającą przedsiónek trybunału.

Górując wzrostem i niezwykłą tuszą nad otoczeniem, imci pan Franciszek Krakowski z wyżyn pogardy opuszcza wzrok na rzesze młodych patronów, uwijające się po sali trybunału. Kolosalny żywot spowity w szarą kamizelkę, połączoną trwale z dalszym ciągiem szerokiego ubrania, nie pozwala mu nawet sięgać wzrokiem w stronę owych liliputów obroń-

czych. Dla pana Franciszka istnieje tylko sędzia prezydujący i pan pisarz trybunału, który motywa wyroku redaguje. Do nich tylko przemawia pan Franciszek. Źle mówię! Pan Krakowski nie uważa za właściwe zwracać się do sądu z przemową. On tylko czyta to, co napisał własnoręcznie i podkreślił czerwonymi linijkami; a po każdym odczytany ustępie zwraca na sąd wejrzenie baczne i przenikliwe, jak gdyby chciał sprawdzić, czy podkreślony czerwono ustęp sprawił na panu pisarzu Zgórskim wrażenie; poczem znowu opuszcza oczy na arkusz papieru, i miarowym, stentorowym głosem czyta dalej.

Czytanie to nie idzie panu Franciszkowi łatwo. Myśli jego, wyprzedzając głos, jednocześnie ospałe wargi ust i język w tak ścisłą spójnię, że dźwięki czytanego głosu obrończego nikną w powodzi ślin wydzielanych przez mówcę i zmuszają antagonistę do użycia parasola — w formie chustki ochronnej... Trzymają się też antagoniści w poważnem od mówcy oddaleniu, — i dopiero gdy pan Franciszek, po skończeniu tego rodzaju wilgotnej oracji, precyzyjnie się z trudnością przez przestrzeń ławki obrończej i balustrady, zstępuje na niziny podłogi sądowej i jeszcze na odchodnem woła: „Koszta z artykułu setnego trzydziestego kodeksu postępowania sądowego, stronie wygrywającej od strony przegrywającej zasadzeniu ulegają!“ wtedy dopiero adwersarz ma możność w suchej replice praw swoich bronić przed napaścią tak groźnego oratora...

Odchodzi też pan Franciszek od kratki dumny

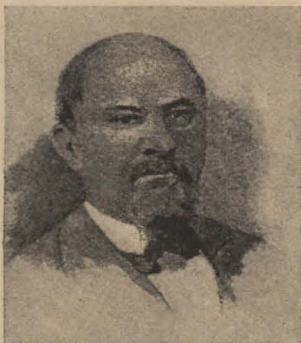
i wyniosły, gdyż sądzi, że argumentem końcowym zmiażdżył do szczeru swego przeciwnika, i wraca do przysionka trybunału, wśród którego obrzękła twarz jego i piętrowy podbródek świecą, jak księżyc, na tle chmur szarych i nikłych...



XXVII.

Nieźrównany pan Konstanty i jego tête à tête.—Obrona z chórem greckim. — Kto ma prawo apelować?

Po flegmatycznym panu Krakowskim, kolej na sangwinicznego i rzutkiego imię pana patrona Konstantego Grzybowskiego. Typ to odmienny i oryginalny; rzekłbyś, figurka wykrojona z kartonu osławionej palestry z czasów saskich... Krępy, czarny, niski, z łbem ostrzyżonym, a mimo to jeżącym się sterczącymi jak szczotka włosami, czuje się imię pan Konstanty przed kratką we właściwym sobie żywiole... Rzuca przed siebie krótkie, a zjadliwe frazesy; miota na przeciwnika gradem inwektyw, szydząc z jego obrony, a wszystko to odbywa się na tle arcywesolego, istic kawalerskiego opo-



KONSTANTY GRZIBOWSKI,
Patron.

wiadania, jakby oracji przysłuchiwał się żądny wrażeń podsędek i pobudzał mówcę do ustawicznej wesołości.

Wiecznie zaaferowany, kręcący się jak mysz w ukropie, nie miał Konstanty czasu do głębszych studjów prawniczych. Dla niego—proces sądowy to tablica szachów. Wysunie partner laufra, pan Konstanty konikiem zabiega mu drogę i do odwrotu zmusza. Podstawi przeciwnik pionka, pan Konstanty wieżą z trudności się wykreca. Zawsze czujny i sprytny, igra ze swoim przeciwnikiem, jak z myszą, a gdy droga do salwowania się ucieczką zamknięta, zjawia się nagle opozycja trzeciego pomysłu pana Konstantego i cała egzekucja na nic. Gdzie nie pomagają argumenta prawne, tam zręczny fortel staje w odwodzie i, udaremnia napad antagonisty. A jakaż to encyklopedia wyrazów zasłyszanych gdzieś w rozmowie na mieście, lub przy kieliszku! Jaki przepych cytat, mających pretensję do francuzeczyzny!

— „Pomieniały się strony między sobą — woła w zapale mówca.—Ta dała siekierkę, owa kijek i basta! Zamiana łeb na łeb! *Tête à tête!* I czegoż tu nas ciągnąć przed kratkę? Jeśli kobyła istotnie była ślepą, toć należało jej przedtem dać do czytania *Reviu de demą*. A jeśli się okazała kulawą, to należałoby dowieść, że nią była od urodzenia, w żywocie matki. Teraz, panie dobrodzieju za późno! *Tête à tête* i basta!...”

Pan Konstanty — to obrońca i opiekun pocziwych i naiwnych kmiotków. Wierzą w niego, jak w swoje kieszeń, towarzyszą mu nieustannie, w sądzie, na mieście, w gabinecie, radzą się go we wszystkim. Czasami ułatwia im pan Konstanty zachody

i sam do nich zjeżdża na jarmark. Sadowi się w pobliskiej karczynie i udziela audjencji kmiotkom. Wiedzą już o przyjeździe pana Konstantego siermiężni klienci. Tłumnie gromadzą się z papierami i woreczkami śrybnych rubli, starannie wypolerowanych i lśniących. Odbywa się narada, obmyśla się plan działania, gromadzą dowody i świadkowie.

Działając na wyobraźnię kmiotków, pan Konstanty rozdaje im różnokolorowe bilety wizytowe, z adresem swoim. Najlepiej płacący—otrzymują bilety czerwone; mniej dobrzy płatnicy — zielone; zaś najtańsi klienci—otrzymują za karę żółte bilety... Gdy w jednej i tej samej sprawie „o grońta“ pan Konstanty kilku swoim klientom rozdał różnokolorowe kartki, a posiadacz zielonego biletu skarżył się, że jego sąsiad otrzymał bilet czerwony:

— Głupis! — huknął pan Konstanty. — Twój sąsiad zapłacił lepiej, więc będzie broniony według koloru. Dopłaćcie i wy do swego biletu, a będziecie również czerwono t. j. ogniecie bronieni...

I kmiotek dobywa z kalety grosiwa, i cieszy się, że również posiada cenny talizman—bilet czerwony...

Ileokroć sprawa o tak zwane „grońta“ agituje się przed trybunałem, otacza Grzybowskiego zastęp pocziwych kmiotków. Wiedzą oni, że gdy pan Konstanty za plecami da znak umówiony ręką, należy gremjalnie buchnąć głośnym płaczem i lamentem...

Słuchają też i wyczekują posłuszni kmiotkowie tej komendy. Sala sądowa zmienia się naówczas w dolinę łez i dolegliwości człeczego rodu.

Lecz nawet, gdy się i owa sztuka nie udaje, a „grońt“ z wyroku trybunału zostaje przy „somsie-

dzie“, nie rozpacza pan Grzybowski i pobudza do nadziei zwątpiałe serca poczciwych kmiotków.

— „Czego płaczeta?—woła oburzony.—Abożeśta co przegrali? Patrzta! — Sąd wpis zatwierdził, najwyraźniej zatwierdził! Komu zostawił prawo do apelacji? Czy sąsiadowi waszemu? Nie! Wy tylko mata prawo apelować i apelować musicie, bo takie jest prawo, a prawa słuchać należy! Jedźta do domu, a ja już wam doniosę, kiedy na wpis nowe fundusze przysłać macie. Uszy do góry!!“

Parę jeszcze przykładów jowjałości p. Grzybowskiego.

Antagonista p. Konstantego przedstawia jako dowód—*nieprawomocny* wyrok Trybunału, w tymże wydziale ferowany. Pan Konstanty wyjaśnia, że na tak kruchej podstawie, jak wyrok nieprawomocny, nie można budować, wykrzykuje tedy z patosem: „Już wyrokowi wysokiego Trybunału Sąd Najjaśniejszy rygor tymczasowej wykonalności odjął, a niewiadomo jeszcze co będzie, kiedy *w chłód* pójdziemy“ (chłód sc. Senat—od strony północnej).

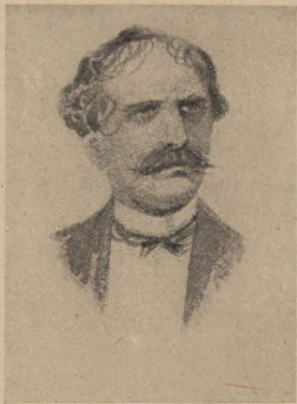
Odpierając ekscepcję wierzyciela, który podług obrachunku p. Konstantego, powinien był być uznany za zaspokojonego, tak zakończył swój głos: „Co wzięte — święte, co zapłacone — błogosławione! Wzięłeś kapitał, nałykałeś się procentów — odpływaj!!



XXVIII.

Pan patron Kowalski. — Odrzucenie opozycji. — Walka pokusy z obowiązkiem. — Sprawa dziwnie wnioskowa.

Podczas gdy pod wpływem tak przekonywających argumentów klientki panna Konstantego nowym się krzepią animuszem i widzą niezawodną tym razem wygraną w apelacji; w przed-sionku trybunału inna roz-grywa się scena. Niziutki a krępy i przysadzisty torbi-fer Majewski, prawie prze-mocą ciągnie do kratki imię pana patrona Kowalskiego, gdyż właśnie nadarza się spo-sobność „odrzucenia opozy-cji“ jakiemuś młodziutkiemu patronowi, jednemu z kate-



EDWARD KOWALSKI,
Patron.

gorji świeżo upieczonych adherentów palestry, których tak serdecznie nie lubi pan Edward. Widocznie jednak

nie natrafił pan Majewski na dobry humor pryncypała, gdyż ten mruczy ospale jakieś niezrozumiałe wyrazy, i stara się ująć natarczywości przytrzymującego go za poły torbifera.

O tej właśnie porze odbywa się walna sesja w „piątym wydziale“ i, prawdopodobnie już kolega, mości dobrodzieju, niecierpliwi się z powodu braku kompletu... Nie stawić się do apelu byłoby ubliżeniem panu Franciszkowi, a tu, pan Majewski, zobligowany widocznie przez klienta, nie pozwala panu Edwardowi ruszyć się z miejsca i daje znak imci panu Krasnodębskiemu, by raz jeszcze nazwisko pryncypała do kratki przywołał. *Nolens, volens*, ulega nareszcie pan Edward przymusowi, i leniwym krokiem posuwa się do trybuny obrończej. Stanąwszy przed kratką, ospale i półgębkiem odczytuje pan Edward komparycję i kontestację; nagle jednak ożywia się i wymownymi argumentami zaczyna gromić swego nieobecnego przeciwnika za działanie „na zwłokę“, i kończy inwokacją o skazanie oponenta na „przyzwoite kosza“. Obecność pana Majewskiego przy takim „odrzucaaniu opozycji“ jest nie raz konieczną, gdyż zdarza się, że pan Edward w ferworze sam swoją własną odrzuca opozycję i skazuje się na „przyzwoite“ kosza...

Lecz to są wypadki wyjątkowe, gdyż, ogólnie biorąc, nie zawsze pan Edward jest do tyła roztargniony i „wzruszony“, aby nie wiedział, co czynić należy. Owszem, w większości wypadków, pan Edward należy do bardzo niebezpiecznych, szczególnie dla młodej generacji, przeciwników. Umie on jej zalać za skórę, i takimi ją praży dosadnymi argumentami, że częstokroć obrona staje się wprost niemożliwą. Widok młodzie-

niaszka przy kratce podsyca pana Edwarda do wybuchów zgryźliwości i złego humoru.

— Sprawa nie jest przygotowaną do sądenia—zarzuca pan Edward na wstępie do obrony.

— Jakiż powód? — pyta prezydujący.

— Brak wniosków prokuratora—odpowiada pan Edward.

— Sprawa nie jest wnioskową — objaśnia prezydujący.



KAJETAN WAŁOWSKI,
Patron.

— Ze względu na nieletniość obrońcy przeciwnika, uważam obecność urzędu publicznego za konieczną—odpowiada ze zgryźliwym uśmiechem p. Edward.

Odpowiedź ta ściąga nań przywołanie do porządku.

Młody przeciwnik, Kowalskiego, istotnie bardzo młodzieńczego wyglądu, przyjmuje za dobrą monetę żarcik swego kolegi, gdyż wie, że to tylko wybryk do-

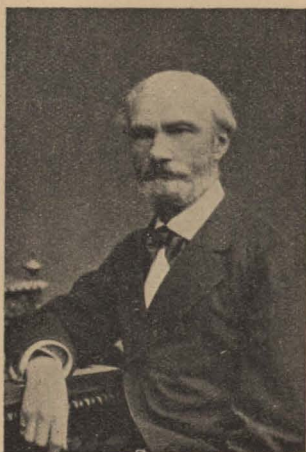
brego, lub złego, humoru pana Edwarda, nie zaś chęć szykany.

Nie zawsze jednak występy patrona Kowalskiego cechowały się tego rodzaju lakonicznymi dogryzkami. Są chwile, gdy pod wpływem szlachetnego oburzenia wewnętrznego, zaspany wzrok pana Edwarda zapala się płomieniem namietności. Narzucone na czoło rzadkie włosy, kołyszą się niespokojnie, potrząsane ruchami głowy, potoki wymowy leją się na sąd i przeciwnika,

nie powstrzymywane względami dla losu niewypłacalnego dłużnika. Ironja, sarkazm, namiętność, wprawiają w ruch pięści pana Edwarda, odbijając się głuchem echem na pulpicie obrończej trybuny. Każdy argument znajduje oddźwięk w silnem uderzeniu zaciśniętej pięści o kratkę, i dopiero gdy taka bolesna amunicja jest wyczerpana, następują pogardliwe apostrofy, miotane w stronę antagonisty, i koń-



JAN GADZIŃSKI,
Patron.



KONSTANTY CHOJNOWSKI,
Patron.

czą się zwykłą inwokacją—o bezwzględne zastosowanie art. 130 procedury.

Niezaprzeczony talent obrońcy pana Edwarda ujawniał się częstokroć w ważniejszych sprawach siłą argumentacji i niepoślednią swadą, która ściągała do krutek trybunału liczne grono ciekawych i jednała mówcy liczną klientelę.

Należałoby jeszcze przesunąć przed oczyma czytelnika kalejdoskop złożony z oryginałów niepośledniej miary; przedstawić np. takiego pana Muszalskiego,

który obdarzony siwą czupryną zjawiał się kiedy niekiedy z czarną jak atrament głowicą; takiego pana



JAN SZYMANOWSKI,
Patron.

Wawrzyńca Szablowskiego, specjalistę od spraw zaocznych, rewersowych, nieprzejednanego wroga młodszej generacji patronów; takiego poczciwego pana Jana Gadzińskiego, któremu rok rocznie nieba zsyłały bliźniaków, a czasami nawet i trojaczki, lecz niebożęta owe w niczem do zwiększenia praktyki obrończej swemu rodzicowi przyczynić się nie chciały; takiego pana Kajetana Wałowskiego, specjalistę od wykrywania wadliwości kontesta-



IZYDOR KARŚNICKI,
Patron.



SEWERYN KOZARZEWSKI,
Patron.

cji pozwów; takich suchych i kościstych patronów: Grzymskiego i Chojnowskiego, takiego pana Seweryna

Kozarzewskiego, który do spółki z poczciwym panem Izydorem Karśnickim tworzył nierozdzieloną dwójkę, pomagającą sobie we wszystkich trudnościach zawodu i słuchającą się wzajemnie z uwagą, tak, że gdy jednemu pamięć nie dopisywała, drugi, stojąc przy kratce, kończył rozpoczęte przez swego kolegę zdanie. Nie należał do tej kategorii pracowity, spokojny i sumien-ny Jan Szymanowski, lecz z uwagi, że liczył się do starszyny obrończej, pomieszczamy tu i jego nazwisko. Poprzestając na sylwetkach tu naszkicowanych, przejdę do innej kategorii obrońców trybunalskich.



XXIX.

Siły i środki palestry młodej. — Początek końca.

Pojawienie się grona młodszych obrońców z kategorii magistrów prawa i administracji, których w roku 1868, na jednej sesji b. komisji sprawiedliwości kilkunastu naraz zamianowano, zaniepokoiło nieco szeregi starej trybunalskiej palestry.

Nowy element wniósł do korporacji trybunalskiej świeże siły, chęć odznaczenia się krasomównictwem i nauką, na świeżo odbytych studjach opartą. Praktyczne stosowanie formalności proceduralnych i obycie się ze wszelkimi tak zwanymi kruczkami prawnymi, stanowiło wprawdzie wyższość palestrantów dawnego autoramentu, natomiast, to wszystko, co suchą literę prawa przyobleka jakąś aureolą umiejętności wyższej, było im obcem, dostępnem wszelako tej falandze młodych, która z ław uniwersyteckich wyniosła pewne idealniejsze porywy, czytanie się w źródłach i wyjaśnieniach prawa.

Początkowo owe wycieczki w sfery filozoficznych

pojęć o prawie i historii prawa budziły uśmiech politowania na ustach starych rębaczy, przyzwyczajonych do traktowania stosunków życia ze stanowiska tak zwanego chłopskiego rozumu... Powoli jednak owe dasy starego pokolenia zaczęły się uśmierzać, gdy się przekonano, że i publiczność i sąd nie odmawiają zaufania siłom młodym, stawiającym pierwsze kroki w zawodzie trudnym, lecz pięknym i pożytecznym dla ogółu.

Niechcąc dowolnem uszeregowaniem patronów młodszych ściągnąć na siebie zarzutu tendencyjnego szacowania ich stanowiska w palestrze obrończej, trzymać się będę liter alfabetu.

Rozpocznę od Juljusza Benzefa. Szczerem był żal, jaki zgon tego zacnego pracownika i gorących uczuć obywatela wywołał między kolegami. Niepospolite były zalety umysłu i serca tej skromnej, potulnej osobistości, która obdarzona niezwykłą ruchliwością obiegała za naszych czasów jednego dnia wszystkie Sądy Pokoju, Sąd Okręgowy, Izbę Sądową i Sąd Handlowy i wszędzie z jednaką energją powierzanych sobie spraw broniła. Zdawałoby się, że przy tak rozgałęzionej praktyce winien był Benzef pokaźny zostawić majątek. Tymczasem klepał biedę przez życie całe, wysługując się bezpłatnie wszystkim... Przy swoich zajęciach znajdował jeszcze czas na naukę, ślecząc nad książkami i pisząc bardzo gruntowne artykuły prawniczej treści.



JULJUSZ BENZEF,
Patron.

Na sympatyczne wspomnienie zasługują ś. p.:

Lucjan Bojański i Henryk Bruner, dobrzy koledzy i do-



LUCJAN BOJASIŃSKI,
Patron.



HENRYK BRUNER,
Patron.



HENRYK ELZENBERG,
Patron.



STANISŁAW GEPNER,
Patron.

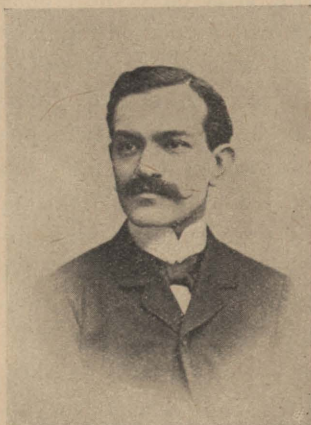
świadczeni obrońcy. Henryk Elzenberg cechował się temperamentem niezwykłym. Oprócz zawodu prawni-

czego, z umiłowaniem poświęcał się dziennikarstwu. Był jednym z założycieli *Nivy*, a następnie przeniósłszy się do Łodzi, zapoczątkował tam pismo codzienne, poważniejszej treści *Dziennik Łódzki*.

Stanisław Gepner i Wincenty Groer korzystali z praktyki rozległej. Zasłużyli na nią sumiennem pilnowaniem spraw i pracowitemi obronami. O Kazimierzu Julianie Jasińskim parokrotnie już wspominałem, z okazji festynów jubileuszowych starych mecenasów, na których występo-



WINCENTY GROER,
Patron.



KAZIM. JULJAN JASIŃSKI,
Patron.

wał zawsze ze świetnemi wierszowanemi przemowami. Z talentem poetyckim, łączył swadę iście staropolską. Wielce czytany, dobry łacinnik, znawca dziejów swego narodu, gromadził w okół siebie liczne grono słuchaczy w izbie obrończej, gdzie celował dykteryjkami, trafnie stosowanemi. Jako uczeń szkoły Andrzeja Brzezińskiego z wielkim animuszem bronił spraw w Są-

dzie i cieszył się zasłużonem uznaniem. Prawnikiem lite-

ratem, nieco niezrównoważonym, był Jan Maurycy Ka-



JAN MAURYCZY KAMIŃSKI,
Patron.



STAN. RAJM. KAMIŃSKI,
Patron.



JAKÓB KIRSZROT,
Patron.

miński. Miał chęci najlepsze i wymowę niepoślednią, lecz nie był wybrednym w wyborze spraw. Z równą gorliwością bronił na Litwie poszkodowanych włościan wsi Kroże i z taką gorliwością bronił sprzedajnego funkcjonariusza policyjnego... Zbyt wcześnie zeszedł z pola adwokatury. Takim patronem literatem byli Rajmund Stanisław Kamiński. Zdolnościami wybitnymi nie cechował się, lecz zyskał swego czasu rozgłos, pięknem opracowaniem kores-

pondencji Zygmunta Krasińskiego z panią Bobrową.

Zdolniejszym nierównie od brata swego, adwoka-



JÓZEF KLECZKOWSKI,
Patron.



WIKTOR KRONENBERG,
Patron.

ta Józefa, był Jakób Kirsztrot. Przy kratce wymowny, argumentował doskonale i wychodził często zwycięsko ze spraw najzawilszych.

Cichego usposobienia, patron Józef Kleczkowski, syn mecenasa, nie zaznał się, jak i ojciec jego, wybitniejszymi zdolnościami.

Wiktor Kronenberg krótko bawił w adwokaturze. Zajął następnie stanowisko Członka Sądu Okręgowego, gdzie celował uważnem i

bezstronnem rozważaniem spraw. Miły w obejściu, wielce towarzyski, cieszył się sympatją kolegów.



PIOTR KURMANOWICZ,
Patron.

Głośnień ostatniemi czasy stało się nazwisko Piotra Kurmanowicza, który jako notariusz trzymając się dosłownie litery kodeksu, naraził się osobiście i swoją karierę.

Wdzięczną pamięć dla osobistych i zawodowych zalet swoich pozostawił po sobie ś. p. Emil Marx. Doskonały mówca, sumienny prawnik, zbyt niestety wczesnie osierocił adwokaturę.

Autor niniejszych wspomnień zawdzięcza ś. p. Emilowi niezapomniane chwile. Szliśmy przez życie od ławy gimnazjalnej, jednakiemi ożywieni idealami. Ujmującej powierzchowności, zawsze wesóły, szermujący dowcipnemi spostrzeżeniami, był ś. p. Emil duszą towarzyskich zebrań, które umiłował świetną grą na fortepianie. Wiernym był ś. p. Emil ideałowi koleżeństwa bezgranicznie. Po ukończeniu Gimnazjum Realnego w roku 1861, gdy maturzyści owego najświetniejszego w kraju zakładu naukowego w licz-



EMIL MARX,
Patron.

bie kilkudziesięciu utworzyli między sobą kasę koleżeńską, by przychodzić jej składkowemi funduszami w razie potrzeby z pomocą uboższym kolegom, pełnił ś. p. Marx obowiązki kustosa owej kasy przez ciąg lat prawie czterdziestu kilku. Utrzymywał ścisłą kontrolę pobytu kolegów, których losy zapędziły, za morza nawet. Zwolywał kolegów na doroczne zjazdy, przedstawiał sprawozdania z kariery życiowej kolegów, wygłaszał serdeczne mowy nawołując do koleżeństwa.

Niestety, z chwilą jego zgonu, pozostała z licznego grona maturzystów zaledwie garstka... Błądząc wspomnieniami po owym cmentarzysku przeszłości z rozrzewnieniem odtwarzam sobie tę zacną, serdeczną, ożywioną humorem i obywatelskimi ideałami postać ś. p. Emila i żal mi serce ściska, że już go między nami niema. Była to najsympatyczniejsza dusza w gronie naszym. Żyliśmy bratersko z Emilem i kolegą od lat najmłodszych, Janem Normarkiem b. Rejentem, więc



STAN. MAKOWSKI,
Patron.



WŁAD. MAŁKOWSKI,
Patron.

nie dziw, że w tej chwili tem boleśniej utratę owych zacnych kolegów lat młodocianych odczuwam.

O koledze patronie Stanisławie Makowskim to tylko nadmienić można, że nie długo gościł w Trybunale. Obdarzony pięknymi kruczo-czarnymi bokobrodami i niemniej czarnymi, namiętnymi oczyma, rozkochał w sobie piękną, bogatą angelkę i przeniósł lary i penaty do Wielkiej Brytanji, gdzie wstąpił do wielkiego zakładu przemysłowego i

tam się znacznej dorobił fortuny.

Pięknej powierzchowności patron Władysław Małkowski, szambelan dworu, synowiec ostatniego Dyrektora Komisji Sprawiedliwości, Senatora Małkowskiego, któremu przypadła ciężka rola grabarza dawnego sądownictwa, również krótko bawił w advokaturze. Po objęciu posady podprokuratora przeniósł się na rejenturę do Częstochowy, gdzie gorliwie sprawom społecznym się poświęcał. Zeszedł młodo z tego świata.



KAZIMIERZ MEYER,
Patron.

Zdolnym prawnikiem był Kazimierz Meyer. Zostawił w literaturze prawniczej rozprawę o dzierżawach wieczysto - czynszowych.

Mniej wybitnym jako prawnik, lecz wielkich zasług w dziedzinie prac społecznych i literackich, był nieodżałowanej pamięci kolega Leopold Meyet. Testament jaki po sobie pozostawił, w którym cały majątek zapisał na utworzenie fundacji wieczystej oświatowej, zbiory zaś cenne rękopisów, sztychów i pamiątek po Mickiewiczu, Krasińskim, Słowackim, Orzeszkowej i Konopnickiej — Muzeum miejskiemu i miastu Warszawie, jest najpięk-



LEOPOLD MEYET,
Patron.

niejszem świadectwem podniosłości uczuć owego cichego, skromnego, gołębiego serca człowieka i obywatela.

Mało się zajęciom krótkowym udzielając, pracował nad teorią prawa i wiele artykułów drukował w *Encyklopedji handlowej*. Trwalszym pomnikiem literackim po Meyecie pozostała jego *listy Słowackiego do matki*, w całości dotąd nie wydane.

Postać to w całym tego razu znaczeniu wyjątkowo



ZYGM. MIEROSŁAWSKI,
Patron.

szlachetna i godna trwalej w sercu społeczeństwa pamięci.

Chlubnie się zaznaczył w działalności obywatelskiej Zygmunt Mierosławski. Był gorliwym zbieraczem pamiątek narodowych. Pozostawił po sobie doborową bibliotekę dzieł historycznych i prawnych, wcieloną do zbiorów publicznych.

Patron Wiktor Ostrowski, kolega jowialny i mile w gronie obrońców widziany, był jednym z założycieli czasopisma „Kłosy“.



WIKTOR OSTROWSKI,
Patron.

Antoni Osuchowski, krótko bawił na linji obrończej. Był następnie członkiem Trybunału. Wielkie



ANTONI OSUCHOWSKI,
Patron.



WŁODZ. POWICHROWSKI,
Patron.

zasługi jakie położył na polu działalności społecznej, krzewiąc polskość w dzielnicach odleglejszych b. Rzpłitej, uczyniły Osuchowskiego jedną z najwybitniejszych postaci narodowych.



ALEKS. PLUDRZYŃSKI,
Patron.

Dobre po sobie wspomnienie pozostawił jako sumienny obrońca i pracownik Aleksander Pludrzyński.

Włodzimierz Powichrowski odznaczał się gruntowną znajomością prawa hipotecznego. Wymowny i jasny w obronach przed kratką, cieszył się rozległą praktyką, a zaletami osobistymi zjednał sobie ogólną sympatję.

Zdolnym jako obrońca był Maksymilian Poznań-

ski. W towarzyskich stosunkach uprzejmy i usłużny, przed kratką dawał folgę wybuchom temperamentu, choć



MAKS. POZNAŃSKI,
Patron.



KAROL ROSSO,
Patron.



STANISŁAW PRÓCHNIK,
Patron.



JULIAN RAUSZER,
Patron

do kratki zwykle nie bardzo się kwapił, był bowiem zwolennikiem—odroczeń terminów...

Do pożytecznych pracowników zaliczano: Stanisława Próchnika, Juljana Rauszera i Karola Rosso. Władysław Rytel należał do grona młodszych kolegów. Wyróżniał się swadą, z jaką wprowadzając sprawy, zbierał w dziedzinie faktów historycznych, czasami niezbyt trafnie stosowanych.



WŁADYSŁAW RYTEL.
Patron.

Patron Ludwik Skrzyński nie zaznaczył się wybitnymi zdolnościami.

Jan Skurzyński więcej się zajmował omawianiem spraw publicznych, aniżeli kwestjami prawnymi, dla których nie miał szczególnego nabożeństwa.

Antytezą jego w tej mierze był Szymon Sonnenberg, oddany w zupełności fachowemu zawodowi. Dobry prawnik, cechował się przy kratce bezwzględnością dla przeciwnika. Klijent Sonnenberga był jakoby zawsze białym barankiem, przeciwnik zaś — tygrysem, hjeną i wyrzutkiem społeczeństwa...

Spokojnym i zrównoważonym poglądem na sprawę odznaczały się obrony wygłaszane przed kratką przez Artura Szaniawskiego, Józefa Szlązkowskiego i Ścisława Śrzednickiego.

O ile Wiktor Szrajer zapełniał salę sądową tu-



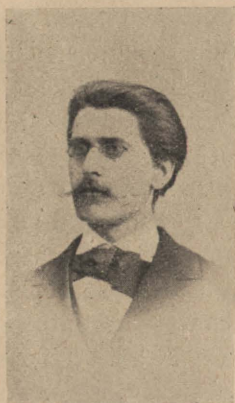
LUDWIK SKRZYŃSKI.
Patron.



JAN SKURZYŃSKI.
Patron.



SZYMON SONNENBERG.
Patron.



ARTUR SZANIAWSKI.
Patron.



JÓZEF SZŁĄZKOWSKI.
Patron.

balnym głosem, wygłaszając z patosem najwyklesze zdania, o tyle wykład Józefa Szwarcenberga



ŚCISŁAW ŚRZEDNICKI.
Patron.



JÓZEF SZWARCLENBERG.
Patron.



WIKTOR SZREYER.
Patron.

cechował się spokojem i powagą.

Ksawery Tatarkiewicz chlubił się wyróżniał talentem obrończym i wszechstronnem wykształceniem. Pozostawił po sobie kilka prac piśmienniczych, drukowanych w czasopiśmie *Kłosy*. Celował gruntownym znawstwem prawa hipotecznego.

Taż gruntowna znajomość hipoteki przyznawaną była Julianowi Tyszcze. Uważano go za powagę w układaniu planów klasyfikacyjnych.

Niemniejszym uznaniem wśród kolegów i sądu cieszył się patron Stanisław Wierzbicki.



KSAWERY TATARKIEWICZ.
Patron.



LUCJAN WROTNOWSKI.
Patron.

Zapowiadał więcej, aniżeli dotrzymał—Lucjan Wrotnowski. Rozpocząwszy zawód od pracy piśmienniczej w materji prawa międzynarodowego cywilnego, rychło porzucił teorię dla zajęć praktycznych, które się niefortunnie zakończyły.

Kazimierz Zalewski, syn mecenasa Stanisława, mało się udzielał i sądowi i prawu. Pociągały go deski teatralne, do których też się garnał, dzięki talentowi twórczemu i krytycznemu.



JULIAN TYSZKA.
Patron.

Franciszek Zieliński, syn mecenasa Dominika,

rzadko również stawał u kratki sądowej, Natomiast był cenionym jako konferent w trudnych sprawach zawodowych i pożądanym w gronie kolegów towarzyszy,



STAN. WIERZBICKI.
Patron.



GUSTAW ŻURKOWSKI.
Patron.



KAZIMIERZ ZALEWSKI.
Patron.



FRANCISZEK ZIELIŃSKI.
Patron.

szermując dowcipem i trafnymi spostrzeżeniami. Obywatel gorliwy, interesował się żywo sprawami publicznymi.



PIERWSZA REDAKCJA GAZETY SADOWEJ WARSZAWSKIEJ.

Okolski. Machczyński. Wierchlejski. Krajewski. Kasznica. Pełowski. Kraushar. Szymanowski.
Kirsztot. Krysiński. Nowakowski. Jeziorański. Miklaszewski. Flamm. Szukowski. Dunin.

Gustaw Żurkowski, wychowaniec uniwersytetów francuskich, cieszył się szczerą sympatją kolegów. Śmierć zbyt wczesnie przecięła pasmo jego młodego żywota.

*

*

*

W pobieżnych sylwetkach obrońców Trybunałskich, prawdopodobnie opuściłem niektórych kolegów. Może będzie usprawiedliwieniem mojem okoliczność, iż o tych tylko mogłem słów kilka nadmienić, których wizerunki we własnym posiadałem zbiorze.

Dla uzupełnienia zastępu patronów, uważam za właściwe podać tu przynajmniej ich nazwiska.

Do patronów trybunałskich w ostatnich latach przed rokiem 1876 należeli, oprócz wyżej wymienionych: Glazer Hipolit, Grajner Franciszek, Piędzicki Ignacy, Szuranowski Tomasz, Stabrowski Józef. Wysocki Tomasz (świetny mówca), Hryniewiecki Julian, Strasburger Roman, Wejchert Edmund (działacz polityczny i publicysta), Eryk Jachowicz (dziennikarz), Markusfeld Artur, Waryłkiewicz Stanisław, Koszarski Przemysław, Grodziński Edward, Sorgenstein Saul, Cohn Adolf Jakób (literat), Preiss Alfons (osobistość wybitna jako obywatel i prawnik), Chmielewski Seweryn, Newelski Ignacy, Kozanecki Bronisław, Englisz Fulgenty, Wilman Julian, Rotwand Leon Aloizy, Sokołowski Wiktor, Przyrembel Bronisław (b. redaktor *Opiekuna domowego*), Goldszmidt Józef (literat), Bielicki Wincenty, Pinowski Felix, Smoleński Ksawery, Chrołowski Kazimierz, Goldman Emil, Kwiatkowski Józef, Portner Apolinary, Plebiński Edmund (ekono-

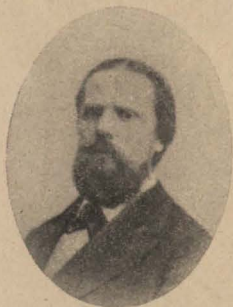
mista), Ochimowski Felix (gruntowny prawnik i publicysta), Więckowski Romuald, Bem Juljusz (literat), Klochowicz Jan (literat), Buczkowski Maciej, Miciński Cezary, Czarnowski Stanisław (publicysta), Sunderland Seweryn, Leśkiewicz Olimp, Frenkel Maurycy, Skupiewski Józef, Jurzyński, Schönman Juljan, Szumański Wiktor (niepospolitych zalet jako człowiek i prawnik), Henryk Turowski.



XXX.

Kurulne krzesła. — Trybunał. — Sąd appellacyjny. — Senat.

Po przejściu do sądu appellacyjnego zasłużonego prezesa trybunału. Tytusa Polczyckiego, godność zwierzchnika tej instytucji piastował za czasów moich — prezes Michał Rogoziński, który, początkowo, jako dygnitarz w wyższych dekanatach administracyjnych i współredaktor cennego *„Zbioru praw administracyjnych Królestwa,”* przeszedł następnie na linię sądową i był Prezesem Departamentu Izby Sądowej. Za prezydencji Rogozińskiego dopuszczono młodszych adeptów palestry do sekretarjatu trybunału w charakterze referentów podań i spraw pod osądzenie prezesa przychodzących, gdzie też mieli sposobność praktycznego obeznawania się z kółkami nadającymi bieg całej machinie sądowej. Jako urzę-



JUL. ŚWIERCZEWSKI.
Pisarz Trybunału.



SCHODY WEWNĘTRZNE SENATU.

dnik baczny i skrupulatny, wprowadził prezes Rogoziński wiele ulepszeń.

Za jego torządów ciało obrończe, staraniem gorliwych gospodarzy: Bardzkiego i Marczewskiego, zyskało dla siebie jaki taki kącik w gmachu Trybunału, gdzie się mogło zbierać i porządkować swoje akta sądowe. Jako człowiek uprzejmy, łączący ze stanowczością i rygorem urzędniczym, wielki takt w postępowaniu z sędziami, obrońcami i publicznością, zjednał sobie prezes Rogoziński uznanie władzy i zaszczytne w kole sędowników wspomnienie.



ROMAN LINOWSKI.
Pisarz Hypoteczny.

Cichym i pracowitym współpracownikiem prezesa na niższym szczeblu trybunalskiej hierarchii był pan Ludwik Grabiński, konserwator wszelkich papierów w sprawach bieżących.

Pisarzem trybunału w owym czasie był Antoni Zgórski, prawnik doświadczony, pióro świetne, krótkie, dobitne, a stanowcze. Obok niego, w równej powadze i zdolności stał p. Julian Świerczewski, człowiek arcy-dowcipny, wygłaszający bez uśmiechu trafne uwagi nad sprawą, podczas toku obrończych rozpraw.



L. JANCZEWSKI.
Prokurator.

Mniej uzdolniony, cichy i spokojny p. Franciszek Betley, godzien wspomnienia choćby z powodu motywów wyroku, które ze sprawy krótkiej — li-

browe tworzyły zeszyty... Ostrożność i dokładność posuwał p. Franciszek do tego stopnia, że zamieszczał w motywach nawet godzinę kontestacji pozwu „domownikowi pozwanego, pod niebytność samego“. Nie była czasami bez następstw taka ostrożność cytacji, gdyż za czasów moich zdarzyło się, że woźny nie-doświadczony, chcąc misję swoją spełnić należycie, zanotował w pozwie, że wezwanie doręczył „pozwanemu, na marach leżącemu, do rąk własnych samemu...“ Zdarzyło się również, że gdy akta obrończe pewnemu patronowi zaginęły, odbudował on z motywów Betleya cały szkielet sprawy.



ROŻNOWSKI.
Sędzia Prezydujący.



WIKTORYN DOBRSKI.
Sędzia Prezydujący.

Godni wspomnienia również: zacny następca Zgórskiego pisarz, Roman Linowski i p. Konstanty Łącki.

Prokuratorem, w czasach, o których tu mowa, był bardzo sumienny urzędnik p. Leonard Janczewski, lecz z uwagi na rodzaj jego urzędowania, obrońcy trybunału mało mieli z nim zetknięcia.

W kompletach sądzących, na krzesłach kurulnych, zasiadali zazwyczaj mężowie

sędziwi, w charakterze prezydujących, lecz częstsze w latach 1870—1876 wakanse tej godności, powołały i żywioł młodszy do kurulnych krzeseł; starsi zaś przenieśli się do instancji wyższych.

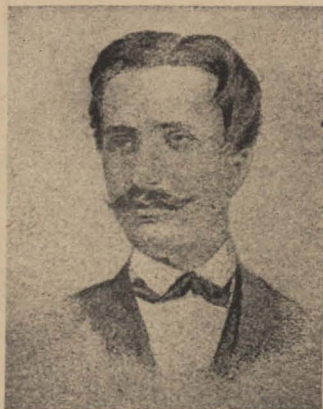


K. GRUSZECKI.
Sędzia.

W wydziale I prezydował energiczny staruszek — Rożnowski, ex-wojskowy. Znać było z jego miny i zachowania się, że był przyzwyczajony do subordynacji i żołnierskiej sprężytości. Rzadko zasiadał na krześle, lecz oparty obiema rękoma o jego krawędź, wpatrywał się bacznie w przemawiającego przed kratką obrońcę, a gdy coś

uszło jego uwagi, lub niedość jasno było wyłuszczone, przerywał obronę słowami: „*Permettez! permettez!*“ Słówko to pozostało jego przydomkiem.

Innym typem ex-wojskowego był zacny staruszek — Wiktoryn Dobrski. Nizkiego wzrostu, przygarbiony, siedział podczas rozpraw obrończych spokojnie, i w skupieniu ducha ogryzał z przyzwyczajenia paznogie. Czasami tylko sięgał po dzwonek i cichym głosem zadawał obrońcom pytania. Była to postać typowa purysty językowego i romantyka. Pan Wiktoryn pisywał wierszyki i zau-

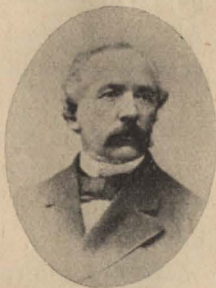


JÓZEF KARNICKI.
Sędzia Tryb.

fańszym kolegom odczytywał je w b. cukierni na rogu Czystej i Wierzbowej, gdzie zwykle przesiadywał w godzinach wieczornych i pilnie wszystkie gazety przeglądał. Pozostawił po sobie testament z hojnym



E. KWASIEBORSKI.



A. MAZURKIEWICZ.



J. NORMARK.



F. LEWANDOWSKI.



S. RZEPECKI.



T. WALEWSKI.

zapisem na rzecz nowożeńców z rzemieślniczej sfery. Co się z jego rękopisami stało? niewiadomo.

W wydziale drugim prezydował sędzia Edmund Jałowiecki, arcy-żywego temperamentu, często roz-targniony, lecz doświadczony jurysta. W pozostałym

wydziale czwartym, krzesło prezydjalne nie miało za czasów moich stałego przewodniczącego. Najczęściej zasiadał na niem sędzia Konstanty Gruszecki, rozważny, baczny i bardzo drobiazgowy prawnik, poprzednio zaś zajmował je ś. p. Aleksy Brzeziński, o charakterystycznej, ozdobionej sumiastym wąsem, twarzy.



S. LESZNOWSKI.

Bardzo sympatyczne po sobie zostawili wspomnienie członkowie trybunału: Józef Wosiński i Aleksander Gudowski. Zajęli oni po wprowadzeniu reformy wysokie w nowych sądach urzędy, lecz śmierć nieubłagana w kwiecie wieku przecięła pasmo żywota obu tych pożytecznych pracowników. — Towarzysz ich i kolega, ś. p. Józef Karnicki, piastował w hierarchii sądowej w Petersburgu wysokie stanowisko.

Do zdolniejszych członków trybunału, z których wielu przeszło następnie do nowych sądów, zaliczano: prezesa Kajetana Mijakowskiego, bardzo doświadczonego i wytrawnego sędziego; Franciszka Garwolińskiego, późniejszego członka notariatu; Adama Bonieckiego, heraldyka; zacnego Kornela Wołowskiego, obdarzonego niezaprzeczoną talentem rymotwórczym; Tomasza Malinowskiego, biegłego hipotekarjusza; Restorfa Aleksandra, późniejszego prezydującego w nowych sądach; Ludwika Szpotańskiego,

ANTONI
ĆWIERZAKIEWICZ

powołanego z wyborów do przewodniczenia w trybunale handlowym; głębokiego znawcę prawa, Adama Umienieckiego, również późniejszego prezesa trybunału handlowego; Emeryka Kozerskiego i Glewińskiego, znawców hipotecznych arkanów. Obok nich, z równym dla wymiaru sprawiedliwości pożytkiem, działali sędziowie: Jan Zawadzki, Felicjan Lewandowski, Adolf Kłodziński, Józef Sadkowski, Eustachy Czarnowski,



S. WARYLKIEWICZ.



J. WILMAN.

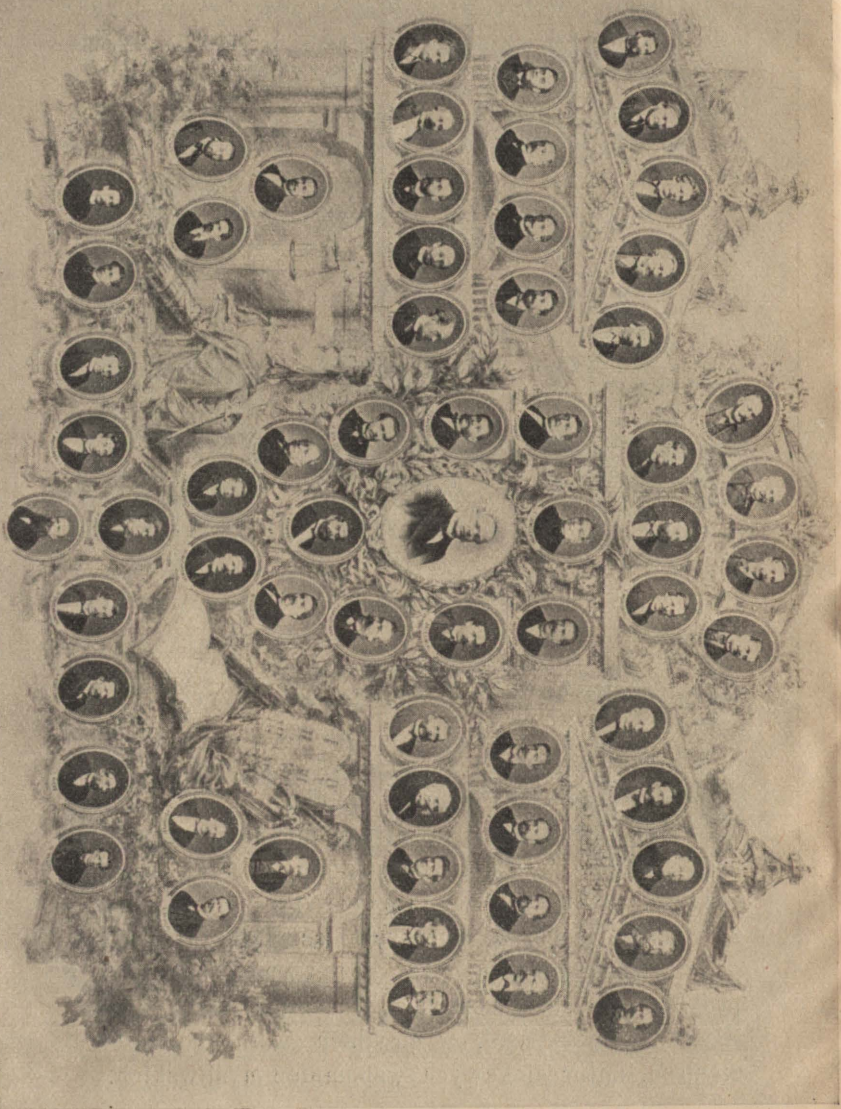


S. BIERNACKI.

Teofil Zieliński, Karol Maciejowski, Henryk Wilczkowski, Józef Stachurski, Aleksander Grochowski i Bagniewski. Wielu z pomiędzy nich przeszło następnie w zasłużony stan spoczynku.

Lista powyższa, prawdopodobnie niezupełna, z powodu opornej dziś już pamięci, nie zamyka szeregu nazwisk zasłużonych i uczonych prawników, którzy za czasów moich w wyższych zasiadali instancjach.

Miedzy nimi celował gruntownością wniosków prokuratorskich w sprawach senackich karnych zacny Konrad Machczyński, w chwilach wolnych zawołany Nemrod, autor ciekawych wspomnień myśliwskich.



OSTATNI SKLAD TRYBUNALU.

*

*

*

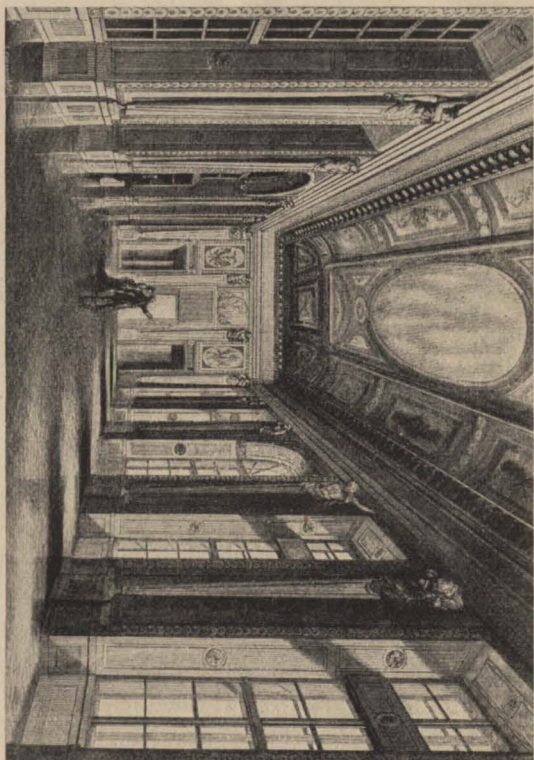
Jak w dziejach powszechnych, pomimo podziału ich na trzy główne okresy, niema właściwie ściśle odgradzających jeden okres od drugiego granic, gdyż dzieje owe, są jednym, organicznie ze sobą skojarzonym przyczynowością i skutkami, splotem wydarzeń; tak i w dziejach sądownictwa polskiego nowoczesnego, rok 1876, jakkolwiek pod formalnym względem wprowadził doń zmianę stanowczą, jednakże zmiana ta nie miała wpływu na tradycyjnie pielęgnowane w palestrze adwokackiej cechy, które czyniły z niej zawsze korporację poważną, polską.

Już okoliczność, że przy reorganizacji sądownictwa korporacja ta, z nielicznymi wyjątkami, nie została przerzedzoną w takim stopniu, jak stan sędziowski i prokuratura: okoliczność ta wpłynęła dodatnio na zachowanie adwokaturze polskiej, w zmienionych jej funkcjonowania warunkach, pewnego swoistego i swojskiego typu i na utrzymanie w niej pięknych po przeszłości tradycji.

Z naszkicowanego lekkimi sztrychami obrazu adwokatury dawnej, w trzech jej hierarchicznie określonych stopniach, powziąć można przekonanie, że większość członków tej korporacji wyróżniała się doborem charakterów i talentów. Byli w jej składzie mężowie dostojni, wielkiej wiedzy i doświadczenia życiowego, mówcy pierwszorzędnych zalet, zaszczytnie reprezentujący zawód, któremu się poświęcili. Byli również wśród nich pracownicy skromni, lecz z pożytkiem dla społeczeństwa spełniający swe zadanie.

Była niemniej w adwokaturze i szara rzesza pospolitaków, traktująca swój zawód jako środek zarobkowania. Lecz, ogólnie biorąc, przeważały w adwoka-

SALA GÓRNA SENATU.



turze cechy dodatnie: wielkiej prawości, poczucia obowiązku, a przede wszystkim — łącznik solidarności między tymi, którzy sprawiedliwość wymierzali, a tymi, którzy tej sprawiedliwości od sądu się domagali. Sto-

sunek zabopólnego szacunku kojarzył ze sobą stan sędziowski, z adwokackim.

Wśród sędziów spotykano mężów wiedzy wyjątkowej, którzy, oprócz obowiązku zawodowego poświęcali się nauce i ślady swej działalności w tym kierunku pozostawili w pracach trwalszego znaczenia. Wśród adwokatury mieliśmy liczny zastęp pracowników na różnych polach umysłowości. Z chwilą, gdy Szkoła Główna od roku 1866 zaczęła wprowadzać na wi-



SAŁA DOLNA SENATU.

downię zastępy młodych magistrów prawa i administracji, obudził się jednocześnie i ruch żywszy w dziedzinie publikacji czasopism i rozpraw naukowych. Nawiązano nową nić tradycji między dawną *Temidą* a *Przeglądem Sądowym* i utworzono organ specjalny—*Gazetę Sądową*.

Na dobro organu owego naukowego zapisać należy, oprócz zalet redakcyjnych i—niezależność jego

kierowników w obec reakcyjnych zakus rusyfikacji, której dowodem był opór okazany osławionemu prezesowi cenzury Jankulji, gdy ten zażądał wprowadzenia do *Gazety*—jako niby organu sądownictwa miejscowego — języka rosyjskiego...

Ożywiona duchem obywatelskim i pragnieniem współdziałania w rozwoju nauki prawa, przetrwała *Gazeta sądowa* najkrytyczniejsze chwile i, zadaniu temu, mimo doznawanych sekatur, pozostała wierna po dziś dzień.

* * *

Jakkolwiek adwokatura warszawska nie posiadała przed rokiem 1918 korporacyjnej organizacji, jaką gdzieindziej reprezentują Rady obrończe, to jednak zastępowały ją w pewnej mierze organizacje *kassy adwokackiej*, *Towarzystwa prawniczego* i *kół młodszych prawników*. Wszystkie te zawodowe kółka pracowały gorliwie na polu naukowem, wytwarzając jednocześnie poczucie solidarności zawodowej i pielęgnując nie tradycję po dawnej adwokaturze polskiej. Zadanie to, niewątpliwie, będzie i nadal przyświecać odrodzonemu po roku 1915 sądownictwu polskiemu.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	<i>Str.</i>
I. Pałac a rudera. — Przedsionek i jego publiczność. — Pokątni doradcy. — Sławetny pan Protazy. — Kilka typów.	21
II. Dependenci i torbiferowie. — Kącik adwokacki. — Przed bitwą. — Dzwonki — Trybuna obrończa — Woźny Krasnodębski.	28
III. Illacje. — Sprawy skrócone, sumaryczne i ordynaryjne. — Wydziały. — Imć pan Swiecki. . . .	33
IV. Aplikanci. — Teorja i praktyka. — Rutyniści. . .	42
V. Organizacja palestry. — Patronowie. — Adwokaci. — Mecenasi.	45
VI. Mecenas-jubilat. — Charakterystyka pana Edwarda. — Czyn i zasady.	51
VII. Drugi jubilat. — Jurysprudencja pana Wincentego. — Ważność konluzji.	60
VIII. Polski Lachaud.—Inwokacja. — Oratorskie kwiatki.	70
IX. Pan Zygmunt. — Krótki program, a szerokie wykonanie. — Walka przedkratkowa.	75
X. Wielki festyn. — Występ pana Kazimierza. — Wymowa symfoniczna. — Con fuoco è con brio. — Poeta w birecie. — Nieco rzewnych wspomnień.	81
XI. Dziedziczność uzdolnienia fachowego. — Warszawski Jules Favre. — Prokurator w roli obrońcy. .	90

XII.	Pan Dominik. — Jurysprudens szkoły wyższej. — Wyrok kolejowy. — Mecenas Zalewski. — Libe- rum nego! — Opozycja jako zasada.	99
XIII.	Pan Ksawery. — Dukta i redukta. — Wąsy i pe- ruka. — Mecenas Parisot. — Andrzej Wolff. . . .	106
XIV.	Mecenas Flamm. — Ważna kwestja frakcji dziecka prawego. — Das Ding an sich. — Mecenas Leo i jego wycieczki w sfery humorystyki wyższej. .	111
XV.	Mecenasi: Tańkowski i Grobicki. — Imię pan Mie- czysław Wyrzykowski. — Gustaw Wołowski. — Henryk Krajewski.	116
XVI.	Imię pan Łabędzki. — Adwokat Magnuski. — Za- mierchłe typy. — Nasz pan Alojzy. — Śmierć na wyłomie. — Jurisprudens Karpiński. — Kleczkow- ski i Ciągliński.	131
XVII.	Zabytek sądu najwyższej instancji. — Wierzchlej- ski. — Łacki. — Wrotnowski.	137
XVIII.	Pan Wojtuś. — Kocio Bożewski. — Kokeli. — Thie- me i Holtz. — Helcel. — Łubieński.	143
XIX.	Okolski. — Głębocki. — Metafizyka i fizjologia w prawie. — Tomaszewski	148
XX.	Parter sprawiedliwości. — Proces czytany. — Waż- ność świadków. — Kara podzwyczajna nadzw- yczajnie bolesna. — Śliczny paragraf czterysta dzie- wiąty. — Jędrzejewicz. — Zegrzda i Wedeman. .	153
XXI.	Imię pan Fortunat. — Polowanie na kosza z na- ganką.	165
XXII.	Wojciech Trzetrzewiński. — Kazimierz Ebert. — Józef Lewandowski. — Juljusz Niemirycz. — Jó- zef Brzeziński. — Szymon Rodzyn. — Michał Szy- manowski. — Juljusz Walewski. — Alexander Ja- łowicki. — Alexander Kraushar.	167
XXIII.	IX i X Departamenty Rządzącego Senatu. — Se- natorowie. — Członkowie Senatu. — Naczelnny Pro- kurator. — Pomocnicy Naczelnego Prokuratora .	172
XXIV.	Adwokaci Sądu appellacyjnego Królestwa. . . .	178
XXV.	Sąd Appellacyjny.	205
XXVI.	Armia niedobitków. — Pan Franciszek Krakow- ski. — Jego wilgotne obrony i suche repliki. . .	218

XXVII. Niezrównany pan Konstanty i jego tête à tête. — Obrona z chórem greckim. — Kto ma prawo ap- pelować?	222
XXVIII. Pan patron Kowalski. — Odrzucenie opozycji. — Walka pokusy z obowiązkiem. — Sprawa dziwnie wnioskowa.	226
XXIX. Siły i środki palestry młodej. — Początek końca.	232
XXX. Kurulne krzesła. — Trybunał. — Sąd appellacyj- ny. — Senat.	252

SPIS ILLUSTRACYJ.

- Imię Pan Niedziałkowski. 23
Posiedzenie trybunału. 37
Mecenas Łastowiecki. 47
Mecenas Rudnicki w karyka-
turze. 48.
Jakób Józef Rudnicki, Mecen-
nas. 49
Edward Grabowski, Mecenas.
50
Wojciech Helcel, Mecenas. 56
Wincenty Majewski, Mecenas.
60
Antoni Radgowski, Mecenas.
70
Dominik Krysiński, Mecenas.
75
Kazimierz Brzeziński, Mecen-
nas. 81
Facsimile wierszyka Kazimie-
rza Brzezińskiego. 87
Tablica pamiątkowa Kazimie-
rza Brzezińskiego. 88
Andrzej Brzeziński, Mecenas.
90
Stanisław Rotwand, Mecenas.
96
Dominik Zieliński, Mecenas. 99
Stanisław Zalewski, Mecenas.
101
Ksawery Karasiński, Mecenas.
106
Alexander Parisot, Mecenas,
108
Andrzej Wolff, Mecenas. 109
Filip Flamm, Mecenas. 111
Edward Leo, Mecenas. 114
Hipolit Tańkowski, Mecenas. 116
Wincenty Grobicki, Mecenas.
118
Mieczysław Prawdomów Wy-
rzykowski, Mecenas. 119
Gustaw Wołowski, Mecenas.
122
Henryk Krajewski, Mecenas.
124
Józefat Magnuski, Mecenas.
132
Józef Karpiński, Mecenas. 133
Józef Kleczkowski, Mecenas.
136
Franciszek Ciagliński, Mecen-
nas. 136
Tomasz Nowakowski, Mecen-
nas. 137
Roman Wierzchlejski, Mecen-
nas. 139
Teodor Łacki, Mecenas. 140
Antoni Wrotnowski, Mecenas.
142
Wojciech Bronikowski, Adwo-
kat, 143

- Konstanty Bożewski, Adwokat, 144
 Józef Kokeii, Mecenas. 145
 Karol Thieme, Mecenas, 146
 Tomasz Wentworth hr. Łubieński, Mecenas. 147
 Prof. Antoni Okolski, Mecenas, 148
 Klemens Głębocki, Mecenas, 149
 Józef Kalasanty Junosza-Szaniawski, Mecenas, 150
 Julian Tomaszewski, Mecenas, 151
 Jan Jędrzejewicz, Adwokat. 154
 Ludwik Zegrzda, Adwokat, 155
 Teodor Wedeman, Mecenas, 156
 Fortunat Biegański, Mecenas, 164
 Wojciech Trzetrzewiński, Mecenas. 167
 Kazimierz Ebert, Mecenas. 168
 Prof. Józef Lewandowski, Mecenas. 168
 Juljusz Niemirycz. Mecenas. 169
 Józef Brzeziński, Mecenas. 169
 Alexander Jałowiecki, Mecenas. 170
 Szymon Rodzyn, Mecenas. 170
 Michał Szymanowski, Mecenas. 170
 Juljusz Colonna Walewski, Mecenas 171
 Alexander Kraushar, Mecenas. 171
 Ostatni Senatorowie i Członkowie Senatu. 174
 Marceli Pawłowski, Adwokat. 180.
 Maciej Szypnicki, Adwokat. 183
 Józef Piwoński, Adwokat. 183
 Teofil Tomicki, Adwokat. 184
 Wł. Chęciński, Adwokat. 184
 K. Chraszczewski, Adwokat. 185
 Feiiks Chruszczakowski, Adwokat. 185
 Sat. Dutkiewicz, Adwokat. 186
 Dominik Anc, Adwokat. 186
 Adolf Peplowski, Patron. 188
 Artur Bardzki, Adwokat. 197
 Felix Dębski, Adwokat. 198
 Karol Gostomski, Adwokat. 198
 Leon Grabowski, Adwokat. 199
 Józef Helbich, Adwokat. 199
 Docent Hen. Hoffman, Adwokat. 199
 Józef Kirsztot, Adwokat. 200
 Leon Krysiński, Adwokat. 201
 Ludwik Marczewski, Adwokat. 202
 Wincenty Mellerowicz, Adwokat. 202
 Juljan Naimski, Adwokat. 203
 Kajetan Piotrowski, Adwokat. 204
 Adolf Suligowski, Patron. 204
 Ostatni skład sądu appellacyjnego Królestwa Polskiego. 212
 Franciszek Krakowski, Patron. 219
 Konstanty Grzybowski, Patron. 222
 Edward Kowalski, Patron. 226
 Kajetan Wałowski, Patron. 228
 Jan Gadziński, Patron. 229
 Konstanty Chojnowski, Patron. 229
 Jan Szymanowski, Patron. 230
 Seweryn Kozarzewski, Patron. 230
 Juljusz Benzeł, Patron. 233
 Lucjan Bojasiński, Patron. 234
 Henryk Bruner, Patron. 234.
 Henryk Elzenberg, Patron. 234

- Stanisław Gepner, Patron. 234
 Wincenty Groer, Patron. 235
 Kazim. Julian Jasiński, Patron. 235
 Jan Maurycey Kamiński, Patron. 235
 Stan. Rajm. Kamiński, Patron. 236
 Jakób Kirsztot, Patron. 236
 Józef Kleczkowski, Patron. 237
 Wiktor Kronenberg, Patron. 237
 Piotr Kurmanowicz, Patron. 237
 Emil Marx, Patron. 238
 Stan. Makowski, Patron. 239
 Kazimierz Meyer, Patron. 240
 Leopold Meyet, Patron. 240
 Zygmunt Mierosławski, Patron. 241
 Wiktor Ostrowski, Patron. 241
 Antoni Osuchowski, Patron. 242
 Włodz. Powichrowski, Patron. 242
 Aleks. Pludrzyński, Patron. 242
 Maks. Poznański, Patron. 243
 Karol Rosso, Patron. 243
 Stanisław Próchnik, Patron. 243
 Juljusz Rauszer, Patron. 243
 Władysław Rytel, Patron. 244
 Ludwik Skrzyński, Patron. 244
 Jan Skurzyński, Patron. 245
 Szymon Sonnenberg, Patron. 245
 Artur Szaniawski, Patron. 245
 Józef Szlązkowski, Patron. 245
 Ścisław Śrzednicki, Patron. 246
 Józef Szwarzenberg, Patron. 246
 Wiktor Szreyer, Patron. 246
 Ksawery Tataarkiewicz, Patron. 247
 Lucjan Wrotnowski, Patron. 247
 Julian Tysza, Patron. 247
 Stan. Wierzbicki, Patron. 248
 Gustaw Żurkowski, Patron. 248
 Kazimierz Zalewski, Patron. 248
 Franciszek Zieliński, Patron. 248
 Pierwsza Redakcja Gazety Sądowej Warszawskiej. 249
 Julian Świerczewski. 254
 Schody wewnętrzne Senatu. 253
 Roman Linowski. Pisarz 254.
 L. Janczewski. Prokurator 254
 Rożnowski, Sędzia. 255
 Wiktoryn Dobrski, Sędzia Trybunału. 255
 K. Gruszecki. 256
 Józef Karnicki. 256
 E. Kwasiebski. 257
 A. Mazurkiewicz. 257
 J. Normark. 257
 F. Lewandowski. 257
 S. Rzepecki. 257
 T. Walewski. 267
 S. Lesznowski. 258
 Antoni Ćwierczakiewicz. 258
 S. Waryłkiewicz. 259
 J. Wilman. 259
 Ostatni skład Trybunału. 260
 Sala górna Senatu. 262
 Sala dolna Senatu. 263

PRACE NAUKOWE I LITERACKIE ALEXANDRA KRAUSHARA

OGŁOSZONE W WYDANIACH KSIĄŻKOWYCH,
BROSZUROWYCH, W ZBIORACH POD TYTUŁEM
OGÓLNYM I W CZASOPISMACH.

- Aeronauci francuscy w Warszawie
w r. 1831.
Albert Sarmata (1793).
Albertiego widoki Warszawy
ze schyłku wieku XVIII.
Archiwum dokumentów historycz-
no-prawnych.
Archiwum dyplomatyczne polskie
z roku 1795.
Archiwum Nowosilcowa.
Archiwa warszawskie.
Ariergarda literacka warszawska.
Arion z Koryntu.
Autograf listu Waszyngtona do
Niemcewicza (1798).
Bajkow — kartki z pamiętnika.
Barbara Brezianka. (Obrazek z XVII
wieku.
Barss, palestrant warszawski.
Becal Jakób.
Beaujeu, pamiętnik z czasów So-
bieskiego.
Bonneau, ostatni konsul Rzplitej
francuskiej za Stanisława Au-
gusta.
Bartoszewicz Julian. (Sylwetka).
Białopiotrowiczowa Kunegunda
z ks. Giedroyciów (r. 1831)
Bourboni na wygnaniu w Mitawie
i Warszawie (1796—1805).
Brodzińskiego chwile przedzgonne.
Buckle, o wpływie kobiet na postęp
wiedzy.
Carnot Łazarz emigrantem w War-
szawie (r. 1815).
Castigare utlicet uxorem. (Wiek XV)
Chorągiew Mahometa.
Czartoryscy i ród ich.
Czary na dworze Batorego.
Towarzystwo przyjaciół nauk: (8 t.)
Czasy pruskie (1795—1806)
Czasy ks. warszawskiego 1807-1815
Czasy Królestwa Kongresowego:
lata 1815—1820
1820—1824
1824—1828
1828—1831.
Czasy polistopadowe 1831—1833.
Czasy szkolne przed rokiem 1861.
Czasy szkolne za Apuchtina.
Czasy sądownictwa rosyjskiego
(1876—1915).
Czeńnikiewicz Miniszewski.
Czetwertyński ks. Włodzimierz.
(Sylwetka).
Czwartak Antoni Olkowski (1833).
Daniłowicza, kodeks Napoleona.
Dawne pałace warszawskie. (Szki-
ce historyczno-obyczajowe).
Del Medigo w Polsce za Zyg. III.
Do dziejów Biblioteki Żałuskich.
Dramat rodzinny (1779).
Dramat szkolny kaliski (1823).
Drobiażki historyczne, 2 tomy.
Drugi skrypt polski Dymitra Sa-
mozwańca.
Dwa ostatnie sejmy za Królestwa
Kongresowego (1830).
Dwa szkice historyczne, 2 tomy.
Dworek królewski na Rozdrożu.
Dziecię Warszawy (1831).
Dzieje kupiectwa warszawskiego
(1817—1917) rękopis illustr.
Dzieje pałacu prymasowskiego.
Dziennik podróży ks. Staszica,
2 tomy.
Dziewięćdziesiąta rocznica wyroku
sądu sejmowego.
Echa przeszłości (szkice, wizerunki
i wspomnienia historyczne).
Echa warszawskie o bitwie pod
Waterloo.
Echa warszawskie stracenia Lud-
wika XVI.
Echa wiedeńskiego pogromu.
Echa z wyspy Elby.
Edykt Stefana Batorego z r. 1580.
Elekcja w Babinie.
Fedor Lyseńko.
Festyn w Łazienkach 1788.
Filozof Fichte w Warszawie.
Francja i Polska w pierwszej po-
łowie XVIII w.
Frank i Frankiści, 2 tomy.
Generalowa Sowińska i Hoffmano-
wa (1831).

- Goethe i Humboldt.
 Gospodarka rosyjska po upadku powstania Styczniowego.
 Gospodarze i lokatorowie warszawscy przed stu laty.
 Grunwald i Tannenberg w dziejopisarstwie sąsiadów.
 Gumplowicz Ludwik. (Sylwetka).
 Heinego Intermezzo i księga pieśni.
 Helena z Massalskich księżna de Ligne.
 Herburt z Fulsztyna.
 Historia nędzy.
 Historia prawdziwa o księciu fińskim Janie.
 Historia zbytku.
 Historia żydów w Polsce, 2 tomy.
 Historyczna karczma w Wierzbnie.
 Historyk Jakób Caro. (Sylwetka).
 Historyjki i plotki historyczne.
 Honoratka (1831).
 Jarochowski Kazimierz. (Sylwetka).
 Ibu Gabirol.
 Jeden z Kraszewskich.
 Jeden z lepszych.
 Jehuda Halevy.
 Improvizator z XVI wieku
 Joanna Grudzińska.
 Jurgens Edward (1862).
 Izabella ks. Czartoryska.
 Kalendarzyki historyczne berlińskie.
 Kaliszanie Niemojowscy.
 Kaplica Szujskich w Warszawie.
 Kartka z życia Gabrielli.
 Kartki historyczne i literackie.
 Kartki z pamiętnika Alkara, 2 tomy.
 Kasata klasztorów w r. 1864.
 Kasztelanka Kościelecka
 Katechizm polityczny polski z czasów Król. Kongresowego.
 Kiliński Jan przed Napoleonem w r. 1807.
 Kiliński i drugi jego pamiętnik o czasach Stanisława Augusta.
 Klauzyna Potocka. (Sylwetka).
 Klejnoty koronne.
 Klub patriotyczny warszawski w r. 1831.
 Kodeks wojskowy Rządu Narod. 1863
 Kolumna Zygmunta.
 Konfederaci barscy na Syberji 1774.
 Kongres hiszj. w Rzymie 1903.
 Korzon Tadeusz. (Sylwetka).
 Kościuszki listy nieznane.
 Krasinska Franciszka i dynastia włoska.
 Kraszewsciana.
 Kraszewski i redakcja Ojczyzny (1864).
 Kraszewski i Wielopolski.
 Królewicz polski na dworze Ludwika XIV.
 Książę Repnin i Polska w pierwszym czterolecu panowania Stanisława Augusta, 2 tomy.
 Księgarz-poeta.
 Księgarze warszawscy w XVIII wieku.
 Kula armatnia pamiątkowa w pałacu Rzplitej.
 Lament Hrehorego Ościka.
 Legenda historyczna o dzwonnicy bernardyńskiej.
 List drugiego Samozwańca do Mikołaja Wolskiego.
 Listki (1863).
 Listy Karola Brzozowskiego do Alkara.
 Listy Deotymy do Alkara.
 Listy Jarochowskiego do Alkara.
 Lojalna historia Rzymu Zinserlinga.
 Losy Miączynskiego.
 Losy pałacu Staszka.
 Losy pałacu i domu Andrzeja hr. Zamoyskiego.
 Losy tablicy pamiątkowej mauzoleum Carów Szujskich.
 Magier Antoni.
 Maleszewski Piotr, pierwszy koresp. Tow. przyj. nauk.
 Marek Reverdil bibliotekarz i lektor Stanisława Augusta.
 Marzenia o Panteonie warszawskim.
 Maska żelazna.
 Memorabilia z czasów listopadowych.
 Memoriał więzienny Mochnackiego.
 Mickiewicz i Zenejda Wołkońska.
 Mickiewiczana.
 Militaria z roku 1863.
 Mikołaj Giż.
 Miotełki satyryczne.
 Mniemane ostatnie votum kanclerza Jana Zamoyskiego.
 Mój pamiętnik literacki, 2 tomy (rękopis).
 Na lat 30 przed wybuchem wojny europejskiej.
 Na rozstajnych drogach (Jan Łaski).
 Napoleon po Berezynie.
 Naukowość polska za Stanisława Augusta.
 Neocyganeria warszawska.
 Niebezpieczna książka.
 Nieznana relacja o śmierci Zygmunta Augusta.
 Notatki anglika Morisona o Polsce.
 Notatki z historii dyplomacji i obyczajów w Polsce.
 Nowe epizody z życia Paska.
 Nowe przyczynki do dziejów żywota i spraw Olbrachta Łaskiego.
 Nowe szczegóły o Frankistach w Offenbachu.
 Nowe źródła do sprawy Rozalji Lubomirskiej.

- Nowosilcowa uwagi nad konstytucją Król. Polskiego.
 O własności literackiej i artystycznej. (Gaz. sądowa warszaw.).
 Obrazek Warszawy.
 Obrazy i wizerunki historyczne.
 Odczyt Niemcewicz.
 Odgłosy powstania listopadowego w dziennikarstwie europejskiem.
 Odnalezione po gen. Dąbrowskim dokumenty historyczne.
 Odwieczny spór o granice Olkusza.
 Ofiara terroryzmu.
 Ofiarność niemiecka na rzecz Polski w r. 1831.
 Okaleczona ulica.
 Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, 2 tomy.
 Opowiadania Zbyszewskiego o kapitulacji Warszawy 1794.
 Orły i sztandary polskie w r. 1831
 Ostatni czyn ostatniego naczelnego wodza.
 Ostatni dzień księcia Józefa.
 Ostatnie przechadzki J. U. Niemcewicz w Paryżu.
 Palestra staropolska.
 Palestra warszawska (1866—1876).
 Pamflety astronomiczne.
 Pamiętka po Konstytucji 3 Maja w Ogrodzie Botanicznym.
 Pamiętka po Jadwidze Krausharowej.
 Pamiętka po Karolu Levittoux.
 Pamiętniki karzelka polskiego (1739).
 Pamiętka po Julianie Niemcewicz.
 Pamiętnik chorążycy owrońskiego.
 Pamiętnik J. U. Niemcewicz z czasów księstwa warszawskiego.
 Pamiętnik Wróblewskiego.
 Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego z r. 1831, 2 tomy.
 Pani Walewska i jej syn.
 Panta Koina. Związek tajny młodzieży.
 Para ciekawszych rękopisów biblioteki publicznej w Petersburgu
 Partyzantka Artura Zawiszy.
 Piąty Sierpnia 1864 r. (Stracenie Rządu Narodowego).
 Pierwsza książka prawnicza polska z XVI wieku.
 Pierwsze odgłosy Konrada Wallenroda.
 Pięćdziesięciolecie Zabajkalskiej Tragedji.
 Pierwsze pozgonne życiorysy Tadeusza Kościuszki.
 Piotr Wężyk Widawski, satyryk XVII wieku.
 Pobyt w Petersburgu w czasach pierwszych posiedzeń Dumy państwowej 1906 r.
 Po czterdziestu pięciu latach.
 Podróż obywatela warszawskiego do Persji.
 Podróż królewicza polskiego, 2 tomy.
 Poglądy polityczne Mochnackiego.
 Pomniki publiczne religijne i świeckie w Warszawie.
 Pomysły obywatela warszawskiego z XVIII wieku.
 Pretensje Polski do skarbu francuskiego.
 Próba ankiety z r. 1813 w sprawie badań nad historją krajową.
 Projekt polski z r. 1814 w sprawie ujednolajnienia miar i wag.
 Projekt utworzenia za czasów pruskich w Warszawie Towarzystwa i Czasopisma historycznego.
 Przyczynek do dziejów pospolitego ruszenia w Polsce (Quatuor quintum).
 Przyczyny i skutki. Szkic historyczny.
 Przygody Francuza Payena.
 Publikacje tajne warszawskie w dwuleciu przed powstaniem Styczniowem i w roku 1863.
 Posąg Józefa Poniatowskiego.
 Posąg Kazimierza Wielkiego.
 Posąg Szekspira i dramaturgów klasycznych w Łazienkach królewskich.
 Poselstwo Dickensona do Zygmunta III.
 Poselstwo Jakóba Śmiarowskiego do Chmielnickiego w r. 1647.
 Ramses Baltazzani.
 Raporty ministerjalne Lelewela z czasów dyktatury Chłopickiego (1830—1831).
 Realizm w powieści.
 Relacja rezydenta polskiego w Moskwie.
 Reszty pamiętnika Szymona Konopackiego, 2 tomy.
 Reszty rękopisu Jakóba Sobieskiego, ojca Jana III (1613—1638).
 Rodzina męczenników (Żóchowscy).
 Rogiński Roman.
 Rolle Antoni.
 Romans szlachcica szkockiego w Polsce.
 Rozboje dziedziczki Sadłowa.
 Rylejew i Niemcewicz.
 Rydwan trjumfalny Sobieskiego na Pomorzu.
 Samobójstwo, jego historia i przyczyny.

Samoswaniec Jan Faustyn Luba
 z czasów Władysława IV.
 Salony i zebrania literackie warszawskie.
 Satyra na Towarz. przyj. nauk
 z r. 1803.
 Sąd nad sprawcami rzezi Sierpniowej 1831 r.
 Sądownictwo za Księstwa warszawskiego.
 Sejmiki polskie w Kazaniu r. 1656.
 Setna rocznica Uniwersytetu Królewskiego.
 Senator Nowosilcow i cenzura za Król. Kongresowego.
 Siedmiolecie Szkoły Głównej.
 Siedziba Tadeusza Korzona w pałacu Błękitnym.
 Siwiński Edward. (Sylwetka).
 Skorowidz do Tow. przyj. nauk.
 Ślady pamiątkowe ostrzeżliwania Warszawy w r. 1915.
 Sława między obcymi. (Jul. Słowacki).
 Sokolnicki i Krukowiecki (1813-1816).
 Spisek koronacyjny z r. 1829.
 Sprawa Bolestraszyckiego.
 Sprawa Dogrumowej.
 Sprawa fundacji lipskiej ks. Jabłonowskiego.
 Sprawa generała Józefa Załuskiego (1831).
 Sprawa o zgorzenie obyczajów przed Trybunałem Koronnym.
 Sprawa studenta Benedykta Kalinowskiego (1823-1826).
 Sprawa Zygmunta Unruga, 2 tomy.
 Sprawy krzyżackie, według dyplomatów archiwalnych.
 Stan konieczności w prawie karnem.
 Starościna rawska.
 Starzec Narocki, współczesny Sobieskiemu.
 Stefan Batory w sprawie wyzwolenia Niderlandów.
 Stosunki z Kraszewskim.
 Strofy (wyd. nowe 1881).
 Strofy jesienne.
 Struś Jan, podróżnik polski.
 Strylcy pana Paska.
 Stulecie pamfletu obyczajowego J. U. Niemcewicza.
 Sprzysiężenia studenckie (1820-1827).
 Sylwetki literackie z niedawnej przeszłości.
 Świątokrzyżcy (1838).
 Syn generała Jana Dąbrowskiego.
 Syn pułkownika Berka.
 Synteza dziejów porzecznych Królestwa Polskiego.
 Szubienica saska w Sandomierzu.
 Szajnochy Karola z dni niedoli.

Szkoła wojskowa polska w Cuneo i Genui.
 „Szłapy doloj!” (1863 r.).
 Taczki belwederskie.
 Tajemnica Luby (1831).
 Testament powstańca Bogdanowicza.
 Totemizm w dziejach społeczeństw pierwotnych i jego objawy w genezie społeczeństwa polskiego.
 Tragedja życia Wincentego Migurskiego.
 Tragiczne losy i przyszłość Pragi.
 Tragikomedja kurlandzka (r. 1726).
 Trytony kolumny Zygmunta.
 Trzy epizody z działalności margrabiego Wielopolskiego w r. 1831.
 Trzy sceny sejmowe w Zamku warszawskim 1611-1791-1818.
 Trzy żony Szczęsnego Potockiego.
 Typy i oryginały z czasów Król. Kongresowego.
 Typy warszawskie z niedawnej przeszłości.
 Tytan. Poema.
 Uwagi nad historją prawa. Rozprawa konkursowa.
 Uwieszone w r. 1915 zabytki starożytne.
 Vincenzio da Filicaja.
 W setną rocznicę Kodeksu Napoleona w Król. Polskiem.
 Warszawa na schyłku XVIII wieku.
 Warszawa nowożytna.
 Warszawa w czasie sejmów czteroletnich.
 Warszawa za Stanisława Augusta.
 Wędrowniki Tomasza Wolskiego, kawalera maltańskiego.
 Widzenia Kacpra Bojanowskiego.
 Wielki książę Konstanty i obywatele lubelscy (1831).
 Wierszyk karlsbadzki Kołłątaja.
 Wolność druku i dziennikarstwo warszawskie w r. 1831.
 Wspomnienia o Kraszewskim z czasów jego redaktorstwa Gazety Polskiej.
 Wspomnienia ułana pułku I legii nadwiślańskiej o kampanii 1807-1814.
 Wybór przekładów z Heinego.
 Wynurzenia Jana Skrzyneckiego.
 Wywiady pruskie w r. 1831.
 Wywiezienie pomnika Adama Czartoryskiego.
 Z dziedziny prawa międzynarodowego. (Gaz. Sąd. warsz.).
 Z dziejów emigracji polistopadowej.
 Z dziejów kultury polskiej (Anglii o Polsce).

- Z dziejów mieszczaństwa polskiego na schyłku XVIII w.
- Z dziejów pospolitego ruszenia w Polsce.
- Z dziejów Warszawy.
- Z pamiętnika Romana.
- Z pamiętnika Szumana.
- Z przeszłości Warszawy.
- Z weneckiego archiwum.
- Z życia arcybiskupa Zygmunta Fe-lińskiego.
- Zabytki warszawskie.
- Zaczątki agitacji chełmskiej.
- Zaczątki powstania 1863 r.
- Zaczątki pracy dziejopisarskiej Ta-deusza Korzona.
- Zagadkowa kamienica na Krak.-Przedmieściu.
- Zagadkowy korespondent z emi-gracji 1831 r.
- Zamach Ankarströma.
- Zamach na dyktaturę Chłopickiego.
- Z nieznanego djarjusza pobytu Staszica w Wiedniu, w roku 1791.
- Zarysy literacko-historyczne.
- Zatarg Konopki z miastem Toru-niem (1742—1755).
- Zawieruszony rękopis Mochnackie-go.
- Ze wspomnień o Bibliotece Główniej.
- Ze wspomnień o Faleńskim.
- Ze wspomnień o Pawińskim.
- Zgon Samuela Posnera.
- Złota księga chłopów i mieszczan polskich.
- Znachor Antosiek (1816—1821).
- Z tragedji niedawnej przeszłości. (Pierwszy proces socjalistyczny).
- Związki tajne na Litwie w Kro-żach (1824—1827).
- Żaloba i szyldy warszawskie.
- Źródła do dziejów polistopadowych.
- Życie domowe mieszczaństwa war-szawskiego w czasach dawnych.
- Życie potoczne w ogłoszeniach.
- Życie potoczne Warszawy w czasach listopadowych (1830—1831).

65

8996

21 V G

DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU.

- str. 10 w. 3 od dołu zamiast *wyjaśnienia* ma być *wyjaśniam*.
„ 11 „ 6 „ „ *wyniesionych* ma być *wyniesionej*.
„ 18 „ 11 „ „ *kurualnych* ma być *kurulnych*.
„ 143 pod wizerunkiem Bronikowskiego ma być *Adwokat*.
„ 144 „ „ *Bożewskiego* ma być *Adwokat*.
„ 204 „ „ *Suligowskiego*, ma być *Patron*.

